Sylvia Plath

SZKLANY KLOSZ

Tłumaczyła Mira Michałowska

89
37457

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału
THE BELL JAR

Copyright © by Sylvia Plath 1963 and Faber and Faber Ltd.
Copyright © for the Polish translation by
Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 1995

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki
Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Fotografia na okładce
Piotr Chojnacki

Redaktor serii
Tadeusz Zysk

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY 1907

Wypożyczalnia
Nr 89
Nr inw. w 37154

Biblioteka Publiczna
Dzielnicy Praga-Południe
821.111(73)-3
2891-037154--00

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. (0-61) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26
Dział handlowy, tel./fax (0-61) 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Łamanie komputerowe
perfekt s.j., Poznań, ul. Grodziska 11

Elizabeth i Davidowi

Rozdział I

Upalne to było lato, dziwne lato, w którym stracono Rosenbergów, a ja siedziałam w Nowym Jorku i nie bardzo wiedziałam, po co i dlaczego. Głupio mi się robi na myśl o karze śmierci. Sama wzmianka o tym, że można uśmiercić człowieka prądem, przyprawia mnie o mdłości, a w gazetach o niczym innym nie pisali — wielkie nagłówki wybałuszały na mnie oczy z każdego rogu ulicy, ze zjazdów do kolejki podziemnej, ziejących zapachem palonych fistaszków i ziemnego gazu. Nie miałam powodu utożsamiać się z Rosenbergami, ale mimo woli wciąż wyobrażałam sobie, jak to jest, kiedy kogoś smaży się żywcem prądem puszczonym po wszystkich nerwach.

Byłam pewna, że jest to najstraszliwsza tortura, jaką można zadać człowiekowi.

Sam Nowy Jork był wystarczająco ohydny. O dziewiątej rano nie było już śladu po niby to wiejskim powietrzu, co nie wiadomo jakim sposobem wkradało się nocą do miasta. Rozwiewało się, znikało z pamięci niczym słodki sen. Na dnie granitowych kanionów rozpalone ulice dygotały w słonecznym pyle. Dachy samochodów skrzyły się i skwierczały, suchy, piekący kurz zapylał oczy, drażnił krtań.

W biurze i w radio mówiono nieustannie o sprawie Rosenbergów, tak że nie można się było od nich ani na chwilę odczepić. Czułam się więc tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłam ludzkie zwłoki. Później, przez

wiele tygodni, głowa tego truposza — a raczej resztki jego głowy — wyzierała nagle w czasie śniadania spoza jaj na bekonie, wyłaniała się zza sylwetki Buddy'ego Willarda — który był przede wszystkim odpowiedzialny za to, że tego trupa obejrzałam — i po pewnym czasie poczułam się tak, jak gdybym ciągnęła za sobą tę straszną głowę na sznurku, jak czarny, beznosy, śmierdzący octem balon na uwięzi.

Tego lata byłam pewna, że dzieje się ze mną coś niedobrego, bo jedyna rzecz, jaka trzymała się mojej mózgownicy, to ci Rosenbergowie i jeszcze to, jaka jestem głupia, że zakupiłam masę kosztownych, niewygodnych sukien, wiszących teraz w szafie jak śnięte ryby, i jeszcze, że wszystkie te moje małe sukcesy w college'u rozprysły się w zetknięciu z zimnym marmurem i szkłem fasad drapaczy na Madison Avenue niczym bąbelki szampana.

A nazywało się, że przeżywam najlepszy okres swojego życia.

Nazywało się, że jestem przedmiotem zazdrości tysięcy absolwentek college'u jak Ameryka długa i szeroka, bo one tylko marzą o tym, żeby kuśtykać po brukach nowojorskich w czarnych lakierkach na zbyt wysokich obcasach numer trzydzieści siedem, zakupionych u Bloomingdale'a w czasie przerwy obiadowej wraz z paskiem z takiej samej czarnej lakierowanej skóry i czarną lakierowaną torebką, żeby była całość. A kiedy, na dodatek, w piśmie, w którym cała nasza dwunastka pracowała tego lata, ukazała się moja fotografia — ja z koktajlem w ręku, wciśnięta w przyciasną bluzkę z imitacji srebrnej lamy, wpuszczoną w namarszczoną spódniczkę z białego tiulu, otoczona grupą wspaniale zbudowanych, młodych, anonimowych Amerykanów, specjalnie, rzecz prosta, na tę okazję wynajętych — było dla wszystkich rzeczą jasną, że bawię się na sto dwa.

To może się zdarzyć tylko w naszym kraju, mówiono. Bo popatrzcie. Oto dziewczyna, która dziewiętnaście lat życia spędza na zabitej deskami prowincji, tak biedna, że nie

może sobie nawet pozwolić na zaabonowanie magazynu, dostaje stypendium, studiuje w pierwszorzędnym college'u, otrzymuje jedną nagrodę, potem drugą i wreszcie wysyłają ją do Nowego Jorku, gdzie zaczyna sterować tym miastem jak własnym samochodem.

Tylko że ja nie sterowałam ani tym miastem, ani w ogóle niczym, nawet własnym losem. Po prostu telepałam się z hotelu do redakcji, z redakcji na przyjęcie, z przyjęcia do hotelu, z hotelu do pracy jak bezwolny trolejbus. Powinnam się była chyba cieszyć tym wszystkim i przejmować, jak inne dziewczyny, ale jakoś nie umiałam wykrzesać z siebie żadnej reakcji. Było mi obojętnie i bardzo pusto — tak musi być w oku cyklonu. Absolutna cisza w samym środku szalejącego żywiołu.

W hotelu mieszkałyśmy w dwunastkę.

Wszystkie byłyśmy laureatkami konkursu, rozpisanego przez znany magazyn kobiecy na wiersze, opowiadania i slogany. W nagrodę otrzymałyśmy miesięczną pracę w redakcji magazynu w Nowym Jorku. Opłacano nasze bieżące wydatki, a do tego dochodziły niezliczone rozmaite darmowe imprezy, bilety na balet, na pokazy mody, słynny zakład fryzjerski dbał o nasze włosy, ułatwiano nam spotkania ze znanymi osobistościami świata kultury i nauki oraz umożliwiano zasięganie porad w sprawie pielęgnacji cery.

Do dnia dzisiejszego posiadam zestaw szminek dla osoby o ciemnych oczach i włosach: owalne puzderko z tuszem do rzęs i miniaturową szczoteczką, okrągły pojemniczek niebieskich cieni do powiek, tyci, w którym akurat mieści się czubek wskazującego palca, i trzy pomadki do ust — od pomarańczy do fuksji — wszystko to umieszczone w złoconym pudełku z lusterkiem na wewnętrznej stronie wieczka. Mam też biały futerał do okularów słonecznych, nabijany kolorowymi muszelkami i cekinami, ozdobiony małą rozgwiazdą z masy plastycznej.

Wiedziałam dobrze, że firmy traktują te prezenty jako darmową reklamę swoich wyrobów, ale nie chciałam być cyniczna. Bo, szczerze mówiąc, hojne te dary bardzo mnie cieszyły. Jeszcze przez dłuższy czas ukrywałam je po różnych kątach, a później, kiedy wyzdrowiałam, wydobyłam je z ukrycia i teraz trzymam znowu na wierzchu. Od czasu do czasu używam pomadki do ust, a w zeszłym tygodniu odprułam rozgwiazdę z masy plastycznej z futerału na słoneczne okulary i dałam ją małej do zabawy.

Tak więc w hotelu mieszkałyśmy w dwunastkę, w tym samym skrzydle, na tym samym piętrze, w pojedynczych pokojach, jedna obok drugiej, co zresztą przypominało mi życie w domu studenckim. Nie był to normalny hotel — to znaczy taki, w którym mieszkają zarówno mężczyźni, jak i kobiety, jak popadnie, na tych samych piętrach.

Hotel ten — nazywał się „Amazonka" — przyjmował wyłącznie kobiety, a były to przeważnie moje rówieśnice, córki zamożnych rodziców, którzy chcieli mieć pewność, że mężczyźni nie będą mieli do nich dostępu i nie będą mogli ich uwieść; wszystkie te panny uczęszczały do szkół dla sekretarek — jak na przykład szkoła pani Katy Gibbs, gdzie wymagano, żeby przychodziły na lekcje w kapeluszach i rękawiczkach — albo były już absolwentkami takich szkół i teraz pracowały dla różnych dyrektorów bądź po prostu obijały się po Nowym Jorku i czekały na dobrą partię.

Wyglądało mi na to, że dziewczęta te okropnie się nudzą. Obserwowałam je, jak leżąc na tarasie, robią wszystko, żeby zachować przywiezioną z Bermudów opaleniznę, jak ziewają, malują sobie paznokcie u nóg, no i jak już powiedziałam, śmiertelnie się nudzą. Jedna z nich wyznała mi, że jest znudzona wycieczkami na jachtach, znudzona lataniem samolotami dokoła świata, znudzona jazdą na nartach w Szwajcarii, na dodatek znudzona mężczyznami, których poznała w Brazylii.

Mdli mnie na widok takich dziewcząt. Robię się z miejsca taka zazdrosna, że mowę mi odbiera. Miałam dziewiętnaście lat i z wyjątkiem tej wycieczki do Nowego Jorku nie ruszyłam się jeszcze nigdy poza Nową Anglię. Była to więc moja pierwsza wielka życiowa szansa, a ja siedziałam i jak głupia pozwalałam, żeby mi ta szansa przeciekała przez palce jak woda.

Przypuszczam, że jedną z przyczyn moich wszystkich kłopotów była Doreen.

Nigdy w życiu nie znałam podobnej dziewczyny. Doreen przyjechała z głębokiego Południa, z college'u dla bogatych panienek. Miała bardzo jasne, białe niemal włosy, które okalały jej głowę jak cukrowa wata, oczy niebieskie, niemal przezroczyste, jak twarde, wypolerowane paciorki z agatów i równie niezniszczalne. Jej usta stale układały się w dziwny uśmieszek. Uśmieszek bynajmniej nie przykry, raczej wesoły i tajemniczy zarazem. Uważała, że ludzie nie są nazbyt mądrzy i że gdyby chciała, to z każdego zrobiłaby balona.

Doreen wybrała mnie sobie na przyjaciółkę. Od pierwszej chwili. Dała mi do zrozumienia, że uważa mnie za znacznie inteligentniejszą od wszystkich pozostałych, a ja z kolei muszę przyznać, że była to naprawdę bardzo zabawna dziewczyna. Z reguły siadała obok mnie przy konferencyjnym stole, a kiedy nasi znakomici prelegenci wygłaszali swoje referaty, szeptała mi na ucho dowcipne i zgryźliwe uwagi.

W tym jej college'u, opowiadała mi, dziewczyny były tak zwariowane na punkcie elegancji, że robiły sobie pokrowce na torebki z tego samego materiału co suknie i w ten sposób miały do każdej toalety dobraną niby to specjalną torebkę. Tego rodzaju pomysły zawsze robiły na mnie kolosalne wrażenie. Kojarzyły mi się z życiem pełnym zamierzonej, starannie przemyślanej dekadencji, a to przyciągało mnie jak magnes.

Jeden jedyny raz Doreen nawrzeszczała na mnie. Wtedy, kiedy denerwowałam się, że nie zdążę oddać roboty na czas.

— Po co ty tak harujesz? — Doreen leżała na moim łóżku, ubrana w jedwabny szlafroczek z łososiowego jedwabiu i piłowała swoje długie, lekko pożółkłe od nikotyny paznokcie, podczas gdy ja przepisywałam na maszynie wywiad, jaki przeprowadziłam z pewnym znakomitym powieściopisarzem.

Wszystkie miałyśmy krochmalone, bawełniane nocne koszule, szlafroki pikowane albo uszyte z materiału frotté, żeby mogły służyć również jako narzutki plażowe. Ale nie Doreen. Doreen paradowała we wspaniałych, półprzezroczystych, długich do ziemi negliżach z nylonu i koronek. Tkaniny lubiła cieliste, przyklejające się do ciała. Wionął od niej bardzo interesujący, trochę piżmowy zapach potu, przypominający liście takiej jednej paproci, które zrywa się, rozgniata w dłoniach i wącha.

— Dobrze wiesz, że stara Jotka nawet nie zauważy, czy oddasz jej to jutro, czy dopiero w poniedziałek. — Doreen zapaliła papierosa. Wypuszczała dym przez nozdrza i przyglądała mi się jakby zza lekkiej zasłony. — Jotka jest brzydka jak noc — dodała beznamiętnie. — Założę się, że ten jej stary gasi wszystkie światła, zanim się do niej zabiera, inaczej by się wyrzygał.

Jotka była moją opiekunką i mimo to, co mówiła o niej Doreen, bardzo ją lubiłam. W odróżnieniu od innych gaduł, redaktorek naszego pisma, nie nakładała sztucznych rzęs i błyskotliwej, tandetnej biżuterii. Była przy tym inteligentna, więc ten wybitny brak urody wcale mnie nie raził. Czytała w kilku językach i znała wszystkich wziętych autorów, piszących do kobiecych magazynów.

Usiłowałam sobie wyobrazić Jotkę poza jej nieprzytulnym gabinetem i bez urzędowego kapelusza przeznaczonego na oficjalne obiady, leżącą z tłustym mężem w łóżku, ale jakoś mi to nie wychodziło. Zawsze mam trudności z wyobrażaniem sobie ludzi w łóżku.

Jotka chciała mnie koniecznie czegoś nauczyć, wszystkie

starsze panie zawsze chciały mnie czegoś uczyć, ale nagle nabrałam pewności, że te ich nauki już mi się na nic nie zdadzą. Teraz nałożyłam pokrywę na maszynę do pisania i zamknęłam ją.

— Mądre dziecko — uśmiechnęła się Doreen.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? — Nie chciało mi się wstawać.

— To ja, Betsy, czy idziesz z nami na przyjęcie?

— Chyba tak. — W dalszym ciągu nie chciało mi się podejść do drzwi.

Betsy była importowana prosto z Teksasu razem ze swoimi jasnymi włosami, uczesanymi w koński ogon i uśmiechem ulubienicy pułku. Pamiętam, jak kiedyś wezwano nas do gabinetu pewnego kiepsko ogolonego producenta telewizyjnego, odzianego w garnitur z materiału w prążki. Chciał się dowiedzieć, czy nie mamy jakiegoś pomysłu na program, i Betsy od razu zaczęła mu opowiadać o różnych odmianach teksaskiej kukurydzy. Mają dwie, męską i żeńską. Betsy była tak przekonywająca i tak przejęta tą swoją nieszczęsną kukurydzą, że nawet producentowi w końcu stanęły łzy w oczach, ale niestety, jak powiedział, nie był to temat nadający się do magazynu.

Nieco później redaktor działu pielęgnacji urody namówił Doreen, żeby obcięła włosy, i zaczął umieszczać jej zdjęcia na okładce, i nawet teraz widuję czasami jej uśmiechniętą twarz na reklamówkach „odzieży firmy Wragge".

Betsy nieustannie prosiła mnie, żebym szła na miasto z nią i jej przyjaciółkami. Zachowywała się tak, jak gdyby chciała się mną zaopiekować. Nigdy jednak nie zapraszała Doreen. Doreen mówiła o niej: ta dojarka.

— Czy chcesz pojechać z nami jedną taksówką? — zapytała Betsy przez zamknięte drzwi.

Doreen potrząsnęła przecząco głową.

— Dziękuję ci, Betsy — krzyknęłam — ale pojadę chyba z Doreen!

— Okay. — Betsy poczłapała w głąb korytarza.

— Pojedziemy, ale zostaniemy tylko tak długo, jak nam się będzie chciało — oświadczyła Doreen, gasząc papierosa o lampkę stojącą przy moim łóżku. — A potem pojedziemy sobie na miasto. Te ich tutejsze przyjęcia przypominają mi szkolne potańcówki w salach gimnastycznych. Nie rozumiem, dlaczego zawsze zapraszają chłopców z Yale. Są taaacy głupi!

Buddy Willard też był z Yale i gdy sobie o nim dzisiaj myślę, to dochodzę do wniosku, że też był głupi. Udawało mu się wprawdzie dostawać całkiem dobre stopnie i miał kiedyś romans z okropną kelnerką imieniem Gladys, w miejscowości letniskowej na Cape Cod, ale nie posiadał ani łuta intuicji. Doreen za to miała jej dużo. Wszystko, co mówiła, brzmiało jak tekst wydobywający się wprost z moich własnych trzewi.

Utknęłyśmy w tłoku. O tej porze zaczynały się przedstawienia w teatrach. Nasza taksówka stanęła za taksówką Betsy, a przed taksówką, w której siedziały jeszcze cztery dziewczęta, i nie mogła ruszyć z miejsca.

Doreen wyglądała cudownie. Miała na sobie białą koronkową suknię z ogromnym dekoltem, bardzo obcisłą, zapinaną na zamek błyskawiczny, a pod nią gorsecik, który ściskał ją szalenie w pasie, a uwypuklał to, co nad i pod. Skórę miała opaloną, jak gdyby wypolerowaną i lekko przypudrowaną, a pachniała jak cała perfumeria.

Ja nałożyłam na siebie obcisłą czarną suknię z szantungu, za którą zapłaciłam czterdzieści dolarów. Kiedy dowiedziałam się, że jestem jedną ze szczęściarek, które pojadą do Nowego Jorku, wypuściłam się na miasto i wydałam sporą część stypendium na wyprawę. Ta czarna suknia została zakupiona właśnie wówczas. Miała taki jakiś dziwny krój, że nie pasował pod nią żaden stanik, ale to właściwie nie miało większego znaczenia. Byłam płaska jak chłopak, a poza tym

uczucie całkowitej niemal nagości sprawiało mi przyjemność i pomagało przeżyć te gorące, parne noce.

Miasto wpłynęło fatalnie na stan mojej opalenizny. Byłam teraz żółta jak Chińczyk. Normalnie martwiłabym się z powodu tej sukni i tej żółtej cery, ale obecność Doreen kazała mi zapomnieć o wszystkich moich zmartwieniach. W jej towarzystwie czułam się jak stary, kuty na cztery nogi cynik.

W pewnym momencie jakiś facet w niebieskiej sportowej koszuli, czarnych obcisłych spodniach i kowbojskich butach oderwał się od drzwi baru, wyłonił się spod pasiastej markizy i zaczął zbliżać się do naszej taksówki lekko kołyszącym się krokiem. Od razu wiedziałam, że nie chodzi mu o mnie, ale, oczywiście, o Doreen. Przemknął się zręcznie pomiędzy samochodami i wsunął głowę przez nasze otwarte okienko.

— A cóż to, jeżeli można zapytać, dwie ładne samotne panienki robią w taksówce w taki piękny wieczór?

Uśmiechał się szerokim, durnym uśmiechem prosto z reklamy pasty do zębów.

— Jedziemy na przyjęcie — wymknęło mi się, a to z tej przyczyny, że Doreen nagle zupełnie zidiociała i tylko coś tam kręciła przy swoim białym, koronkowym pokrowcu na torebkę.

— To nuda — oświadczył młody człowiek. — Proponuję, żeby panie wypiły ze mną jednego w tym oto barku. Czeka tam na mnie kilku przyjaciół.

Wskazał głową grupę dość dziwacznie ubranych młodzieńców, którzy stali pod markizą. Obserwowali go od samego początku, a teraz, kiedy spojrzał na nich, wybuchnęli śmiechem.

Śmiech ten powinien był być dla mnie ostrzeżeniem. Taki to był niezbyt głośny, wszechwiedzący rechocik, ale w tej samej chwili samochody zaczęły ruszać i wyglądało mi na to, że jeżeli nie zdecydujemy się szybko, to za dwie sekundy będziemy żałowały, że nie skorzystałyśmy z okazji

obejrzenia Nowego Jorku z innej nieco strony niż zaplanowali nasi opiekunowie z redakcji magazynu.

— No jak, Doreen? — zapytałam.

— No i jak, Doreen? — powtórzył za mną młody człowiek i dalej się uśmiechał. Do dzisiejszego dnia nie wiem, jak wyglądał, kiedy nie miał tego uśmiechu na twarzy. Wydaje mi się, że uśmiechał się przez cały wieczór. To musiała być jego druga natura. Ten uśmiech.

— No, niech będzie — powiedziała Doreen do mnie. Otworzyłam więc drzwiczki i wysiadłyśmy z taksówki w momencie, w którym właśnie mogła posunąć się naprzód o kilka metrów. Pobiegłyśmy w stronę baru. Za nami rozległ się straszliwy zgrzyt hamulca i kilka głuchych stuknięć.

— Hej, zaraz! — Nasz taksówkarz, wściekły i purpurowy na twarzy, wysunął głowę. — Co to ma znaczyć?

Zatrzymał się tak gwałtownie, że taksówka jadąca za nim musiała stuknąć go w bagażnik, a wszystkie cztery znajdujące się w niej dziewczyny obsunęły się. Widziałyśmy, jak się gramolą i wierzgają nogami.

Młody człowiek roześmiał się, odprowadził nas na chodnik, wrócił do taksówki i wręczył kierowcy banknot. Rozległo się straszne trąbienie, zaczęły padać wyzwiska, ale zaraz potem wszystkie dziewczęta z naszego magazynu przesunęły się taksówkami jak korowód weselny złożony z samych druhen.

— Chodź no tu, Frankie. — Nasz młody człowiek skinął na niskiego, rozczochranego faceta, który oderwał się od grupy kolegów i wszedł z nami do baru.

Nie cierpię takich typów. Miał zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu. Jak stoję obok niskich mężczyzn, nachylam się, żeby być niższą, zapadam w talii, przy czym jedno biodro idzie wyżej, drugie za to niżej. Zaczyna mi być głupio i na dodatek mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią.

Przez chwilę miałam płonną nadzieję, że dobierzemy się według wzrostu, a wówczas mnie przypadłby ten młody

człowiek, który nas poderwał, bo miał dobre metr dziewięćdziesiąt, ale nic z tego, od razu poszedł naprzód z Doreen i nawet na mnie nie spojrzał. Udawałam, że nie widzę tego Frania, który pętał się gdzieś w okolicy mojego łokcia, a kiedy usiedliśmy, niemalże przytuliłam się do Doreen.

W barze było tak ciemno, że widziałam właściwie tylko ją. Jej jasne włosy i biała suknia srebrzyły się w ciemności, myślę, że to z powodu lampy neonowej nad barkiem. Czułam, że rozmazuję się w tym świetle jak negatyw jakiejś osoby, której nigdy w życiu przedtem nie widziałam.

— No więc, czego się napijemy? — zapytał nas młody człowiek z tym swoim szerokim uśmiechem.

— Myślę, że może koktajl Old Fashioned — rzuciła Doreen w moją stronę.

Zamawianie napojów nie było moją mocną stroną. Nie odróżniałam whisky od dżinu i nigdy nie udawało mi się dostać czegoś, co by mi naprawdę smakowało. Buddy Willard czy inni studenci, z którymi dotychczas wychodziłam, albo nie mieli pieniędzy na prawdziwy alkohol, albo w ogóle nie pili. Jest rzeczą zadziwiającą, ilu studentów nie pije ani nie pali. W każdym razie wszyscy moi znajomi. Najśmielsze posunięcie Buddy'ego Willarda w tej dziedzinie to dzień, kiedy kupił butelkę Dubonneta, a i to zrobił jedynie i wyłącznie po to, żeby mi udowodnić, iż jest estetą, mimo że studiuje medycynę.

— Dla mnie wódka — powiedziałam.

Młody człowiek spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

— Z czym? — zapytał.

— Czysta — odparłam. — Zawsze piję czystą.

Obawiałam się, że się wygłupię, jeżeli zażądam do wódki lodu albo dżinu, albo czegokolwiek. Widziałam kiedyś reklamę firmy produkującej wódkę: kieliszek pełen przezroczystego płynu, stojący samotnie na bryle lodu wśród śnieżnej zamieci. Cały obrazek tonął na dodatek w błękitnej poświacie, wódka zaś była krystaliczna, przezroczysta jak

woda, wydedukowałam więc, że wódkę pije się czystą, z niczym nie zmieszaną.

Podszedł kelner i chłopcy złożyli zamówienie. W tym swoim kowbojskim przebraniu nasz gospodarz wyglądał tu jak u siebie w domu i pomyślałam, że może jest to jakiś znany człowiek.

Doreen milczała i tylko bawiła się niewielką korkową matą, która leżała przed nią na stole, a po chwili zapaliła, ale on nie miał jej tego za złe. Wybałuszał na nią oczy, tak jakby stał w zoo przed klatką z małpą i czekał, żeby odezwała się ludzkim głosem.

Przyniesiono drinki, a moja wódka wyglądała zupełnie jak na tamtym obrazku, biała i przezroczysta.

— Co pan robi? — zapytałam wreszcie naszego gospodarza po to, żeby przerwać milczenie, które obrastało nas jak gęsta trawa w dżungli. — To znaczy, chciałam zapytać, co pan robi tu, w Nowym Jorku.

Powoli i jak gdyby z wielkim wysiłkiem oderwał oczy od nagiego ramienia Doreen i powiedział:

— Jestem dyskdżokejem. Może pani o mnie słyszała. Nazywam się Lenny Shepherd.

— Ja pana znam — odezwała się nagle Doreen.

— To mnie bardzo cieszy, kochana — roześmiał się. — To się świetnie składa. No tak, jestem znany, wszyscy znają mnie jak zły szeląg.

Po czym Lenny Shepherd spojrzał długo i przeciągle na swego towarzysza.

— Hej! — odezwał się tamten. — Skąd wy, dziewczyny, jesteście i jak się nazywacie?

— To jest Doreen — odparł Lenny, objął jej nagie ramiona i przycisnął ją do siebie.

Ze zdumieniem stwierdziłam, że Doreen zupełnie na to nie reaguje. Po prostu siedziała sobie, ciemnoskóra, niczym tleniona Murzynka w białej sukni, i wytwornie pociągała ze swojego kieliszka.

— Nazywam się Elly Higginbottom i mieszkam w Chicago — skłamałam i natychmiast poczułam się bezpieczniej. Nie chciałam, żeby to, co robiłyśmy tu, w tym barze, kojarzyło się w jakikolwiek sposób z moim prawdziwym nazwiskiem, ze mną i moim rodzinnym Bostonem.

— No to fajno, Elly, zatańczymy?

Myśl o zatańczeniu z tym pokurczem w pomarańczowych butach na koturnach, skąpym podkoszulku i wymiętej, granatowej marynarce sportowej wydała mi się wprost śmieszna. Nie cierpię facetów w granatowych ubraniach. Szare, czarne, a nawet brązowe, proszę bardzo. Ale granatowe ubranie jest dla mnie po prostu śmieszne.

— Nie jestem w humorze — odpowiedziałam wyniośle, odwróciłam się do niego plecami i przysunęłam się wraz z krzesłem do Doreen i Lenny'ego.

A oni wyglądali, jak gdyby byli starymi przyjaciółmi. Doreen za pomocą długiej, srebrnej łyżki wyciągała kawałki owoców z dna swojej szklanki. Wkładała je do ust, a wtedy Lenny warczał cicho, jak pies, który widzi kość, i udawał, że niby chce jej zabrać ten kęs. Doreen chichotała i dalej wyławiała owoce z dna szklanki.

Wódka smakowała mi. Nareszcie znalazłam swój trunek. Nie miała określonego smaku i spływała gładko do żołądka jak nóż połykacza noży, dodając mi animuszu i boskiej pewności siebie.

— To ja sobie chyba pójdę — oświadczył Frankie i podniósł się.

Było tak ciemno w tym barze, że nawet go dobrze nie widziałam, ale po raz pierwszy zauważyłam, że ma piskliwy, głupi głosik. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

— Hej, Lenny, jesteś mi coś winien. Pamiętasz, Lenny, pamiętasz, że jesteś mi coś winien?

Wydało mi się bardzo dziwne, że wybrał sobie akurat ten moment, żeby przypomnieć Lenny'emu, że ten mu jest coś winien, ale stał i powtarzał to zdanie w kółko i to dopóty,

dopóki Lenny nie wsunął ręki do kieszeni, nie wyciągnął grubego zwitka zielonych banknotów i nie wręczył mu jednego. Wydaje mi się, że był to banknot dziesięciodolarowy.

— Zamknąć mi się już i wynocha — syknął.

Przez chwilę myślałam, że dotyczy to również i mnie, ale zaraz usłyszałam słowa Doreen.

— Nie pójdę nigdzie bez Elly — powiedziała. Trzeba jej przyznać, że bez wahania nazwała mnie moim przybranym imieniem.

— O, Elly pójdzie z nami, prawda, Elly? — Lenny mrugnął do mnie.

— Pewnie — odpowiedziałam. Tamten rozpłynął się, więc pomyślałam sobie, że chyba naprawdę pójdę z nimi. Ostatecznie chciałam przeżyć, ile się da.

Szalenie lubię przyglądać się ludziom znajdującym się w podbramkowych sytuacjach. Wypadek drogowy, bójka uliczna, embrion pływający w słoju pełnym spirytusu. Interesuje mnie wszystko. Stoję i gapię się tak intensywnie, jak gdybym to chciała zapamiętać na całe życie.

W ten sposób nauczyłam się bardzo wielu rzeczy i nawet wtedy, kiedy przerażają mnie albo przyprawiają o mdłości, niczego po sobie nie pokazuję i zawsze udaję, że dokładnie tak to sobie wyobrażałam.

Rozdział II

Bardzo się cieszę, że poszłam do mieszkania Lenny'ego.

Znajdowało się w dużej nowojorskiej kamienicy czynszowej, ale było wyposażone i umeblowane dokładnie jak dom na kowbojskim ranczo. Lenny kazał usunąć kilka ścian i uzyskał wielki pokój, wyłożył go boazerią z sosnowego drewna i zainstalował duży bar w kształcie podkowy. Bar też był z sosny, o ile się nie mylę, posadzka także z sosnowych klepek.

Wszędzie rozścielone były duże, białe skóry niedźwiedzie, a za jedyne umeblowanie służyły niskie tapczany, pokryte indiańskimi matami. Zamiast obrazów wisiały na ścianach rogi jelenie, rogi bawole i wypchana głowa królika. Lenny wskazał kciukiem na smutny, szary pyszczek i sztywne uszka nieszczęsnego stworzonka i oświadczył:

— Przejechałem toto pod Las Vegas.

Przeszedł szybkim krokiem przez wielki pokój. Obcasy jego wysokich kowbojskich butów stukały po posadzce, co odbijało się echem od drewnianych boazerii.

— Akustyka — wyjaśnił i robił się coraz mniejszy i mniejszy, aż wreszcie zniknął w głębi za jakimiś drzwiami.

I od razu ze wszystkich ścian zaczęła płynąć muzyka, która po chwili umilkła, a rozległ się głos Lenny'ego:

— Jest północ, proszę państwa, a ja, wasz dyskdżokej, Lenny Shepherd, przynoszę wam wiązankę popularnych me-

lodii z czołowej dziesiątki płyt tygodnia. Ósma w tym tygodniu, nasza własna jasnowłosa, jasnooka synogarlica, o której wszyscy dzisiaj mówią... jedyna, niezrównana, wspaniała, sensacyjna *Anna Słoneczna*!

Urodziłam się w Kansasie,
Wychowałam się w Kansasie,
A jak znajdę chłopaka,
Ślub wezmę też w Kansasie...

— Co za facet! — odezwała się Doreen. — No, powiedz sama. Dziwny jakiś, no nie?

— Jeszcze jak — odparłam.

— Zrób coś dla mnie, Elly — dodała. Widocznie naprawdę już uwierzyła, że jestem jakąś Elly.

— No, mów.

— Nie odchodź, słyszysz? Żeby nie wiem co. Jakby ten się do mnie zabrał, to marny mój los. Czy zauważyłaś jego bicepsy? — Doreen zachichotała głupkowato.

Lenny wyłonił się z drugiego pokoju.

— Powiem wam, że mam tu ekwipunek dźwiękowy wartości dwudziestu tysięcy. — Przetoczył się do baru, wyjął trzy szklanki i srebrny kubełek do lodu i zaczął mieszać jakiś koktajl z różnych butelek.

...dziewczyna-cud, słoneczna dziewczyna...
ze stanu, w którym kwitną słoneczniki.

— Wspaniałe, co? — Lenny podszedł do nas, zręcznie żonglując trzema pełnymi szklankami. Były zapotniałe i zroszone zimnymi kroplami, a kawałki lodu pobrzękiwały w nich jak dzwoneczki. Piosenka kończyła się przeciągłym zawodzeniem i zaraz potem rozległ się znowu głos Lenny'ego. Zapowiadał następny numer.

— Nie ma nic przyjemniejszego ponad słuchanie własnego głosu — oświadczył. — Ale chwileczkę... — Przyjrzał mi się uważnie. — Frankie nawalił, muszę ci wytrzasnąć innego faceta. Zaraz zadzwonię do któregoś z kolegów.

— Nie trzeba — powiedziałam. — Mnie na tym nie zależy. — Miałam ochotę powiedzieć mu szczerze, że jeżeli się już fatyguje, to żeby mi sprowadził kogoś przynajmniej o kilka cali wyższego.

Lenny odetchnął z ulgą.

— No dobra, skoro ci naprawdę nie zależy. Za nic nie chciałbym sprawić przykrości przyjaciółce Doreen. — Uśmiechnął się do niej, szczerząc swoje wielkie białe zęby. — Prawda, kotku?

Wyciągnął do niej rękę, a ona wstała bez słowa i od razu zaczęli podrygiwać, nie wypuszczając przy tym szklanek z rąk.

Siedziałam ze skrzyżowanymi nogami na jednym z tapczanów i usiłowałam zachowywać się obojętnie i beznamiętnie, jak jeden biznesmen, którego obserwowałam, kiedy patrzył na taniec brzucha. Ale ponieważ oparłam się plecami o ścianę, tapczan zaczął jechać na środek pokoju, więc zsunęłam się na ziemię, siadłam na niedźwiedziej skórze i oparłam się o brzeg tapczana.

Mój drink był mocny, deprymujący jakiś. Miał smak stęchłej wody. Gorszy z każdym łykiem. W połowie szklanki namalowane było różowe lasso w żółte kropki. Wypiłam tyle, że poziom płynu znalazł się o mniej więcej dwa centymetry poniżej lassa, zrobiłam przerwę, a kiedy znowu zabrałam się do picia, lasso znajdowało się, cudem jakimś, znowu tuż pod poziomem drinka.

Gromki głos Lenny'ego dochodził teraz, nie wiadomo dlaczego, z sufitu. *Dlaczego, ach, dlaczego wyniosłem się z Oswego...*, śpiewał.

Doreen i Lenny nie przestawali podrygiwać nawet w przerwach pomiędzy płytami. Czułam, że kurczę się coraz bardziej i bardziej i po pewnym czasie byłam pewna, że jestem już tylko małą, czarną kropką na tle czerwieni i bieli dywa-

nów, no i tej sosnowej boazerii. Czułam się, co tu ukrywać, jak dziura w moście.

Jest coś szalenie demoralizującego w widoku dwojga ludzi, którzy najwyraźniej dostali bzika na swój temat, szczególnie jeżeli się jest jedyną postronną osobą w pokoju.

Można to tylko porównać do uczucia, jakiego doznaje się na przykład, kiedy odjeżdża się z Paryża ostatnim wagonem pociągu towarowego, który, jak wiadomo, ma okienko z tyłu. Z każdą sekundą miasto maleje i maleje, a człowiekowi się zdaje, że to nie miasto maleje, tylko on, że to on staje się coraz mniejszy i mniejszy, samotniejszy i samotniejszy, bo oddala się z szybkością miliona kilometrów na godzinę od świateł wielkiego miasta i od wszystkich kotłujących się tam spraw.

Od czasu do czasu Lenny i Doreen padali sobie w objęcia, całowali się, swingowali do baru po świeżego drinka i powracali do swoich pląsów. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jak zwinę się w kłębek na niedźwiedziej skórze i prześpię się, aż Doreen zdecyduje, że możemy wrócić do hotelu.

Nagle Lenny wydał z siebie dziki ryk. Usiadłam. To Doreen wbiła zęby w jego lewe ucho.

— Puszczaj, kurwo!

Lenny pochylił się gwałtownie, przerzucił sobie Doreen przez ramię, jej drink zatoczył wielkie półkole, a szklanka z idiotycznym brzękiem rozbiła się o boazerię. Lenny wciąż ryczał jak zarzynane prosię i wirował z tak zawrotną szybkością, że nie widziałam twarzy Doreen.

Zauważyłam mimochodem, tak jak notuje się kolor czyichś oczu, że piersi Doreen wyskoczyły z dekoltu sukni i kołyszą się jak dwa jędrne, dojrzałe melony, a ona przerzucona przez ramię Lenny'ego wierzga nieprzytomnie nogami. Poza tym jeszcze bardzo głośno piszczała. Po chwili obydwoje zaczęli się dziko śmiać, zwolnili nieco tempo, Lenny próbował ugryźć Doreen przez spódnicę w biodro, więc uznałam, że trzeba ich chyba zostawić, wyśliznęłam się z pokoju i trzymając się oburącz poręczy schodów, na pół skacząc, a na pół czołgając się, dotarłam na dół.

Nie pamiętałam o tym, że w mieszkaniu Lenny'ego była klimatyzacja, i kiedy znalazłam się na ulicy, aż się zatoczyłam, uderzona falą tropikalnego fetoru, która ogarnęła mnie znienacka. Asfalt przez cały dzień pochłaniał gorące, smrodliwe wyziewy ulicy, a nocą wypuszczał je z siebie. Dostałam tym jak pięścią między oczy. Poza tym nie miałam zielonego pojęcia, gdzie jestem. Przez minutę zastanawiałam się nad możliwością pojechania taksówką na przyjęcie, ale zaraz zrezygnowałam, bo myśl o tym, że mogłabym się znaleźć w pustej sali balowej, pełnej confetti, niedopałków i zmiętych serwetek papierowych, przeraziła mnie.

Ruszyłam w kierunku najbliższego narożnika. Jednym palcem wodziłam po murach domów, żeby nie stracić równowagi. Spojrzałam na tablicę z numerem ulicy, po czym wyciągnęłam plan miasta z torebki i stwierdziłam, że znajduję się dokładnie o czterdzieści trzy ulice od mojego hotelu.

Chodzenie nigdy mnie nie przerażało. Ustawiłam się więc we właściwym kierunku i ruszyłam przed siebie, licząc kolejne ulice, a kiedy weszłam do holu naszego hotelu, byłam już zupełnie trzeźwa, nogi miałam tylko lekko obrzmiałe, co było zresztą moją winą, ponieważ zapomniałam włożyć pończochy.

Hol był pusty. Jedynie nocny portier drzemał w swojej loży wśród kluczy i milczących telefonów.

Wśliznęłam się do służbowej windy i nacisnęłam guzik. Drzwi zasunęły się za mną bezszelestnie, zatkało mi uszy i zobaczyłam nagle twarz jakiejś Chinki, uśmiechającej się do mnie głupawo. Było to, rzecz prosta, moje własne odbicie w lustrze. Z przerażeniem stwierdziłam, że wyglądam jak zmęczona i pomarszczona staruszka.

Na korytarzu nie było żywej duszy. Weszłam do swojego pokoju. Wisiał w nim gęsty dym. Z początku pomyślałam, że dym ten zmaterializował się tak z niczego, że był czymś

w rodzaju kary Bożej, ale po sekundzie przypomniałam sobie, że był to dym po papierosach Doreen, i nacisnęłam lewarek, za pomocą którego otwierało się okno. Okna w tym hotelu były tak skonstruowane, żeby nie można ich było otworzyć na oścież i wychylić się. Nie wiem dlaczego, ale strasznie mnie to teraz rozzłościło.

Stanęłam na lewo od okna, przyłożyłam twarz do framugi, co pozwoliło mi spojrzeć na ulicę. W oddali kołysała się leciutko sylwetka gmachu Narodów Zjednoczonych. W ciemnościach nocy budynek ten wyglądał jak wielki, zielony, niesamowity plaster miodu. Może są takie na Marsie. Wzdłuż jezdni mrugały białe i czerwone światła, a dalej latarnie mostów, których nazw nie znałam. Cisza podziałała na mnie przygnębiająco. Nie ta na zewnątrz, ale ta we mnie.

Wiedziałam doskonale, że sunące wzdłuż ulic samochody hałasują, że znajdujący się w nich ludzie, ludzie mieszkający za fasadami tych wszystkich domów, wydają z siebie najrozmaitsze dźwięki, że rzeka szumi, ale że ja tego wszystkiego nie słyszę. Miasto wisiało za moim oknem płaskie jak afisz, połyskujące i migotliwe, ale co z tego, co z tego, skoro nic do mnie nie docierało.

Porcelanowobiały telefon, stojący przy łóżku, mógł, być może, połączyć mnie ze światem, ale co z tego z kolei, skoro milczał na nocnym stoliku niczym trupia czaszka. Usiłowałam sobie przypomnieć nazwiska wszystkich osób, którym dałam swój numer telefonu, żeby sobie uświadomić, kto ewentualnie mógłby do mnie zadzwonić, ale do głowy przychodziło mi jedynie i wyłącznie nazwisko matki Buddy'ego Willarda. Ona z kolei miała podać mój numer jakiemuś tłumaczowi kabinowemu z ONZ.

Wydałam z siebie krótki, sarkastyczny śmiech.

Można sobie wyobrazić, co to mógł być za tłumacz kabinowy, z którym pragnęła mnie skontaktować pani Willard. Wiedziałam przecież doskonale, że pani Willard marzy jedynie i wyłącznie o tym, żebym wyszła za mąż za jej syna

Buddy'ego, który w tej chwili znajdował się w górach, w stanie Nowy Jork, w sanatorium dla gruźlików. Pani Willard wystarała mi się nawet na lato o posadę kelnerki w tymże sanatorium, po to oczywiście, żeby jej syn nie czuł się osamotniony. Zarówno ona, jak i Buddy zupełnie nie mogli zrozumieć, dlaczego zamiast tego zdecydowałam się na wyjazd do Nowego Jorku.

Lustro na mojej toaletce wydało mi się lekko spaczone i jakieś bardzo błyszczące. Twarz, która się w nim odbijała, przypominała mi moje własne odbicie w lampie dentysty. Przyszło mi na myśl, że może najlepiej byłoby wsunąć się pomiędzy prześcieradła i zasnąć, ale po chwili pomysł ten wydał mi się równie nieatrakcyjny, jak na przykład wsunięcie pomiętego i poplamionego listu do czystej, białej koperty. Postanowiłam więc wziąć gorącą kąpiel.

Gorąca kąpiel jest dobra na wszystko, no, prawie na wszystko. Kiedy bywa mi tak smutno, że chciałabym umrzeć, albo kiedy jestem zbyt zdenerwowana, żeby zasnąć, albo zakochana w chłopcu, którego nie zobaczę przez cały tydzień, wpadam w skrajną depresję, a w końcu mówię sobie: — Pójdę i wezmę gorącą kąpiel.

W kąpieli medytuję. Woda musi być bardzo gorąca, tak gorąca, żeby parzyła, kiedy się wkłada nogę do wanny. Trzeba się zanurzać bardzo powoli, centymetr po centymetrze.

Pamiętam sufit nad każdą wanną, w której się kiedykolwiek wylegiwałam. Pamiętam kolor tynku, rysy, pęknięcia, wilgotne zacieki, no i lampy. Pamiętam kształt wanien: stare, na wygiętych nogach, i nowoczesne, podobne do trumien, i wymyślne, różowe, marmurowe, w cudownych łazienkach z oknami o zamglonych szybach, na których wymalowano stawy zarośnięte liliami wodnymi. Pamiętam też kształty i rozmiary kurków i mydelniczek.

W wannie z gorącą wodą staję się naprawdę sobą.

Tak więc blisko godzinę przeleżałam w wannie, na siedemnastym piętrze nowojorskiego hotelu dla kobiet, hen wy-

soko ponad zgiełkiem i szaleństwem Nowego Jorku, i czułam, że powoli staję się znowu czysta. Nie wierzę w chrzest ani w wody Jordanu, ani w różne takie hocki-klocki, ale co tu gadać, gorąca kąpiel to dla mnie mniej więcej to samo, co dla niektórych ludzi święcona woda.

Powtarzałam sobie w duchu: — Doreen się rozpuszcza, Lenny Shepherd się rozpuszcza, Frankie się rozpuścił, Nowy Jork się rozpuścił, wszyscy i wszystko rozpuści się, spłynie i straci znaczenie. Nie znam tych ludzi, nigdy ich nie znałam, jestem czysta jak łza. Cały ten alkohol, wszystkie pocałunki, które widziałam, i brud, co osiadł na mojej skórze w drodze do hotelu, wszystko znikło jak kamfora.

I im dłużej leżałam w gorącej, przezroczystej wodzie, tym czułam się bielsza, a kiedy wreszcie opuściłam wannę i otuliłam się miękkim, białym, hotelowym prześcieradłem kąpielowym, czułam się świeża i nieskalana jak nowo narodzone dziecię.

Sama nie wiem, jak długo spałam, kiedy zbudziło mnie pukanie do drzwi. Z początku nie zwracałam na nie żadnej uwagi, ponieważ jakiś głos powtarzał w kółko: — Elly, Elly, Elly, wpuść mnie — a ja nie znałam żadnej Elly. A potem do tego pukania dołączyło się inne, mocniejsze, bardziej stanowcze, i drugi, znacznie energiczniejszy głos zawołał: — Panno Greenwood, przyjaciółka panią prosi! — Wtedy zorientowałam się, że chodzi o Doreen.

Z trudem stanęłam na nogi i przez dobrą minutę chwiałam się sennie na środku ciemnego pokoju. Byłam zła na Doreen, że mnie obudziła. Jedyną szansą jako takiego przeżycia tej okropnej nocy był sen, a ona musiała przyjść i wszystko zepsuć. Zdecydowałam udawać, że śpię, w nadziei, że to pukanie się skończy i zostawią mnie w spokoju, więc czekałam cicho, ale nic z tego nie wyszło.

— Elly, Elly, Elly — mamrotał pierwszy głos, podczas gdy drugi wciąż syczał: — Panno Greenwood, panno Greenwood, panno Greenwood. — Zupełnie jak gdybym miała dwie jaźnie czy coś w tym rodzaju.

Otworzyłam w końcu drzwi i wyjrzałam na jasno oświetlony korytarz. Wydało mi się nagle, że to nie dzień ani noc, tylko jakaś podejrzana przerwa między jednym a drugim, co wśliznęła się w sam środek doby i już nigdy nie odejdzie.

Doreen stała oparta o framugę. Gdy otworzyłam drzwi, obsunęła się i po prostu wpadła mi w ramiona. Nie widziałam jej twarzy, ponieważ była całkowicie zasłonięta włosami. Sztywne, tlenione loki spadały jej na piersi jak końska grzywa. Przy samej skórze widniało ciemne pasmo odrostów.

W niskiej, tęgiej, wąsatej kobiecie, ubranej w czarną suknię i biały fartuch, poznałam nocną pokojówkę, która spędzała swoje dni w małym pokoiku na końcu korytarza, prasując nasze suknie i wieczorowe toalety. Nie mogłam w żaden sposób zrozumieć, skąd ona zna Doreen, dlaczego nie zaprowadziła jej po prostu do jej własnego pokoju, zamiast robić raban przed moim.

Kiedy pokojówka zobaczyła, że Doreen się uspokaja i już tylko od czasu do czasu wydaje z siebie głęboki, dziecinny szloch, powróciła do swojego pokoiczku, swojej rozklekotanej maszyny Singera i swojej deski do prasowania. Miałam ochotę pobiec za nią i powiedzieć, że nie mam nic wspólnego z Doreen, a to dlatego, że ta pokojówka przypominała mi, wypisz wymaluj, moją austriacką babkę. Wyglądała na spracowaną, wyznającą surowe obyczaje i sztywne zasady moralne kobietę. Istny portret emigrantki europejskiej sprzed pół wieku.

— Do łóżeczka, do łóżeczka — napraszała się Doreen. — Do łóżeczka, do łóżeczka.

Byłam absolutnie pewna, że jeśli teraz przeniosę Doreen przez próg mojego pokoju i położę ją do łóżka, to koniec, kropka, nigdy w życiu już się jej nie pozbędę.

Ciało jej, miękkie i ciepłe, okrywało mnie jak puchowa pierzyna. Wpierała się we mnie, a nogi jej, obute w idioty-

czne pantofelki na szpilkach, wlokły się po ziemi. Zaniesienie Doreen do jej własnego pokoju było ponad moje siły.

Postanowiłam rzucić ją na dywan korytarza, zamknąć się na klucz i wrócić do łóżka. Kombinowałam, że jak Doreen się obudzi, to nic nie będzie pamiętała, pomyśli, że zemdlała przed moimi drzwiami, kiedy spałam, wstanie i spokojnie pójdzie do siebie.

Zaczęłam ją więc powoli opuszczać na zielony chodnik, ale w tej chwili jęknęła i wysunęła mi się z rąk. Fontanna brunatnych rzygowin trysnęła z jej ust i rozlała się wielką kałużą u moich stóp.

Potem Doreen zwiotczała zupełnie i zrobiła się ciężka jak kloc. Opadła na podłogę, głową w kałużę, a jasne strąki jej włosów sterczały jak korzenie w bajorze. Zasnęła natychmiast kamiennym snem. Odsunęłam się. Sama byłam na pół przytomna z senności.

Tejże nocy postanowiłam zmienić mój stosunek do Doreen. Przyrzekłam sobie, że będę z nią rozmawiała, obserwowała ją uważnie, ale że nie będę się z nią przyjaźniła. Bliższa mi była Betsy i jej prostoduszne przyjaciółki. Zrozumiałam, że w gruncie rzeczy ona jest mi najbliższa.

Cichutko wycofałam się z korytarza i zamknęłam za sobą drzwi. Po namyśle nie przekręciłam klucza. Nie potrafiłam się jakoś na to zdobyć.

Kiedy się przebudziłam, było znowu wściekle gorąco, pochmurno i mgliście. Umyłam twarz zimną wodą, pomalowałam usta i ostrożnie otworzyłam drzwi. Spodziewałam się, że zobaczę tam ciało Doreen w kałuży rzygowin, naoczne, jaskrawe świadectwo mojego podłego charakteru.

W korytarzu nie było żywej duszy. Chodnik ciągnął się przez całą jego długość, od ściany do ściany, czysty i wiecznie zielony, z wyjątkiem nikłej, wysychającej już plamy tuż pod moimi drzwiami. Wyglądało to, jak gdyby ktoś niechcący wylał szklankę wody i natychmiast wytarł plamę czystą ściereczką.

Rozdział III

W redakcji „Dnia Kobiety" na stole bankietowym stały talerze z połówkami avocado, nafaszerowane sałatką z krabów w majonezie, wielkie półmiski z różową polędwicą i zimną kurą i tu i ówdzie kryształowe miseczki wypełnione po brzegi czarnym kawiorem. Ponieważ nie zdążyłam zjeść śniadania w kafeterii hotelowej i tylko szybko wypiłam filiżankę zbyt mocno palonej kawy, miałam niesmak w ustach, a jednocześnie byłam głodna jak wilk.

Przed moim przyjazdem do Nowego Jorku nie jadłam ani razu w prawdziwej restauracji. Nie liczę oczywiście przydrożnych zajazdów firmy „Howard Johnson", gdzie z reguły zamawiałam hamburgery, frytki i koktajl mleczno-waniliowy. Bywałam tam z takimi osobnikami jak Buddy Willard. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale najbardziej na świecie kocham dobre jedzenie. Mogę jeść, ile wlezie, i nigdy nie tyję. Z wyjątkiem jednego krótkiego okresu waga moja nie zmieniła się od dziesięciu lat.

Moje ulubione potrawy zawierają dużo masła, śmietany i sera. W Nowym Jorku byłyśmy co dzień zapraszane do najdroższych restauracji, zarówno przez różne osoby z magazynu, jak i przez najrozmaitszych znanych literatów. Nabrałam takiego zwyczaju: przeczytawszy uważnie olbrzymią, ręcznie wypisaną kartę — najmniejszy talerzyk zielonego groszku kosztował tam pięćdziesiąt, sześćdziesiąt centów — wybierałam najdroższe, najbardziej obfite i tuczące dania.

— *Trzydzieści najlepszych opowiadań roku.* — Rzuciła mi książkę na kolana. — Jest tam jeszcze jedenaście egzemplarzy tego arcydzieła. Przypuszczam, że to literatura w sam raz dla chorych. Ale zaraz, gdzie jest ten prezent dla mnie?

Wyjęłam z torebki lusterko z jej imieniem i wianuszkiem stokrotek i wyciągnęłam rękę. Spojrzałyśmy na siebie i wybuchnęłyśmy śmiechem.

— Mogę ci dać mój rosołek, jeżeli chcesz — zaofiarowała się. — Postawili na tacę przez omyłkę dwanaście kubków, ale Lenny i ja tak opchaliśmy się parówkami z musztardą, kiedy czekaliśmy, żeby przestało padać, że nie mogłabym już niczego przełknąć.

— Dawaj ten rosół — zażądałam. — Umieram z głodu.

Rozdział V

Nazajutrz o siódmej rano zadzwonił telefon.

Powoli wypływałam na powierzchnię czarnego jak smoła snu. Otrzymałam już depeszę od Jotki, którą wetknęłam w ramę lustra. Wyrażała nadzieję, że wkrótce całkowicie wydobrzeję, słowa współczucia z powodu niefortunnego wypadku i prośbę, żebym nie przychodziła do pracy, dopóki nie odzyskam sił. Nie miałam więc zielonego pojęcia, kto mógłby do mnie dzwonić.

Wyciągnęłam rękę spod kołdry, podniosłam słuchawkę, oparłam ją o prawy obojczyk i powiedziałam: — Halo?

— Czy to panna Esther Greenwood? — zabrzmiał piękny baryton z nikłą nutką cudzoziemskiego akcentu.

— Tak jest, oczywiście.

— Tu mówi Konstanty Taki-to-a-taki.

Absolutnie nie mogłam zrozumieć jego nazwiska, pełno w nim było liter *s* i *k*, poza tym w życiu nie znałam żadnego Konstantego, ale nie miałam serca, żeby go rozczarować.

Po sekundzie przypomniała mi się jednak pani Willard i jej tłumacz kabinowy z ONZ.

— Ależ oczywiście, oczywiście! — krzyknęłam, usiadłam i oburącz ujęłam słuchawkę. Nigdy nie przypuszczałam, że dzięki pani Willard poznam człowieka imieniem Konstanty.

Od dawna kolekcjonowałam mężczyzn o interesujących imionach. Znałam już jednego Sokratesa. Był wysoki, brzydki i piekielnie inteligentny, syn słynnego hollywoodzkiego

producenta filmowego, ale niestety katolik, co przesądzało sprawę zarówno dla niego, jak i dla mnie. Poza Sokratesem znałam jeszcze Rosjanina imieniem Attyla. Był studentem bostońskiej Akademii Handlowej.

Z trudem zmobilizowałam się, żeby zrozumieć, o co chodzi temu Konstantemu. Po prostu chciał się ze mną umówić na dzisiejsze popołudnie.

— Czy chciałaby pani obejrzeć gmach ONZ dziś późnym popołudniem? — zapytał.

— Kiedy ja go doskonale widzę stąd — zachichotałam prawie histerycznie.

Był wyraźnie zaskoczony.

— Z mojego okna — wyjaśniłam w przekonaniu, że moja angielszczyzna jest dla niego niezrozumiała.

Zapanowało milczenie.

— A czy zgodziłaby się pani pójść ze mną potem na małą kolacyjkę? — powiedział po chwili.

Rozpoznałam z miejsca słownictwo pani Willard i ręce mi opadły. Pani Willard z reguły zapraszała ludzi na małe kolacyjki. Przypomniało mi się, że ten Konstanty Taki-to-a-taki zaraz po swoim przyjeździe do Ameryki często bywał u Willardów, bo pani Willard należała do organizacji, której członkowie przyjmowali przyjezdnych cudzoziemców w swoich domach, a za to, na zasadzie wymiany, podejmowani byli później przez nich w ich własnych krajach.

Zrozumiałam w lot, że pani Willard po prostu przehandlowała swoją kolację w Związku Radzieckim za małą kolacyjkę dla mnie w Nowym Jorku.

— Owszem, chętnie pójdę na małą kolacyjkę — zgodziłam się. — O której chciałby pan po mnie wstąpić?

— Przyjadę po panią samochodem o godzinie drugiej — zaproponował. — Hotel „Amazonka", prawda?

— Tak.

— Wiem, gdzie to jest.

Przez chwilę wydawało mi się, że jest w jego tonie jakaś

specjalna, dość dwuznaczna nuta, ale zaraz sobie pomyślałam, że zapewne wiele sekretarek z ONZ mieszka w „Amazonce" i że pewnie nieraz odprowadzał je do domu. Pozwoliłam mu pierwszemu odwiesić słuchawkę, a potem też odłożyłam swoją na widełki i wtuliłam się z powrotem w poduszki. Czułam się nie najlepiej.

Ale zaraz zaczęłam snuć marzenia o mężczyźnie, który kocha mnie od pierwszego wejrzenia, i to zupełnie bezinteresownie. Konstanty proponował mi wprawdzie tylko rutynową wycieczkę po gmachu Narodów Zjednoczonych, zakończoną oenzetowskim sandwiczem, ale przecież każdemu wolno marzyć.

Leżałam i dodawałam samej sobie otuchy.

Tłumacz kabinowy pani Willard okaże się na pewno facetem niskim, krępym i brzydkim, równie nieatrakcyjnym jak Buddy Willard. Myśl ta sprawiała mi wyraźną satysfakcję. Pogardzałam Buddym Willardem i chociaż wszyscy byli absolutnie przekonani, że zamierzam wyjść za niego za mąż, jak tylko wypuszczą go z sanatorium dla gruźlików, to ja już dawno wiedziałam, że nie zrobiłabym tego, nawet gdyby się okazało, że Buddy jest ostatnim mężczyzną na kuli ziemskiej.

Albowiem Buddy Willard był hipokrytą.

Na początku naszej znajomości nie wiedziałam, oczywiście, że jest hipokrytą. Odwrotnie, byłam przekonana, że jest to najwspanialszy chłopiec świata. Uwielbiałam go na odległość przez pięć lat, zanim nawet na mnie spojrzał, a potem przeżyłam cudowne chwile. Wciąż go uwielbiałam, ale on już zaczynał zwracać na mnie uwagę, przyglądał mi się częściej i częściej, a kiedy wszystko było już na dobrej drodze, odkryłam — i to zupełnie przypadkowo — że jest to okropny hipokryta. A teraz, kiedy chciał się ze mną za wszelką cenę ożenić, po prostu go nienawidziłam.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że nie mogłam wystąpić po prostu i powiedzieć, co o nim myślę, bo jak na

złość właśnie wtedy, kiedy zamierzałam to zrobić, złapał gruźlicę. Teraz zmuszona byłam się z nim cackać przynajmniej do chwili, kiedy ozdrowieje i będzie wystarczająco silny na to, żeby stawić czoło nie skażonej niczym prawdzie.

Postanowiłam nie schodzić do kafeterii na śniadanie. To wymagałoby, rzecz jasna, ubrania się, a jaki pożytek z takiego wysiłku, skoro i tak zamierzałam spędzić całe przedpołudnie w betach? Mogłam była, oczywiście, zadzwonić na dół i poprosić, żeby podano mi śniadanie do łóżka, ale to z kolei pociągnęłoby za sobą wręczenie kelnerce napiwku, a ja nigdy nie umiałam wykombinować, ile dać. Miałam z tym już kilka niemiłych przygód w Nowym Jorku.

Gdy po raz pierwszy zajechałam do „Amazonki", karłowaty, łysy staruszek w mundurze portiera zaniósł moją walizkę do windy i otworzył mi pokój. Oczywiście pobiegłam natychmiast do okna, żeby spojrzeć z góry na miasto, ale po chwili zorientowałam się, że ten karzełek-portier nic, tylko otwiera i zamyka kurki z ciepłą i zimną wodą, mrucząc pod nosem: — To jest ciepła, a to zimna — że włącza radio i recytuje wszystkie nowojorskie numery kierunkowe, więc zrobiło mi się nieswojo i powiedziałam bardzo stanowczym głosem:

— Dziękuję panu za przyniesienie bagażu.

— Dziękuję, dziękuję, dziękuję, ha! — warknął i zanim zdołałam się zorientować, o co mu chodzi, zatrzasnął za sobą drzwi w sposób co najmniej niegrzeczny.

Później, kiedy opowiedziałam Doreen o jego dziwnym zachowaniu, roześmiała się: — Cielę! — zawołała. — Przecież jemu chodziło o napiwek!

Zapytałam, ile powinnam mu była dać, na co ona odpowiedziała, że dwadzieścia pięć do trzydziestu pięciu centów, jeżeli walizka była ciężka. Prawdę mówiąc, mogłam ją sobie sama zanieść do pokoju, ale ten portierek był taki prędki, że nie zdążyłam mu się przeciwstawić. Uważałam, że jego usługi są wliczone w cenę pokoju.

Nie lubię płacenia za coś, co potrafię wykonać sama. Denerwuje mnie to.

Doreen pouczyła mnie, że napiwek powinien zawsze wynosić około dziesięciu procent rachunku, ale jakoś tak się składało, że nigdy nie miałam odpowiedniej liczby drobnych, a głupio byłoby wręczyć człowiekowi pięćdziesiąt centów, dodając: — Piętnaście dla pana i poproszę trzydzieści pięć centów reszty.

Kiedy po raz pierwszy w życiu wysiadałam z nowojorskiej taksówki, dałam szoferowi dziesięć centów napiwku. Taksa wynosiła jednego dolara, więc wykombinowałam, że należy mu się dziesięć centów. Wręczyłam mu je z uprzejmym uśmiechem. Ale ten kierowca położył sobie monetę na dłoni, gapił się w nią i gapił, a kiedy wygramoliłam się z taksówki, zastanawiając się nad tym, czy czasem przez pomyłkę nie dałam mu monety kanadyjskiej, wrzasnął jak oparzony: — Pani szanowna, ja też muszę żyć! Też jestem człowiekiem! — i to tak głośno, że przerażona puściłam się biegiem. Na szczęście trzymało go czerwone światło, bo chyba gotów był jechać wzdłuż chodnika, wrzeszcząc na mnie w ten okropny, szalenie ambarasujący sposób.

Kiedy z kolei opowiedziałam Doreen o tym przypadku, orzekła, że być może od czasu jej ostatniego pobytu w Nowym Jorku napiwki wzrosły, więc lepiej dawać piętnaście procent od rachunku. Albo to, albo trafiłam na zupełnie wyjątkowego bałwana.

Sięgnęłam po książkę przysłaną mi przez redakcję „Dnia Kobiety".

Wypadła z niej kartka z obrazkiem przedstawiającym czarnego pudelka w różowym kubraczku, leżącego z bardzo smętną miną w przepięknym koszyku. Po drugiej stronie ten sam pudel, uśmiechnięty teraz, spał smacznie, zwinięty w kłębek pod bogato haftowaną kołderką, opatrzoną napisem: „Sen to najlepsze lekarstwo". Obok dopisek, atramen-

tem koloru lawendy, następującej treści: „Czego życzą wszyscy przyjaciele z »Dnia Kobiety«".

Przeglądałam opowiadanie po opowiadaniu, aż doszłam do historii o drzewie figowym.

Drzewo figowe rosło na pięknej murawie pomiędzy domem pewnego Żyda a murem pewnego klasztoru. Żyd i urodziwa zakonnica spotykali się często pod drzewem, z którego oboje zrywali dojrzałe owoce. Pewnego dnia zauważyli na jednej z gałęzi gniazdko, a w gniazdku wylęgające się właśnie pisklę. Wyciągnęli jednocześnie ręce do niego i dłonie ich spotkały się na krótki moment. Od tego dnia piękna zakonnica nie wychodziła zbierać fig, ale robiła to szczególnie nieurodziwa pomocnica kuchenna, oczywiście też katoliczka, która starannie liczyła dojrzałe figi i dzieliła je na pół, żeby Żyd nie mógł jej oszukać, co go, oczywiście, rozwścieczało.

Opowiadanie to bardzo mi się podobało, szczególnie opis drzewa figowego, zimą w śniegu, i wiosną, kiedy całe było w zielonych pąkach, i latem, kiedy rodziło twarde, młode owoce. Doczytałam do końca i było mi szkoda, że to już wszystko. Prześliznęłabym się chętnie przez czarne litery jak przez sztachety płotu, ułożyłabym się do snu w cieniu tego pięknego, rozłożystego drzewa.

Pomyślałam sobie, że dzieje moje i Buddy'ego Willarda są podobne do historii Żyda i zakonnicy, mimo że nie jesteśmy ani Żydami, ani katolikami, ale unitarianami. Ale przecież my także spotkaliśmy się w cieniu wyimaginowanego drzewa figowego, razem patrzyliśmy wprawdzie nie na pisklę wylęgające się z jajka, ale na niemowlę wydobywające się z łona kobiety, i zaraz później zdarzyło się coś bardzo niedobrego, i każde z nas poszło w inną stronę.

Leżałam w białej pościeli w hotelowym łóżku i wyobrażałam sobie, że leżę w sanatorium w górach Adirondacks, i zrobiło mi się bardzo głupio. Buddy pisał wciąż o tym, że zaczytuje się wierszami jakiegoś poety-lekarza i że odkrył

słynnego rosyjskiego pisarza, który także był lekarzem, więc nie jest wykluczone, że lekarz i poeta mogliby żyć ze sobą w zgodzie i harmonii.

Była to zupełnie inna melodia niż ta, którą śpiewał Buddy przez ostatnie dwa lata. Pamiętam, jak pewnego razu uśmiechnął się i zapytał ni stąd, ni zowąd:

— Czy ty wiesz, co to jest poezja?

— Pojęcia nie mam. Powiedz.

— Garść popiołu — odparł i zrobił szalenie dumną minę, że niby taki inteligentny i sam wymyślił tę piękną definicję. A ja spojrzałam na niego, na jego połyskujące jasne włosy, niebieskie oczy i białe zęby — ma bardzo duże i bardzo białe zęby — i odpowiedziałam tylko: — Może!

I dopiero w rok później, w samym środku Nowego Jorku, przyszła mi na myśl inna odpowiedź.

Spędzałam niemało czasu na wyimaginowanych rozmowach z Buddym Willardem. Był jakieś dwa lata starszy ode mnie i całkowicie nastawiony na nauki ścisłe, w związku z czym potrafił zawsze wszystko udowodnić. Kiedy byliśmy razem, musiałam dokonywać ogromnego wysiłku, żeby utrzymać się intelektualnie na powierzchni.

Te dialogi wewnętrzne były przeważnie kontynuacją prawdziwych rozmów, jakie toczyliśmy z Buddym w różnych okresach, tyle że odznaczały się znakomitymi, ciętymi odpowiedziami z mojej strony, a nie jak w rzeczywistości, jakimiś głupimi uwagami w rodzaju: „może i tak".

Teraz więc, leżąc na wznak w białej pościeli, wyobrażałam sobie, że Buddy mówi:

— Czy ty wiesz, co to jest poezja?

— Nie mam pojęcia. Powiedz — odpowiadam.

— Garść popiołu.

Już zaczyna się uśmiechać głupawo i z dumą, a wtedy ja mówię:

— Z poezją jest dokładnie tak samo, jak z tymi trupami, które krajesz na kawałki. I z ludźmi, których leczysz. Oni

też są tylko prochem, pyłem i niczym więcej. Moim zdaniem, piękny poemat ma dłuższy żywot niż stu twoich pacjentów wziętych do kupy.

Na to Buddy oczywiście nie umie znaleźć odpowiedzi, a to z tej prostej przyczyny, że ja mam rację. Ludzie ulepieni są głównie z piasku i leczenie kupki piasku nie może być rzeczą lepszą i szlachetniejszą aniżeli pisanie poezji. Bo wiadomo, że jak ludzie są nieszczęśliwi, chorzy albo nie mogą zasnąć, to czytują sobie wiersze albo recytują je z pamięci.

Najgorsze było to, że wszystko, co mówił Buddy Willard, brałam za dobrą monetę. Pamiętam jego pierwszy pocałunek. Było to w Yale, w czasie dorocznej potańcówki studentów pierwszego roku.

To właśnie Buddy zaprosił mnie na tę potańcówkę, ale zrobił to w dość dziwny sposób.

Pewnego dnia, w czasie ferii Bożego Narodzenia, wpadł do naszego domu jak z procy. Miał na sobie gruby, biały sweter z golfem, w którym wyglądał tak pięknie, że gapiłam się na niego nieprzytomnie, i oświadczył: — Pozwolisz, że złożę ci któregoś dnia wizytę w college'u, dobrze?

Byłam zaskoczona. Dotychczas widywałam Buddy'ego wyłącznie w niedzielne przedpołudnia w kościele, w czasie ferii, zawsze z daleka, i absolutnie nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak, ni stąd, ni zowąd, wpadł do nas bez zapowiedzi. Tym bardziej że — jak zaraz dodał — dwie mile dzielące nasze domy przebiegł kłusem, bo zaprawiał się do biegów przełajowych.

Nasze matki znały się, oczywiście, dobrze i od dawna. Były koleżankami szkolnymi, obydwie wyszły za swoich nauczycieli i osiadły w tym samym mieście. Ale Buddy rzadko zjawiał się w domu rodzicielskim, stale przebywał w różnych szkołach na stypendiach, latem jeździł do stanu Montana, gdzie wynajmował się do walki z rdzawą pryszczycą, więc fakt, że nasze matki były szkolnymi koleżankami, przestał mieć jakiekolwiek znaczenie.

Po tej swojej nie zapowiedzianej wizycie Buddy znowu całkiem zniknął z mojego życia, aż do pewnej marcowej niedzieli. Siedziałam w swoim pokoju w college'u i przygotowywałam się do egzaminu z historii, ściśle mówiąc z wojen krzyżowych, i właśnie czytałam dzieje Piotra Pustelnika i Waltera bez Grosza, kiedy zadzwonił telefon w holu.

W zasadzie wszystkie mieszkanki domu powinny były po kolei przyjmować telefony, ale ponieważ byłam jedyną studentką pierwszoroczną na piętrze zamieszkanym całkowicie przez seniorki, czyli studentki czwartego roku, więc oczywiście żadna się nie fatygowała. Poczekałam jeszcze minutę, ale nic. Wszystkie chyba poszły grać w siatkówkę albo wyjechały na weekend, zbiegłam więc na dół.

— To ty, Esther? — zapytała dyżurna koleżanka z centralki, a kiedy potwierdziłam, dodała: — Jakiś facet do ciebie.

Przyznam, że mnie to bardzo zdziwiło, bo ze wszystkich chłopców, których poznałam w tym roku na różnych prywatkach, żaden nie zjawił się po raz drugi. Nie miałam po prostu szczęścia. Co sobota odbywało się to samo. Schodziłam na dół pełna ciekawości, z zaciśniętymi, spoconymi dłońmi, po czym któraś ze starszych dziewczyn przedstawiała mi „syna najlepszej przyjaciółki swojej ciotki", wymoczka z odstającymi uszami i wystającymi zębami albo z jedną krótszą nogą. Nienawidziłam tych sobotnich zabaw tanecznych i byłam przekonana, że zasługuję na coś lepszego niż te pokraki. Ostatecznie, nie byłam kaleką, po prostu obkuwałam się za dużo. W niczym nie znam umiaru.

No, ale nic. Przyczesałam się, wymalowałam usta i wzięłam pod pachę podręcznik historii — w razie gdyby facet okazał się zupełną fajtłapą, postanowiłam udawać, że po prostu idę do biblioteki, i prysnąć — i znowu zeszłam na dół, a tam, oparty o stół, na którym składano naszą pocztę, stał Buddy Willard w granatowych dżinsach, wiatrówce khaki i wystrzępionych, szarych tenisówkach i uśmiechał się od ucha do ucha.

— Wpadłem, żeby się przywitać — oświadczył.

Pomyślałam, że to trochę dziwne. Przyjechać aż z Yale, choćby nawet autostopem, czyli za darmo, tylko po to, żeby się przywitać?

— No, to witaj — odparłam. — Chodź, wyjdziemy i usiądziemy na ganku.

Chciałam go wyprowadzić na ganek, ponieważ koleżanka dyżurna była jedną z najbardziej wścibskich seniorek i przyglądała się nam z nie ukrywanym zainteresowaniem. Najprawdopodobniej mówiła sobie w duchu, że Buddy popełnia wielki błąd.

Usiedliśmy na dwóch ustawionych obok siebie wyplatanych fotelach na biegunach. Słońce stało wysoko, powietrze było czyste, wiał leciutki wiaterek. Było niemal gorąco.

— Mam tylko kilka minut — odezwał się Buddy.

— A dajże spokój, zostań na lunch.

— To niemożliwe. Przyjechałem z Joan na potańcówkę drugiego roku.

Zrobiło mi się okropnie głupio.

— A jak się ma Joan? — zapytałam uszczypliwie.

Joan Gilling pochodziła z mojego miasteczka, należała do naszego Kościoła, była ode mnie o rok starsza i uczęszczała na drugi rok studiów w moim college'u. Była wielką szyszką — prezesem samorządu, zamierzała robić magisterium z fizyki i święciła triumfy w szkolnej drużynie hokejowej. W jej obecności zawsze czułam się nieswojo. Miała takie świdrujące, niebieskawe oczka, zęby jak marmurowe nagrobki i lekko zadyszany głos. Była wielka jak klacz. Kiepski ma gust ten cały Buddy, pomyślałam.

— E, co tam Joan! — powiedział. — Zaprosiła mnie na tę potańcówkę dwa miesiące temu, a potem jej matka zwróciła się do mojej matki, żeby mi przypomniała, więc co miałem robić?

— Dlaczego przyrzekłeś jej, że przyjedziesz, skoro nie miałeś ochoty? — zapytałam skromnie.

— Bo ja ją nawet lubię. Nie zależy jej na tym, żeby chłopak wydawał na nią forsę, i lubi sport. Jak ostatnio była w Yale na naszej dorocznej zabawie weekendowej, to pojechaliśmy na rowerach aż do East Rock. Jest jedyną dziewczyną, jaką znam, której nie trzeba pchać pod górę. Mówię ci, ta Joan jest całkiem fajna.

Z zazdrości dostałam dreszczy. Nie byłam jeszcze ani razu w Yale, a wszystkie koleżanki z czwartego roku, które mieszkały ze mną, marzyły tylko o tym, żeby je tam zaproszono na weekend. Nie należy spodziewać się niczego dobrego po Buddym Willardzie, pomyślałam. A w ogóle, jak człowiek zacznie tylko o czymś marzyć, to nieuchronnie doznaje rozczarowania.

— No, to leć do Joan — powiedziałam mimochodem. — Spodziewam się lada chwila chłopca, z którym jestem umówiona na weekend, i wolałabym, żeby mnie tu z tobą nie zobaczył.

— Chłopca? — zainteresował się Buddy. — A co to za jeden?

— Jest ich właściwie dwóch. Piotr Pustelnik i Walter bez Grosza.

Buddy nie zareagował, więc dodałam:

— To są ich przezwiska. Studiują w Dartmouth.

Przypuszczam, że Buddy nigdy nie interesował się historią, albowiem wyraźnie zesztywniał. Skoczył na równe nogi, odepchnął fotel na biegunach bardzo mocno i zupełnie niepotrzebnie, po czym rzucił mi na kolana niebieską kopertę z wytłoczonym herbem Yale.

— Miałem to zostawić w recepcji, w razie gdybym cię nie zastał. Musisz odpowiedzieć na jedno pytanie, ale możesz to zrobić listownie. Nie mam ochoty pytać cię o to w tej chwili.

Jak tylko odszedł, otworzyłam kopertę i wyjęłam z niej zaproszenie na doroczną potańcówkę juniorów Yale.

Byłam tym tak zaskoczona, że wydałam z siebie kilka radosnych okrzyków i wpadłam do domu, wrzeszcząc: — Jadę, jadę, jadę!

Byłam oślepiona jaskrawym światłem słonecznym i wnętrze domu wydało mi się ciemne jak studnia. Po prostu nic nie widziałam. Z rozpędu objęłam i uścisnęłam dyżurną seniorkę. Kiedy dowiedziała się, że mam zaproszenie na weekend do Yale, spojrzała na mnie z szacunkiem i zdumieniem.

Stosunek seniorek do mnie zmienił się od tego dnia radykalnie. Zaczęły ze mną rozmawiać i od czasu do czasu któraś z nich nawet spontanicznie odpowiadała na dzwonek, i żadna nie odważyła się już robić uszczypliwych uwag pod moimi drzwiami, w rodzaju, jak to niektórzy marnują najlepsze lata swojego życia, zagrzebując się w książkach.

Ale muszę wyznać, że w czasie potańcówki Buddy traktował mnie jak siostrę, w najlepszym razie kuzynkę.

Tańczyliśmy w odległości kilometra od siebie, a w czasie *Auld Lang Syne* — piosenki, którą tradycyjnie grają na zakończenie wieczoru, oparł brodę na czubku mojej głowy, jak gdyby był strasznie zmęczony. O trzeciej nad ranem poszliśmy piechotą do domu, w którym miałam nocleg — na kanapie w salonie — za pięćdziesiąt centów, a nie jak moje koleżanki, w porządnym pokoju z łóżkiem za dwa dolary. Droga była daleka — pięć mil — wiał paskudny, zimny wiatr.

Byłam wypompowana, smutna, całkowicie pozbawiona złudzeń.

Wyobrażałam sobie, że Buddy zakocha się we mnie tego weekendu i że do końca roku nie będę się musiała martwić o to, co robić w sobotnie wieczory. Kiedy dochodziliśmy do domu, w którym miałam nocować, Buddy nagle zaproponował:

— Chcesz, to pójdziemy do laboratorium chemicznego?

— Do laboratorium chemicznego? — Byłam szalenie zaskoczona.

— Tak. — Buddy sięgnął po moją rękę. — Stamtąd rozciąga się niezwykle piękny widok.

I rzeczywiście, zaraz za laboratorium znajdowało się wzgórze, z którego widać było światła kilku domów w New Haven.

Stałam więc i udawałam, że podziwiam widok, a przez ten czas Buddy szukał sobie dobrego oparcia dla nóg, bo grunt był śliski. Potem całował mnie, a ja starałam się nie zamykać oczu i obliczałam odległości pomiędzy światłami, tak żeby widok ten pozostał w mojej pamięci do końca życia.

Wreszcie Buddy puścił mnie. — Puff! — powiedział.

— Puff co? — zapytałam zaskoczona. Ten płytki, zdawkowy, suchy pocałunek nie mógł chyba tak silnie na niego podziałać, szczególnie że oboje mieliśmy spierzchnięte wargi od tego pięciomilowego spaceru na zimnym wietrze.

— Puff! — powtórzył. — Cudownie się ciebie całuje!

Opuściłam skromnie oczy i nie odpowiedziałam.

— Wyobrażam sobie — odezwał się Buddy po chwili — że masz wielu adoratorów.

— Chyba tak — potwierdziłam i pomyślałam z goryczą, że przez cały ubiegły rok co sobota wychodziłam z innym chłopcem.

— No tak, ale ja muszę tak strasznie wkuwać.

— Ja też — powiedziałam szybko. — Nie mogę przecież stracić stypendium.

— Mógłbym się z tobą spotykać co trzeci weekend — zaproponował.

— To świetnie — zgodziłam się. Myślałam, że zemdleję, chciałam jak najszybciej powrócić do college'u, żeby opowiedzieć dziewczynom o tym, co mnie spotkało.

Przed domem Buddy pocałował mnie jeszcze raz, a następnej jesieni, kiedy otrzymał stypendium do Szkoły Medycznej, pojechałam do niego i właśnie tam przekonałam się, jak bardzo mnie oszukiwał i jakim jest hipokrytą.

Przekonałam się o tym tego dnia, kiedy pokazał mi, jak przychodzą na świat dzieci.

Rozdział VI

Nalegałam, żeby Buddy koniecznie pokazał mi w szpitalu jakieś naprawdę interesujące rzeczy, aż pewnego piątku urwałam się z wykładów i pojechałam do niego na przedłużony weekend.

Zaczęło się od tego, że dał mi biały kitel, kazał usiąść na wysokim stołku i patrzeć, jak z kilkoma kolegami preparuje cztery trupy. Te trupy nie miały w sobie absolutnie nic ludzkiego, więc nie zrobiły na mnie większego wrażenia. Skóra ich była sztywna, twarda, fioletowa, a śmierdziały jak beczki po kwaszonych ogórkach.

Następnie Buddy zabrał mnie do salki, gdzie na długich półkach stały rzędy słojów z zamarynowanymi embrionami, które zmarły jeszcze w łonie matek. W pierwszym słoju pływało malutkie stworzenie z ogromną, białą głową pochyloną nad maciupkim ciałkiem, wielkości mniej więcej żaby. W następnym słoju embrion był większy, w następnym jeszcze większy, a w ostatnim miał już rozmiary przeciętnego noworodka i zdawało mi się, że patrzy na mnie i uśmiecha się takim jakimś prosiaczkowatym uśmieszkiem.

Byłam z siebie bardzo dumna, bo przyglądałam się tym wszystkim okropnościom z absolutnym spokojem. Podskoczyłam tylko jeden raz, kiedy niechcący oparłam się o brzuch trupa, żeby przyjrzeć się dokładnie, jak Buddy sekcjonuje płuca. Po minucie czy dwóch poczułam, że pali mnie skóra na łokciu i nagle wpadło mi do głowy, że ten trup wcale

nie jest trupem, bo szło od niego niesamowite ciepło, i zeskoczyłam z krzesła z lekkim okrzykiem przerażenia. Ale Buddy wytłumaczył mi, że to uczucie palenia spowodowane jest płynem, który służy do konserwacji zwłok. Więc wróciłam do poprzedniej pozycji.

Na godzinę przed lunchem Buddy zabrał mnie na odczyt na temat anemii sierpowatej i paru innych, raczej nieuleczalnych schorzeń. Przez cały czas przywożono różnych chorych na wózkach, windowano ich na platformę, stawiano im pytania, a potem zabierano ich i pokazywano kolorowe przezrocza.

Pamiętam szczególnie jedno przezrocze, ukazujące śliczną, roześmianą dziewczynę z czarnym pieprzykiem na policzku.

— Dwadzieścia dni po ukazaniu się tego pieprzyka dziewczyna nie żyła — powiedział wykładowca i wszyscy umilkli na dobrą minutę, ale zaraz potem rozległ się dzwonek i nigdy nie dowiedziałam się, co to był za pieprzyk i dlaczego ta dziewczyna tak szybko umarła.

Po południu poszliśmy obejrzeć, jak rodzi się dziecko.

Najpierw udaliśmy się na korytarz, gdzie stała szafka, z której Buddy wyciągnął białą maskę i bandaż.

Jakiś bardzo wysoki i tęgi student medycyny, przypominający aktora Sydneya Greenstreeta, patrzył z zainteresowaniem, jak Buddy owija bandaż dokoła mojej głowy. Zabandażował mnie tak dokumentnie, że na wierzchu zostały mi tylko oczy.

Gruby student zarechotał w dość przykry sposób i zawołał: — Dobrze, że przynajmniej mama cię kocha.

Byłam zafascynowana jego kołosalną tuszą i myślałam, że to klęska dla młodego człowieka i że trudno mu będzie znaleźć dziewczynę, która miałaby ochotę przechylać się przez to straszne brzuszysko, żeby się z nim całować, toteż dopiero znacznie później uświadomiłam sobie, iż właściwie mnie obraził. Kiedy wymyśliłam ciętą odpowiedź, coś na temat tego, że tylko rodzona matka mogłaby kochać takiego grubasa jak on, dawno go nie było.

Buddy tymczasem pilnie studiował jakąś dziwną deskę wiszącą na ścianie. Było w niej kilka rzędów dziur, od dziurki wielkości mniej więcej srebrnego dolara, aż do takiej, w której z łatwością zmieściłby się duży talerz.

— Doskonale — stwierdził — jedna powinna za chwilę rodzić. — Pod drzwiami sali porodowej stał chudy, przygarbiony student medycyny, znajomy Buddy'ego.

— Halo, Will — odezwał się Buddy. — Kto tam ma teraz dyżur?

— Ja — odparł Will ponurym głosem. Małe kropelki potu zraszały jego wysokie, blade czoło. — Ja. To mój pierwszy poród.

Buddy wyjaśnił, że Will jest studentem trzeciego roku i że musi odebrać osiem porodów, żeby zaliczyć rok.

Na końcu korytarza ukazała się mała procesja, złożona z kilku facetów w seledynowych fartuchach i myckach, kilku pielęgniarek i wózka, na którym leżał wielki, biały tłumok.

— Pani nie powinna na to patrzeć — mruczał Will pod nosem. — Nigdy w życiu nie będzie pani chciała rodzić. Kobiet nie powinno się wpuszczać na salę porodową, bo będzie koniec z ludzkością.

Buddy i ja roześmialiśmy się, Buddy uścisnął dłoń Willa i wszyscy troje weszliśmy na salę.

Byłam tak przerażona widokiem stołu, na który wpakowano tę kobietę, że aż mi mowę odebrało. Była to istna deska tortur. Dwa metalowe strzemiona sterczały w górę z jednego końca, a na drugim znajdowała się taka masa najrozmaitszych tub, rur, drutów i instrumentów, że trudno się było w tym wszystkim zorientować.

Buddy i ja stanęliśmy pod oknem, w odległości kilku stóp od kobiety. Widok mieliśmy doskonały.

Brzuch rodzącej był tak kolosalny, że zasłaniał nam jej twarz i górną część ciała. Była po prostu samym brzuchem, z doczepionymi do niego dwiema cieniutkimi jak u pająka nogami, wbitymi wysoko w te metalowe strzemiona, z którego na dodatek przez cały czas, aż do samego końca, wydobywało się przeciągłe, nieludzkie, rytmiczne wycie.

Później Buddy wytłumaczył mi, że kobiecie tej podano specjalny narkotyk, tak że po porodzie nie będzie pamiętała bólu, że jej wrzaski i przekleństwa nic nie znaczą, ponieważ znajduje się w półśnie i nie zdaje sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje.

Pomyślałam sobie, że taki narkotyk to typowy męski wynalazek. Kobieta ta niewątpliwie cierpiała jak potępieniec, bo inaczej nie jęczałaby tak strasznie, ale gdy opuści szpital, natychmiast znowu zajdzie w ciążę, bo dzięki temu znakomitemu narkotykowi nie będzie w ogóle pamiętała bólu, podczas gdy głęboko w środku, w tajemnych, długich, głuchych, ciemnych korytarzach jej organizmu ból czyha tylko na to, żeby go znowu wypuszczono i żeby sobie mógł pohulać w niej na całego.

Dyżurny lekarz, któremu asystował Will, powtarzał raz po raz: — Pani Tomolillo, proszę mocno przeć, no, mocno — aż wreszcie z gładko wygolonej, wydezynfekowanej na fioletowo szpary pomiędzy jej nogami zaczęła się wyłaniać owłosiona główka.

— Główka dziecka — powiedział Buddy szeptem, zagłuszonym jękami rodzącej kobiety.

Z niewiadomych przyczyn główka dziecka nie chciała się dalej wysunąć i lekarz dyżurny kazał Willowi zrobić cięcie. Usłyszałam klapnięcie nożyc przecinających ciało kobiety, po czym zaczęła z niej płynąć żywa, jasnoczerwona krew. Nagle dziecko niemalże wyskoczyło w ręce Willa. Było sine jak węgierka, zasmarowane krwią i jakąś białą mączką, a Will zaczął krzyczeć głosem przerażonego uczniaka: — Ojej, wyślizguje mi się, zaraz upadnie!

— Nic podobnego — zapewniał go dyżurny lekarz, ale zabrał mu je z rąk i zaczął masować, aż ten okropny siny kolor zmienił się na różowy, niemowlę zaczęło żałośnie skrzeczeć, no i zobaczyłam, że to chłopiec.

Dziecko nasikało lekarzowi prosto w twarz. Później po-

wiedziałam do Buddy'ego, że nie rozumiem, jak to jest możliwe, ale Buddy powiedział, że to się od czasu do czasu zdarza, i dodał, że mieliśmy szczęście, żeśmy byli przy tym, bo to niezmiernie rzadkie wydarzenie.

Zaraz po urodzeniu się dziecka personel rozdzielił się na dwie grupy. Pielęgniarki przywiązały do przegubu niemowlęcia bransoletkę z nazwiskiem matki, przemyły mu oczy watką na drewnianym patyczku, owinęły je kołderką i włożyły do wyścielonego płótnem koszyka. A lekarz i Will zabrali się do zaszywania pani Tomolillo, za pomocą igły i długiej nitki.

Zdaje mi się, że ktoś powiedział: — To chłopczyk, pani Tomolillo — ale kobieta nie odezwała się, ani nawet nie podniosła głowy.

Kiedy przemierzaliśmy znów zielony trawnik, Buddy zapytał mnie oczywiście: — No i jakie to zrobiło na tobie wrażenie?

— Wspaniałe — oświadczyłam. — Mogłabym patrzeć na coś takiego dzień w dzień.

Nie czułam się na siłach, żeby zapytać go, czy nie ma innego sposobu na urodzenie dziecka. Wydało mi się, że najważniejszą dla mnie rzeczą byłoby zobaczenie, jak dziecko wychodzi z mojego brzucha, bo tylko wtedy byłabym zupełnie pewna, że jest rzeczywiście moje. Jeżeli już koniecznie trzeba tak strasznie cierpieć, to chyba lepiej bez narkozy.

Wyobrażałam sobie często taką scenę: natychmiast po porodzie siadam — śmiertelnie blada, rzecz jasna, i wyczerpana, ale szczęśliwa i uśmiechnięta, włosy spływają mi kaskadami do pasa, wyciągam ramiona do mojego wierzgającego nóżkami pierworodnego i czule wymawiam jego imię.

— Powiedz mi, dlaczego ten dzieciak był taki utytłany mąką? — zapytałam głównie po to, by podtrzymać rozmowę, a Buddy wytłumaczył mi od razu, że to nie mąka, ale coś w rodzaju woszczku, chroniącego delikatny naskórek niemowlęcia.

Kiedy znaleźliśmy się w pokoju, Buddy wyciągnął butelkę Dubonneta, odkorkował ją i zapalił świecę. Ten pokój o gołych ścianach, gołej podłodze i z wąskim, gładkim łóżkiem, zarzuconym podręcznikami do anatomii i jakimiś jeszcze koszmarnymi, grubymi tomiskami, przypominał, wypisz wymaluj, celę mnicha. Położyliśmy się obok siebie na łóżku, Buddy popijał winko, a ja czytałam na głos *tam, dokąd droga mnie jeszcze nie zawiodła* i kilka innych wierszy z tomiku, który ze sobą przywiozłam.

Buddy twierdził, że jeżeli taka dziewczyna jak ja tyle czasu poświęca czytaniu wierszy, to coś w tym musi być, więc zawsze przywoziłam jakiś tomik poezji, którą mu czytałam i interpretowałam. Był to pomysł Buddy'ego. Zorganizował nasze wspólne weekendy tak, żebyśmy nie marnowali czasu. Ojciec Buddy'ego był nauczycielem i, moim zdaniem, Buddy także powinien się był poświęcić temu zawodowi, głównie dlatego, że zawsze próbował mi coś wytłumaczyć, nauczyć mnie czegoś nowego.

Nagle, w momencie, kiedy skończyłam czytanie krótkiego wiersza, Buddy zapytał ni stąd, ni zowąd: — Esther, powiedz, czy ty kiedy widziałaś mężczyznę?

Powiedział to w taki sposób, że domyśliłam się od razu, iż nie chodzi mu o kogoś konkretnego ani o mężczyznę w ogóle, ale po prostu o to, czy widziałam męską goliznę.

— Nie — przyznałam. — Tylko rzeźby.

— A czy nie chciałabyś mnie zobaczyć?

Nie miałam pojęcia, jak na to zareagować. Zarówno matka, jak i babka od pewnego czasu zabawiały mnie rozmowami na temat Buddy'ego, mówiły, jaki to dzielny, zdolny, prawy chłopiec, z jakiej dzielnej, zdolnej i prawej pochodzi rodziny, że wszyscy członkowie naszego Kościoła uważają go za istny wzorzec dla młodzieży, że jest dobry dla swoich rodziców i dla ludzi starszych w ogóle, a poza tym świetny atleta, no i przystojny, i inteligentny.

Wszyscy nieustannie wbijali mi w głowę, że Buddy jest

szlachetny i czysty, że to typowy przykład chłopca, dla którego dziewczynie warto zachować wierność i cnotę. Więc, oczywiście, nie mogło mi nawet przyjść do głowy, że jakakolwiek propozycja ze strony Buddy'ego mogłaby być niestosowna.

— Czemu nie — odpowiedziałam więc.

Patrzyłam na niego bez zmrużenia powieki, a on rozpiął zamek błyskawiczny przy dżinsach, zdjął je, starannie złożył i ulokował na krześle, po czym ściągnął kalesony zrobione z czegoś, co przypominało rybacką sieć.

— Przepuszczają powietrze — tłumaczył mi — a poza tym mama mówi, że się łatwo piorą.

A potem po prostu stał przede mną, a ja gapiłam się na niego i jedyne porównanie, jakie wpadło mi do głowy, to szyja indycza i indycze żołądki, i było mi głupio i smutno.

Moje milczenie wyraźnie go dotknęło.

— Powinnaś się przyzwyczaić do mnie na golasa — oświadczył. — A teraz ty mi się pokażesz, dobrze?

Ale obnażenie się dla Buddy'ego wydało mi się mniej więcej równie pociągające, jak na przykład przygotowanie się do rentgena kręgosłupa. W college'u co chwila badali nam kręgosłupy, fotografując nas w tym celu całkiem nago z profilu i en face, ale wiedziałyśmy doskonale, że nasze akty zawędrują jedynie do specjalnego albumu sekcji kultury fizycznej, znaczone A, B lub C, w zależności od stanu skrzywienia naszych stosów pacierzowych.

— E tam, innym razem — rzuciłam od niechcenia.

— Jak chcesz. — Buddy znów wciągnął portki.

Następnie oddawaliśmy się dość długo uściskom i pocałunkom i po pewnym czasie zrobiło mi się trochę lepiej. Wypiłam resztę mojego Dubonneta, usiadłam w kucki w nogach łóżka i poprosiłam Buddy'ego o grzebień. Sczesałam sobie włosy na twarz, tak żeby Buddy mnie nie widział, i w pewnym momencie wystrzeliłam z pytaniem:

— Czy ty już miałeś prawdziwy romans? — zapytałam

i do dzisiaj nie wiem, jak się stało, że słowa te tak najzwyczajniej wydobyły się z mojej krtani. Ani na moment nie wyobrażałam sobie, że Buddy Willard przespał się z kobietą, i byłam przekonana, że odpowiedź jego będzie brzmiała mniej więcej: skąd, gdzie tam, czeka z tym na ślub, na dziewczynę czystą jak łza, czyli mnie.

Ale Buddy nic nie odpowiedział, tylko zaczerwienił się po czubki uszu.

— No, mów.

— Nie wiem, co rozumiesz przez romans — mruknął ponurym tonem.

— No, wiesz, czy przespałeś się z jakąś babką — wyjaśniłam i dalej sczesywałam włosy rytmicznym ruchem z góry na dół, czując, jak iskierki elektryczności łechcą mi policzek, i przez cały czas miałam ochotę wrzasnąć: — Stop, stop, nic nie mów! — Ale oczywiście siedziałam cicho.

— No, to powiem ci, że tak! — wyrzucił z siebie wreszcie Buddy.

O mały włos nie spadłam z łóżka. Od tamtego pierwszego wieczoru, kiedy Buddy pocałował mnie po raz pierwszy i powiedział, iż sądzi, że na pewno mam wielu wielbicieli, dawał mi do zrozumienia, że jestem znacznie bardziej doświadczona i seksowna od niego i że wszystko to, co robi ze mną — te pocałunki, pieszczoty i uściski — jest przeze mnie sprowokowane, zaimprowizowane przez niego pod moim wpływem, a on sam nie ma pojęcia, skąd mu się to bierze.

Zrozumiałam, że Buddy przez cały czas po prostu udawał niewiniątko.

— Opowiedz, co i jak. — Nie przestawałam się czesać, ostre ząbki grzebienia kaleczyły mi policzek. — I z kim.

Kiedy Buddy stwierdził, że wcale się nie gniewam, wyraźnie mu ulżyło. Nawet chyba się ucieszył, że może wreszcie opowiedzieć o tym, jak został uwiedziony.

Bo został, oczywiście, uwiedziony, on nie zacząłby nigdy

pierwszy, nie było w tym oczywiście jego winy. Winna była kelnerka z hotelu na Cape Cod, w którym przepracował ostatnie lato. Buddy zauważył, że kelnerka patrzy na niego bardzo dziwnie i że ociera się o niego piersiami w ciasnej kuchni, a kiedy w końcu zapytał ją, o co jej właściwie chodzi, odpowiedziała po prostu: — Chcę ciebie.

— Z siekaną pietruszką? — zaśmiał się Buddy naiwnie.

— Nie — odpowiedziała — zwyczajnie, w łóżku.

I tak Buddy stracił cnotę.

Z początku myślałam, że on przespał się z tą kelnerką raz, ale kiedy zapytałam, tak na wszelki wypadek, odpowiedział, że dokładnie nie pamięta, ale że robił to chyba jakieś dwa, trzy razy w tygodniu przez całą resztę lata. Pomnożyłam trzy przez dziesięć i otrzymałam trzydzieści, co wydało mi się jednak grubą przesadą.

A potem coś we mnie umarło.

Kiedy powróciłam do college'u, zaczęłam pytać znajome seniorki, co by na przykład zrobiły, gdyby im się chłopiec przyznał, że przespał się trzydzieści razy w ciągu jednego lata z jakąś lafiryndą. Ale seniorki zapewniały mnie tylko, że prawie wszyscy chłopcy to robią, a pretensji mieć do nich nie można, chyba że były formalne zaręczyny albo nosi się przynajmniej studencką odznakę stowarzyszeniową tego chłopca.

Szczerze mówiąc, myśl o tym, że Buddy przespał się z tą kelnerką, wcale mnie tak znowu nie dręczyła. Chcę przez to powiedzieć, że wiedziałam już o tym, że ludzie ze sobą sypiają, i gdyby to był inny chłopiec, zaczęłabym go po prostu wypytywać o różne ciekawe szczegóły albo sama szybko przespałabym się z kimś chociażby po to, żeby się zemścić, i wszystko byłoby w porządku.

Ale nie mogłam znieść tego, że Buddy tak długo udawał niewiniątko i tylko mówił, że to ja jestem ta seksowna, przesypiał się z tą swoją łajdaczką kelnerką, a w duchu na pewno zwyczajnie kpił ze mnie.

— A co twoja mama myśli o tej kelnerce? — zapytałam go jeszcze w czasie tego samego weekendu.

Buddy był szalenie zaprzyjaźniony ze swoją matką. Wciąż cytował jej poglądy na to, jaki powinien być stosunek mężczyzny do kobiety, a ja skądinąd wiedziałam, że pani Willard jest prawdziwą fanatyczką zachowania cnoty do ślubu, i to zarówno przez chłopców, jak i przez dziewczęta. Kiedy pierwszy raz przyszłam do Willardów na proszoną kolację, obrzuciła mnie wnikliwym, czujnym wzrokiem i od razu wiedziałam, że chce się zorientować, czy jestem dziewicą.

Zgadłam, bo pytanie moje wprawiło Buddy'ego w zakłopotanie.

— Mama pytała mnie o Gladys — przyznał.

— No i co jej powiedziałeś?

— Powiedziałem jej, że Gladys jest biała, wolna i pełnoletnia i wie, co robi.

Byłam absolutnie przekonana, że z mojego powodu Buddy nigdy w życiu nie odezwałby się tak niegrzecznie do swojej matki. Zawsze ją cytował: „Mężczyźnie potrzebna jest towarzyszka życia — mawiała podobno — a kobiecie opiekun". I jeszcze: „Mężczyzna to strzała skierowana w przyszłość, a kobieta jest miejscem, z którego ta strzała wychodzi". Powtarzał te dwie mądrości życiowe do znudzenia.

Ilekroć próbowałam polemizować z poglądami pani Willard, Buddy wyjeżdżał z tym, że jego matka wciąż jeszcze z przyjemnością sypia ze swoim mężem, co chyba u ludzi w wieku jego rodziców jest rzeczą dość niezwykłą. Tak czy nie? Jest to najlepszy dowód, że mama wie, o czym mówi.

Tak więc postanowiłam raz na zawsze zerwać z Buddym Willardem i to nie dlatego, że sypiał z tą swoją Gladys, ale że nie miał dość odwagi i uczciwości, żeby się do tego od razu przyznać i ponieść wszystkie konsekwencje. W tej samej chwili zadzwonił telefon i słodki, przemądrzały głosik zadźwięczał z dołu: — Esther, do ciebie! Z Bostonu!

Od razu wiedziałam, że jest niedobrze, ponieważ Buddy

był jedyną osobą, jaką znałam w Bostonie, a on z zasady nie używa międzymiastowych telefonów, tylko pisze listy, bo to znacznie taniej. Raz, kiedy chciał mi koniecznie coś pilnego przekazać, przechadzał się przez długi czas przed bramą Szkoły Medycznej i wypytywał kolegów, czy któryś nie jedzie na weekend do mojego college'u. Znalazł kogoś i dał mu list, który otrzymałam jeszcze tego samego dnia. Nie musiał się nawet wykosztować na znaczek pocztowy.

Przy telefonie był jednak Buddy we własnej osobie. Powiedział mi, że doroczne prześwietlenie płuc wykazało, iż ma gruźlicę, że załatwiono mu od razu specjalne stypendium dla studentów-gruźlików na pobyt w sanatorium w górach Adirondacks. Potem dodał, że dziwi się, bo od tamtego weekendu nie napisałam ani słowa, że ma nadzieję, iż nic się między nami nie zmieniło, po czym poprosił, żebym pisywała do niego regularnie raz w tygodniu i odwiedziła go w tym sanatorium w czasie ferii Bożego Narodzenia.

Nie przypuszczałam, że Buddy potrafi być tak zdenerwowany. Zawsze chwalił się swoim żelaznym zdrowiem, a kiedy mnie zdarzyło się złapać taki katar, że nie mogłam oddychać, chciał mi wmówić, że to choroba psychosomatyczna. Dość dziwny stosunek przyszłego lekarza do pacjenta. Chciałam mu zaproponować, żeby się przerzucił na psychiatrię, ale oczywiście nigdy mu tego wprost nie powiedziałam.

Zapewniłam go, że jest mi bardzo przykro, iż złapał gruźlicę, przyrzekłam, że będę pisała, ale kiedy odwiesiłam słuchawkę, nie byłam w ogóle zmartwiona. Przeciwnie, poczułam wprost kolosalną ulgę.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy jego gruźlica nie jest przypadkiem karą Bożą za podwójne życie, które Buddy prowadził przez całe lato, za to, że zawsze wywyższał się ponad innych. Cieszyłam się też, że nie będę musiała opowiadać wszystkim dziewczętom w college'u, że z nim zerwałam, i w związku z tym znowu chodzić na te okropne, przygodne randki sobotnie.

Rozpowiedziałam więc na prawo i lewo, że Buddy złapał gruźlicę, że jesteśmy właściwie zaręczeni, a kiedy w sobotnie wieczory zostawałam w swoim pokoju nad książkami, wszyscy byli dla mnie szalenie mili, bo uważali, że jestem niezwykle dzielna i że pracuję tak intensywnie po to, żeby ukoić złamane serce.

Rozdział VII

Konstanty był, oczywiście, trochę za niski, ale dość przystojny. Miał jasnokasztanowe włosy, ciemnoniebieskie oczy i duży temperament. Mógł od biedy, no prawie, uchodzić za Amerykanina, bo był opalony, miał zdrowe i białe zęby, ale ja wiedziałam od razu, że jest cudzoziemcem. Obdarzony był bowiem czymś, czego nie miał żaden znany mi amerykański chłopiec, a mianowicie intuicją.

Konstanty zorientował się z miejsca, że wcale nie jestem wielbicielką pani Willard. W czasie naszej pierwszej rozmowy raz czy dwa razy lekko uniosłam brew, wypuściłam z siebie dwa czy trzy rechociki, długo nie trwało, a już zaczęliśmy się przejeżdżać na całego po Willardzicy, a ja pomyślałam sobie: Ten Konstanty na pewno gwiżdże sobie na to, że jestem taka wysoka, że nigdy nie byłam w Europie i że nie znam kilku obcych języków. Ten człowiek ma nosa, przejrzał mnie i od razu zobaczył taką, jaka jestem naprawdę.

Konstanty zawiózł mnie starym, zielonym sportowym samochodem, ze zniszczonymi, ale bardzo wygodnymi siedzeniami skórzanymi i opuszczanym dachem, do gmachu ONZ. Dowiedziałam się, że grywa regularnie w tenisa i dlatego jest tak pięknie opalony. Siedzieliśmy wygodnie ramię przy ramieniu i sunęliśmy bez pośpiechu wzdłuż Manhattanu. Konstanty trzymał mnie za rękę, od czasu do czasu ściskając ją znacząco, a ja byłam szczęśliwa. Nie pamiętam takiego uczucia szczęścia co najmniej od dziewiątego roku życia,

kiedy ścigałam się z ojcem na białej nadmorskiej plaży. Wkrótce potem ojciec umarł.

A kiedy pół godziny później siedziałam u boku poważnej i muskularnej rosyjskiej tłumaczki w wygodnym fotelu i przysłuchiwałam się jakimś obradom, uświadomiłam sobie nagle ze zdziwieniem, że naprawdę szczęśliwa to byłam tylko do tego mojego dziewiątego roku życia.

A potem zrozumiałam jeszcze, że ani przynależność do skautingu, ani lekcje gry na fortepianie czy malowania farbami wodnymi, ani lekcje tańca, ani pobyt na obozie żeglarskim, ani college — żadna z tych przyjemności, które zawdzięczałam ogromnym wysiłkom matki — ani wiosłowanie w ósemkach w porannej mgiełce, ani pieczenie tortów z koleżankami, ani wspaniałe fajerwerki intelektualne, jakimi olśniewano mnie niemal co dzień — że to wcale nie było szczęście. Szczęściem było jedynie i wyłącznie dzieciństwo.

Przyglądałam się intensywnie młodej Rosjance, wciśniętej w obcisły, szary kostium. Wyrzucała z siebie jak automat idiom za idiomem w tym jakże obcym dla mnie języku — Konstanty powiedział, że tłumaczenie z angielskiego na rosyjski jest dlatego takie trudne, że idiomy tych języków są zupełnie różne — i myślałam, że dałabym nie wiem co, żeby wleźć w jej skórę i przez całe życie już nic innego nie robić, tylko sypać tak jak ona bezbłędnie tymi idiomami. Może nie stałabym się od tego szczęśliwsza, ale zbliżyłabym się w pewnym sensie do doskonałości.

A potem Rosjanka i Konstanty, i ta cała gromada czarnych, białych i żółtych ludzi, gadających szybko w małe, kieszonkowe mikrofoniki, jakby się rozpłynęła. Patrzyłam na nich, widziałam, jak poruszają bezszmerowo ustami, i zdawało mi się, że oni siedzą na pokładzie oddalającego się okrętu, a ja tkwię na mieliźnie wielkiego milczenia.

Robiłam w duchu listę wszystkiego, czego nie umiem.

Zaczęłam od gotowania.

Moja matka i babka były tak wyśmienitymi kucharkami, że pozostawiałam im przyjemność gotowania. Próbowały mnie uczyć przyrządzania różnych dań, ale ja przyglądałam się ich zabiegom kulinarnym, mówiłam „owszem, naturalnie" i wszystko, co mówiły, przelatywało przeze mnie jak woda przez sito. Czasami próbowałam coś ugotować, ale nic mi, rzecz jasna, nie wychodziło i nikt nigdy nie namawiał mnie do powtórzenia eksperymentu.

Pamiętam, jak pewnego ranka, jeszcze w pierwszym semestrze, moja najlepsza i jedyna przyjaciółka, Jody, usmażyła mi jajecznicę u siebie w domu. Ta jajecznica miała dość dziwny smak, więc zapytałam, czego do niej dodała. Odpowiedziała, że tartego sera i soli czosnkowej. Zapytałam, kto ją tego nauczył, a ona na to, że nikt, że sama to sobie wymyśliła. No, ale Jody miała wielki zmysł praktyczny i zamierzała robić magisterium z socjologii.

Stenografii także nie znałam.

Bez tego nie mogłam, oczywiście, liczyć na jakąkolwiek pracę po skończeniu college'u. Matka wciąż powtarzała, że nikt nie zatrudni dziewczyny-magistra anglistyki bez znajomości stenografii. Pani magister anglistyki, znająca stenografię i maszynopisanie, to zupełnie inna para kaloszy. Taka bez trudu znajdzie posadę. Całe zastępy młodych, stojących u progu kariery mężczyzn zechcą dyktować jej niezliczone fascynujące listy.

Ale ja nie miałam najmniejszego zamiaru wysługiwania się młodym, obiecującym biznesmenom jako sekretarka. Zamierzałam sama dyktować fascynujące listy. A poza tym, jak zobaczyłam w podręczniku mamy te ohydne, małe, czarne znaki, zapałałam do nich taką samą nienawiścią jak do równań matematycznych, w których t oznacza czas, a s — odległość pomiędzy dwoma punktami.

Lista moich niedociągnięć robiła się coraz dłuższa. Na przykład zupełnie nie umiałam tańczyć. Nie miałam słuchu. Równowagę miałam chwiejną, szczególnie kiedy kazali chodzić po desce z rozłożonymi ramionami i książką na głowie. Był to popisowy numer szkolnych lekcji gimnastyki. Zawsze się przewracałam. Nie jeździłam ani konno, ani na nartach, a były to dwa sporty, które mi szczególnie imponowały. Były jednakże zbyt kosztowne. Nie znałam niemieckiego, nie czytałam po hebrajsku, nie umiałam pisać po chińsku. Nie byłam nawet pewna, gdzie znajduje się większość krajów, reprezentowanych przez siedzących naprzeciwko mnie delegatów.

Tak więc teraz, siedząc w dźwiękoszczelnym sercu gmachu ONZ, pomiędzy Konstantym, który umiał i grać w tenisa, i tłumaczyć bezpośrednio z jednego języka na drugi, a Rosjanką, znajdującą niezliczone idiomy, poczułam się po raz pierwszy w życiu bezgranicznie niekompetentna. Dotychczas po prostu się nad tym nie zastanawiałam.

Jedyna rzecz, jaką umiałam robić naprawdę dobrze, to zdobywać nagrody i stypendia naukowe, ale ten okres mojego życia zbliżał się nieuchronnie ku końcowi.

Czułam się jak koń wyścigowy w świecie, gdzie nie ma torów wyścigowych, albo jak student-rekordzista sportowy, który znalazł się na pierwszej w życiu posadzie — giełda, granatowe ubranie — a któremu, jako jedyne wspomnienie wspaniałej przeszłości, pozostał złoty puchar na półce z wyrytym jak na nagrobku imieniem, nazwiskiem i datą.

Życie moje ukazało mi się w postaci rozgałęzionego drzewa figowego, tak jak w tamtym opowiadaniu.

Na każdej gałęzi wisiała dojrzała, fioletowa figa, symbol jednej z czekających mnie w życiu szans. Reprezentowały męża, dom, dzieci, sławę poetki, wybitną karierę profesorską, karierę dziennikarską, Europę, Afrykę i Amerykę Południową, Konstantego, Sokratesa, Attylę i całe zastępy kochanków o dziwnych imionach i niezwykłych zawodach. Jedna z fig reprezentowała złoty medal olimpijski za wioślarstwo. Na drzewie było jeszcze wiele dojrzałych owoców, których symboliki nie zdołałam odszyfrować.

Wyobrażałam sobie, że siedzę na tym drzewie i umieram

z głodu, ponieważ nie mogę w żaden sposób zdecydować się na to, którą figę zerwać. Miałam ochotę na wszystkie, na absolutnie każdą z tych fig z osobna, ale zerwanie jednej oznaczało automatycznie rezygnację z pozostałych, więc siedziałam, aż figi zaczęły się marszczyć, czernieć i jedna za drugą spadały na ziemię.

Restauracja Konstantego pachniała ziołami, przyprawami i kwaśną śmietaną. Od przyjazdu do Nowego Jorku ani razu nie byłam w takiej restauracji. Żywiłam się nieustannie w okropnych jadłodajniach typu „Boski kotlet", gdzie przy kontuarze pokrytym nienagannie czystym laminatem i wśród lustrzanych ścian podają gigantycznych rozmiarów hamburgery, zupę firmową i cztery rodzaje tortów.

Żeby dostać się do środka, trzeba było zejść w dół po siedmiu słabo oświetlonych stopniach. Była to właściwie piwnica.

Na ścianach widniały afisze biur podróży, podobne do okien wychodzących na szwajcarskie jeziora, japońskie pasma górskie, afrykańskie stepy. Za oświetlenie służyły grube świece wetknięte w stare butelki i zdawało się, że spływa po nich od stuleci barwna stearyna — zielona na czerwoną i na niebieską — tworząc skomplikowaną woskową koronkę. Każdy stół miał własną aureolę światła, a w niej kołysały się leciutko twarze ludzkie, rozgrzane i ciepłe jak płomienie tych świec.

Nie mam pojęcia, co jadłam, wiem tylko, że już po pierwszym kęsie poczułam się znacznie lepiej. Pomyślałam, że to moje drzewo z dojrzałymi figami, kurczącymi się powoli i opadającymi na ziemię, było po prostu wytworem wyobraźni i pustego żołądka.

Konstanty dolewał mi bez przerwy jakiegoś słodkiego greckiego wina o smaku kory sosnowej i po pewnym czasie zaczęłam gadać, że zamierzam uczyć się niemieckiego, że pojadę do Europy i zostanę korespondentką wojenną jak Madzia Higgins.

Kiedy doszliśmy do jogurtu z konfiturą z truskawek, byłam już w tak wyśmienitym humorze, że postanowiłam stracić z Konstantym cnotę.

Od chwili, kiedy Buddy Willard zwierzył mi się ze swojej przygody z kelnerką, myślałam o tym, żeby się też z kimś przespać. Zrobienie tego z Buddym nie liczyłoby się, bo i tak byłby zawsze o jedną przygodę dalej, więc trzeba było znaleźć kogo innego.

Jedyny chłopiec, z którym rozmawiałam na ten temat, był rodem z Południa, studiował w Yale. Przyjechał do naszego college'u na jakiś weekend i dowiedział się, że jego ukochana poprzedniego dnia uciekła z jakimś kierowcą taksówki. Ponieważ mieszkała w jednym domu ze mną, a ja byłam tej soboty jedyną studentką, która nie miała żadnej randki, więc mnie, rzecz prosta, przypadła rola pocieszycielki.

Poszliśmy do kawiarenki, usiedliśmy we wnęce, której drewniane ściany upstrzone były setkami inicjałów, popijaliśmy niezliczone ilości czarnej kawy i rozmawialiśmy bardzo szczerze o życiu seksualnym.

Chłopiec ten, imieniem Eryk, twierdził, że widok moich koleżanek, które co sobotę gziły się nieprzytomnie pod latarniami — właściwie na widoku publicznym, a także na gankach i w krzakach, by z wybiciem pierwszej godziny powrócić do swoich pokojów — przyprawia go o mdłości. Milion lat ewolucji, powiedział z goryczą, i czym jesteśmy? Zwierzętami.

A potem opisał mi swoją pierwszą przygodę.

Uczęszczał do szkoły średniej na Południu. W szkole tej istniało niepisane prawo, że przed maturą każdy chłopiec musi poznać przynajmniej jedną kobietę. Poznać, w biblijnym tego słowa znaczeniu, dodał Eryk.

Tak więc pewnej soboty pojechał z grupą kolegów autobusem do najbliższego miasta, do znanego domu publiczne-

go. Kurwa Eryka nie pofatygowała się nawet, żeby zdjąć suknię. Była to tłusta, niemłoda kobieta o ufarbowanych na rudo włosach, podejrzanie grubych wargach i szczurzoszarej cerze. Nie chciała nawet zgasić lampy, więc wszystko odbywało się w świetle jednej, zapaskudzonej przez muchy dwudziestowatowej żarówki i zaraz okazało się, że nie jest to znowu taka wielka przyjemność. Cała rzecz, twierdził Eryk, jest mniej więcej równie interesująca jak zrobienie kupki.

Powiedziałam, że jak się kobietę kocha, to sprawa jest, być może, nieco zabawniejsza, ale Eryk nie zgadzał się i powiedział, że jak myśli o tym, że kobieta, z którą to robi, jest takim samym zwierzęciem jak inne, to mu się wszystkiego odechciewa, więc postanowił, że nigdy nie pójdzie do łóżka z dziewczyną, w której byłby zakochany. Do tych spraw będzie używał kurew, ukochana kobieta niech pozostanie czysta i nieskalana.

Przyszło mi na myśl, że Eryk może byłby dobry na jednorazowe przespanie się. Przede wszystkim dlatego, że już wiedział, jak to się robi, a poza tym, w przeciwieństwie do większości chłopców, potrafił rozmawiać na tematy seksualne bez wygłupiania się. Ale wkrótce potem napisał, że wydaje mu się, iż mógłby się we mnie zakochać, ponieważ jestem inteligentna i cyniczna, a mimo to mam twarz anioła, zupełnie, notabene, jak jego starsza siostra. Zrozumiałam więc, że nic z tego nie będzie, bo jestem właśnie typem kobiety, z którą nie zamierza sypiać, więc odpisałam mu, że niestety wychodzę wkrótce za mąż za przyjaciela z lat dziecinnych.

Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej nęciła mnie myśl, żeby pozwolić się uwieść w Nowym Jorku tłumaczowi kabinowemu z Narodów Zjednoczonych. Konstanty robił wrażenie człowieka dojrzałego i dobrze wychowanego. Nie mieliśmy wspólnych znajomych, którym mógłby się pochwalić swoją konkietą, co z reguły czynią studenci. Opowiadają wszystko szczegółowo kolegom w dormitoriach albo w hali sportowej. Poza tym nęciła mnie pikanteria tej sytuacji. Przespać się z facetem przysłanym mi przez panią Willard, a potem obciążyć tym jej sumienie!

Kiedy Konstanty zaproponował, żebyśmy poszli do jego mieszkania i wysłuchali nagrania koncertu bałałajkowego, uśmiechnęłam się do samej siebie. Matka wbijała mi w głowę, żebym nigdy, pod żadnym pozorem, nie szła do domu mężczyzny po kolacji, ponieważ jest to propozycja absolutnie jednoznaczna.

— Szalenie lubię bałałajki — odparłam więc bez wahania.

Pokój Konstantego miał balkon wychodzący na rzekę. Z daleka, z ciemności słychać było syreny ciągnących po wodzie berlinek. Byłam trochę wzruszona, nabrzmiała czułością i absolutnie przygotowana na wszystko.

Wiedziałam, że można od tego zajść w ciążę, ale myśl ta, zawieszona gdzieś wysoko nad głową, specjalnie mnie nie zrażała. Wiedziałam też, że nie ma stuprocentowego sposobu zapobiegania ciąży, ponieważ przeczytałam to w miesięczniku „Reader's Digest". Matka moja przysłała mi ten artykuł do college'u. Napisany był przez kobietę zamężną, adwokatkę, matkę wielu dzieci. Tytuł jego brzmiał: *Obrona dziewictwa.*

Podane tam były wszystkie możliwe powody, dla których kobieta powinna spać jedynie i wyłącznie z własnym mężem i to dopiero po ślubie.

Pani adwokat pisała, że świat mężczyzny jest zupełnie inny niż świat kobiety, że uczucia kobiet są zupełnie inne od uczuć mężczyzn i że tylko małżeństwo może zbliżyć te dwa światy i połączyć te dwie kategorie emocjonalne. Matka moja dodała, że jest to prawda, którą przeciętna kobieta poznaje dopiero, kiedy jest za późno, i dlatego dobrze jest zawczasu zapoznawać się z radami ekspertów w tej dziedzinie, to jest kobiet zamężnych.

Pani adwokat pisała jeszcze, że najlepsi z mężczyzn także zachowują cnotę dla swoich żon, ale nawet ci, którym się to nie udało, osobiście wolą wtajemniczyć swoje małżonki w praktyki miłosne. Każdy próbuje namówić swoją dziewczynę do stosunku przedślubnego, że to niby zadatek na przyszłość, każdy przyrzeka małżeństwo, ale potem traci szacunek dla narzeczonej i rozumuje na ogół, że skoro przespała się z nim, to na pewno robiła to także z innymi, i wszystko kończy się fatalnie. Dla kobiety.

Artykuł z kolei kończył się twierdzeniem, że strzeżonego Pan Bóg strzeże, a ponadto, że nie ma stuprocentowego sposobu zapobiegania ciąży, a ciąża to dla dziewczyny dopiero klops.

Pani adwokat brała pod uwagę wszystko, z wyjątkiem uczuć dziewcząt.

Może zachowanie dziewictwa i małżeństwo z niewinnym jak łza chłopcem jest rzeczywiście bardzo przyjemną przygodą, ale co będzie, jeżeli taki facet zaraz po ślubie przyzna się, że kłamał, jak chociażby Buddy Willard? Nie mogłam się pogodzić z tym, że kobieta musi prowadzić życie cnotliwe i niepokalane, a mężczyzna może sobie żyć życiem podwójnym — grzesznym i cnotliwym, takim i siakim, jak mu się podoba.

W końcu zdecydowałam, że ponieważ znalezienie inteligentnego, normalnego, a jednocześnie niewinnego chłopaka w wieku lat dwudziestu jest rzeczą niemalże niemożliwą, to nie muszę tak strasznie chronić własnej cnoty. Postanowiłam jakoś pogodzić się z myślą o małżeństwie z mężczyzną, który przeżył już coś w tej dziedzinie. Nie mógłby przynajmniej mieć do mnie pretensji, bo sam nie byłby bez winy.

Kiedy miałam lat dziewiętnaście, utrata cnoty uchodziła za sprawę bardzo poważną.

Świat nie dzielił się na demokratów i republikanów, katolików i protestantów, białych i czarnych, ani nawet na

mężczyzn i kobiety, ale jedynie i wyłącznie na ludzi, którzy już stracili cnotę, i takich, którzy się jeszcze z nikim nie przespali. Stanowiło to jedyną istotną różnicę pomiędzy jedną osobą a drugą. Przynajmniej dla mnie.

Byłam przekonana, że w dniu, w którym zdecyduję się na przekroczenie tej wyimaginowanej linii demarkacyjnej, nastąpi we mnie jakaś zupełnie zasadnicza zmiana.

Myślałam, że będzie to mniej więcej takie uczucie, jakiego zaznałabym na przykład po powrocie z pierwszej podróży po Europie. Wracam do domu, przyglądam się sobie uważnie w lustrze i oto dostrzegam w głębi źrenicy malutki wizerunek Alp. A teraz pomyślałam, że jak jutro spojrzę do lustra, to zobaczę na dnie oka malutkiego, uśmiechniętego Konstantego. Ale naprawdę było tak. Przez dobre dwie godziny siedzieliśmy na balkonie na dwóch wygodnych leżakach i słuchaliśmy nagrań bałałajkowych z leżącego pomiędzy nami adaptera. Przyglądaliśmy się sobie w słabym świetle latarni ulicznych, księżyca, gwiazd albo reflektorów przejeżdżających samochodów — sama już nie pamiętam — a Konstanty trzymał mnie za rękę i nie wykazywał najmniejszej ochoty uwiedzenia mnie.

Spytałam go, czy jest zaręczony, czy ma dziewczynę, bo myślałam, że może to go tak powstrzymuje, ale odparł, że nie, że nic z tych rzeczy, że odwrotnie — bardzo uważa, żeby się z nikim nie wiązać.

Po pewnym czasie poczułam, że zaczyna mnie morzyć sen, pewnie przez to wino z kory sosnowej.

— Może pójdę do pokoju i położę się trochę — zaproponowałam.

Weszłam do pokoju i pochyliłam się, by zrzucić z nóg pantofle. Czyste łoże Konstantego kołysało się lekko przed moimi oczami jak bezpieczna, solidna łódź. Wyciągnęłam się na nim i zamknęłam oczy. Po chwili usłyszałam, że Konstanty także wchodzi do pokoju. Westchnął, zrzucił jeden but, potem drugi i położył się obok.

Przyglądałam mu się dyskretnie spoza zasłony moich długich włosów.

Leżał na plecach, z rękami pod głową i wpatrywał się w sufit. Wykrochmalone, zawinięte rękawy jego białej koszuli lśniły w ciemności niesamowitym blaskiem, a jego opalona skóra wydawała się niemal czarna. Pomyślałam, że jest chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam w życiu.

I jeszcze pomyślałam, że gdybym przynajmniej była sławną pisarką albo znała się na polityce, albo chociaż miała interesujący układ twarzy, Konstanty zdecydowałby się może przespać ze mną choć raz.

A potem zaczęłam się zastanawiać nad tym, czy gdybym mu się spodobała, przestałby mi się wydawać taki inny, a gdyby się we mnie zakochał, czy nie znalazłabym w nim natychmiast najrozmaitszych wad, tak jak to było z Buddym Willardem czy innymi chłopakami jeszcze przed Buddym.

Bo ze mną zawsze jest tak. Z daleka facet wydaje mi się z reguły niezwykły i niemal doskonały, ale kiedy poznam go bliżej, znajduję w nim tysiące wad. Dlatego między innymi postanowiłam nigdy nie wychodzić za mąż.

Ale najbardziej w świecie bałam się zakotwiczenia w bezpiecznej małżeńskiej przystani, no i tego, żeby nie zostać przypadkiem miejscem, z którego wychodzi strzała. Przeciwnie, marzyłam o zmianach, przygodach i sama chciałam być strzałą, co tam, całą masą barwnych, roziskrzonych strzał, kolorowych jak fajerwerki w Święto Niepodległości.

Obudził mnie szum deszczu.

W pokoju było ciemno jak w grobie. Po chwili wyłonił się słaby zarys nie znanego mi okna. Od czasu do czasu wąski promień światła pojawiał się znikąd, przesuwał się po ścianie, jakby narysowany ręką wścibskiego duszka, i równie tajemniczo znikał.

Nagle usłyszałam słaby świst czyjegoś oddechu.

Przez moment myślałam, że może to ja tak oddycham, że wciąż leżę w ciemności w moim pokoju hotelowym i walczę z chorobą. Wstrzymałam więc własny oddech, ale nic się nie zmieniło.

Tuż koło mnie błysnęło zielone oko podzielone liniami jak kompas. Wyciągnęłam rękę, chwyciłam je i powoli przysunęłam do siebie. Wraz z okiem podniosłam ludzką rękę, ciężką jak u nieboszczyka, ale ciepłą i senną.

Zegarek Konstantego wskazywał godzinę trzecią.

Leżał przy mnie ubrany w koszulę, spodnie i skarpetki, tak jak go widziałam zasypiając, a kiedy wzrok mój przywykł do ciemności, zobaczyłam jego blade powieki, prosty nos i te jego pięknie wykrojone usta, na których igrał lekki, tolerancyjny uśmieszek. Wszystko było niematerialne, zasnute jakby mgłą. Przez kilka minut przyglądałam mu się uważnie. Po raz pierwszy w życiu spałam na jednym łóżku z mężczyzną.

Usiłowałam sobie wyobrazić, że Konstanty jest moim mężem.

Musiałabym wówczas wstawać o siódmej, smażyć mu jajka na bekonie, robić grzanki i kawę, tłuc się po domu w szlafroku, z włosami nawiniętymi na wałki, aż wyszedłby do pracy, potem trzeba by było pozmywać, zasłać łóżka, a wieczorem, po powrocie do domu z całodziennej, fascynującej pracy, małżonek żądałby oczywiście dobrej kolacji. Po kolacji musiałabym, rzecz jasna, znowu zmywać całe góry naczyń, po czym śmiertelnie zmęczona waliłabym się do łóżka.

Nudne by to było, zmarnowane życie dla dziewczyny po piętnastu latach nauki, to fakt, ale wiedziałam, że na tym właśnie polega małżeństwo dla kobiety, na sprzątaniu, gotowaniu i zmywaniu. Takie były właśnie główne i niemal jedyne zajęcia matki Buddy'ego, która była żoną profesora, a przed zamążpójściem uczyła w szkole podstawowej.

Pewnego dnia zastałam panią Willard przy robieniu dywanika z nitek, które wyciągała ze starego ubrania pana

Willarda. Robota ta zajęła jej wiele pracowitych tygodni. Wyraziłam swój podziw dla kolorów, bo naprawdę pięknie dobrała granaty, szarości i zielenie. Ale kiedy pani Willard skończyła dywanik, to zamiast powiesić go nad łóżkiem — co ja zrobiłabym bez wahania — położyła go w kuchni na podłodze, tak że już po kilku dniach był brudny, przetłuszczony i nie różnił się niczym od pierwszej lepszej maty kuchennej, nabytej u Woolwortha za kilkadziesiąt centów.

Wiedziałam, że róże, pocałunki i intymne kolacyjki po restauracjach mężczyźni fundują swoim dziewczynom tylko w okresie narzeczeństwa. Natomiast po ślubnej uroczystości ogarnia ich jedno jedyne skryte pragnienie. Chcą, żeby żona rozłożyła się pod ich nogami, jak ta mata w kuchni pani Willard.

Nawet moja własna matka opowiadała mi pewnego razu, że gdy powróciła z podróży poślubnej — byli w Reno, ponieważ ojciec przedtem musiał sobie tam załatwić rozwód — papa westchnął z ulgą i powiedział: — No, nareszcie będziemy mogli przestać się wygłupiać i być sobą! — i od tego dnia moja matka nie zaznała już ani chwili radości.

Pamiętam też, jak Buddy Willard powiedział kiedyś ponurym i zarozumiałym tonem, że jak zostanę matką, to się zmienię, że na pewno przejdzie mi ochota do pisania wierszy. Zastanowiłam się nad tym i doszłam do wniosku, że posiadanie męża i dzieci równa się przepierce mózgu — człowiek staje się czymś w rodzaju głupiego niewolnika w małym totalitarnym państewku.

Wpatrywałam się więc w Konstantego, jak gdyby był małym, nieosiągalnym kamyczkiem na dnie głębokiej studni, ale nagle powieki jego zadrgały, uniosły się i spojrzał na mnie oczami pełnymi miłości. Gdy tylko mnie rozpoznał, wzrok jego stał się szklany i obojętny, a rozszerzone, błyszczące źrenice pociemniały.

Usiadł, przeciągnął się i ziewnął. — Która godzina? — zapytał.

— Trzecia — odpowiedziałam obojętnie. — Muszę wracać do siebie. Idę wcześnie do pracy.

— Odwiozę cię.

Kiedy siedzieliśmy odwróceni plecami po dwóch stronach łóżka, w niemiłosiernie jasnym świetle lampy, i mocowaliśmy się ze sznurowadłami, Konstanty nagle odwrócił się do mnie.

— Czy twoje włosy zawsze są takie?

— Jakie?

Nie odpowiedział, ale wyciągnął rękę, położył ją na nasadzie mojej czaszki i powoli przejechał palcami jak grzebieniem przez moje włosy. Lekki prąd elektryczny przeszył całe moje ciało, ale nawet nie drgnęłam. Od dzieciństwa lubię, kiedy mnie ktoś czesze. Uspokaja mnie to i usypia.

— Już wiem — stwierdził Konstanty. — Pewnie są świeżo umyte. — I nachylił się, żeby skończyć sznurowanie tenisówek.

W godzinę później znajdowałam się już w swoim hotelowym łóżku. Leżałam i wsłuchiwałam się w szum deszczu. Lało jak woda z kranu. Poczułam ból w lewej nodze, więc porzuciłam wszelką nadzieję zaśnięcia przed siódmą, kiedy radosne dźwięki marsza Sousy miały wydobyć się z mojego radiobudzika.

Kiedy padał deszcz, budził się stary ból w miejscu, w którym kiedyś złamałam nogę, i przywodził na myśl inny ból, tępy, ale równie dotkliwy.

Buddy Willard jest odpowiedzialny za to, że złamałam wtedy nogę — pomyślałam niemal głośno.

I zaraz potem: Wcale nie. To moje dzieło. Złamałam ją dlatego, że chciałam się ukarać za własną głupotę.

Rozdział VIII

W góry Adirondacks zawiózł mnie pan Willard.

Było nazajutrz po Bożym Narodzeniu, niebo szare, chmury spęczniałe śniegiem. Jak zawsze po świętach, byłam przejedzona, rozczarowana i ogłupiała, bo tak już jest, że to wszystko, co zwiastują prezenty świąteczne, wstążki, choinki, świeczki, płonące w kominkach ognie, pieczone indyki z nadzieniem, kolędy z akompaniamentem fortepianu, musi się kończyć wielkim rozczarowaniem.

W czasie Bożego Narodzenia zawsze żałowałam, że nie jestem katoliczką.

Najpierw prowadził pan Willard, a potem ja. Nie pamiętam już, o czym rozmawialiśmy. Zaśnieżony krajobraz stawał się coraz bardziej ponury, ciemne, sosnowe lasy pokrywały stoki gór. Były tak intensywnie zielone, że niemal wpadały w czerń. Robiło mi się coraz smutniej i smutniej.

Miałam ochotę zaproponować panu Willardowi, żeby sobie pojechał dalej, a ja powrócę do domu autostopem.

Ale jedno spojrzenie na tego człowieka — srebrnosiwe włosy, ostrzyżone chłopięco na jeża, szczere, niebieskie oczy, różowe policzki, cera jak lukier na torcie weselnym i ten niewinny, ufny wyraz twarzy — i zrozumiałam, że nic z tego, że trzeba będzie przeżyć tę wizytę do samego końca.

Około południa przejaśniło się nieco. Zaparkowaliśmy na oblodzonym parkingu tuż przy szosie i zjedliśmy sandwicze z sałatką z tuńczyka, kruche ciasteczka i jabłka, popijając czarną kawę z termosu. Posiłek ten przygotowała nam pani Willard.

Pan Willard przyglądał mi się życzliwym okiem. Zjadł, odchrząknął i strząsnął okruszyny ze spodni. Od razu zorientowałam się, że powie coś ważnego, ponieważ jako człowiek bardzo nieśmiały zawsze chrząkał, zanim zabierał głos. Byłam kiedyś na jego wykładzie z ekonomii i wtedy także długo chrząkał, zanim zaczynał mówić.

— Nelly i ja zawsze marzyliśmy o córce.

Przez krótką obłąkaną chwilę sądziłam, że pan Willard usiłuje mi w ten sposób dać do zrozumienia, że jego żona zaszła w ciążę i że spodziewają się córeczki. Ale zaraz dodał:

— I nie wyobrażam sobie milszej córki aniżeli ty.

Pan Willard był pewny, że płaczę ze szczęścia, bo poklepał mnie po ramieniu, chrząkał i chrząkał, i w kółko powtarzał: — No dobrze, już dobrze. Rozumiem, wszystko rozumiem.

Potem wysiadł z samochodu, obszedł go, ja przesunęłam się na jego miejsce, on wsunął się za kierownicę i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Nie pamiętam już, jak sobie wyobrażałam sanatorium Buddy'ego. Może jako śliczny, drewniany domek szwajcarski, zbudowany na szczycie góry, zamieszkany przez pięknych chłopców i cudownej urody dziewczyny o różowych policzkach i niezdrowo błyszczących oczach, wypoczywających na balkonach, pod grubymi pledami.

„Gruźlica to jak bomba w płucach", pisał biedny Buddy w jednym ze swoich listów. „Człowiek musi po prostu leżeć bardzo cicho i spokojnie, żeby nie wybuchła".

Nie wyobrażałam sobie Buddy'ego leżącego bez ruchu. Cała jego filozofia życiowa polegała na tym, że człowiek powinien być szalenie czynny i wykorzystywać każdą chwilę. Nawet kiedy latem jeździliśmy na plażę, Buddy nie kładł się na piasek, żeby się po prostu opalać, tak jak ja. O nie!

Biegał albo kopał piłkę, albo gimnastykował się, nie marnował ani sekundy.

Kazano nam siedzieć w poczekalni, aż się skończy popołudniowy odpoczynek pacjentów.

Koncepcja dekoracyjna lekarza prowadzącego sanatorium musiała być oparta na wątrobie. Wszędzie brązowe boazerie, fotele kryte skórą, ściany, które były, być może, niegdyś białe, ale uległy chorobie pleśni i wilgoci. Podłogę zakrywało brunatne, marmurkowe linoleum.

Na niskim stoliku, pełnym okrągłych i półkolistych plam, na ciemnym fornirze leżały stare numery „Time'a" i „Life'u". Otworzyłam jeden na chybił trafił. Uśmiechnięta twarz Eisenhowera, gładka i tępa jak twarzyczka embrionu pływającego w spirytusie, spojrzała na mnie znienacka.

Po chwili zaintrygował mnie filuterny, cichutki szum. Przez minutę myślałam, że wilgoć zaczęła się już skraplać i spływa po ścianach, ale nie, to szumiała mała fontanna, umieszczona w kącie poczekalni.

Wytryskiwała z kikuta zwykłej rury z wysokości kilkunastu centymetrów. Woda rozkładała się szerokim wachlarzem, potem spadała i znikała w kamiennym baseniku, wyłożonym białymi, ośmiokątnymi kafelkami, jakie widuje się najczęściej w klozetach publicznych.

Nagle rozległ się dzwonek, w oddali zaczęły się otwierać i zamykać liczne drzwi i do poczekalni wszedł Buddy.

— Cześć, tato.

Objął i uściskał ojca, po czym podszedł do mnie, uśmiechając się koszmarnym, radosnym uśmiechem, i wyciągnął rękę. Uścisnęłam ją. Była pulchna i spocona.

Ja i pan Willard siedzieliśmy na skórzanej kanapce, a Buddy naprzeciwko nas, na brzegu śliskiego fotela. Nie przestawał się uśmiechać, jak gdyby kąciki jego ust rozciągnięte były niewidzialnym drutem.

Nigdy nie przyszło mi na myśl, że Buddy mógłby się roztyć. Szczególnie w sanatorium. Odwrotnie, byłam przekonana, że jest chudy jak szczapa, ma zapadnięte policzki i oczy płonące w kościstych oczodołach.

A tymczasem wszystko, co kiedyś było w Buddym wklęsłe, stało się wypukłe. Pod obcisłą, białą nylonową koszulą rysował się pokaźny brzuszek, a policzki miał krągłe i czerwone jak z marcepanu. Nawet śmiech jego był tłustawy.

Spojrzeliśmy sobie w oczy. — To przez tutejsze jedzenie — powiedział. — Tuczą nas przez cały dzień i nie pozwalają nam się ruszać. Ale już mi wolno spacerować przez godzinę dziennie, więc nie martw się, daj mi dwa tygodnie, a pozbędę się tego tłuszczu. — Skoczył na nogi, uśmiechając się jak wytworny gospodarz domu. — Czy chcielibyście zobaczyć mój pokój?

Szłam za Buddym, a pan Willard za mną. Przeszliśmy przez dwoje wahadłowych drzwi, przez długi, słabo oświetlony korytarz o ścianach koloru wątroby i podłodze śmierdzącej pastą i linoleum, i jeszcze czymś, co zalatywało przywiędłą gardenią.

Buddy pchnął jakieś brunatne drzwi i wszyscy weszliśmy do wąskiego pokoiku.

Całą niemal przestrzeń zajmowało kiepsko zaścielone łóżko spowite cienką, białą narzutą w nikłe, niebieskie paseczki. Przy łóżku stał nocny stolik, a na nim dzbanek z wodą, szklanka i słoik wypełniony różowym płynem dezynfekcyjnym, z którego sterczała srebrna gałązka termometru. Pomiędzy łóżkiem a szafą znajdował się niewielki stół, na którym piętrzyły się podręczniki i bruliony oraz kilka ulepionych z gliny, jeszcze nie wypalonych naczyń.

— Bardzo sympatyczny pokój — chrząknął pan Willard.

Buddy roześmiał się.

— A to co? — wzięłam do ręki brunatne, gliniane naczynko w kształcie liścia, z żyłkami starannie narysowanymi żółtą kreską. Buddy nie palił.

— To popielniczka. Zrobiłem ją dla ciebie.

Odłożyłam popielniczkę na stół.

— Przecież nie palę.

— Wiem, ale myślałem, że może ci się spodoba.

— No cóż. — Pan Willard oblizywał wyschnięte wargi. — Chyba już czas na mnie. Chyba już zostawię was, młodych.

— Dziękuję ci, tato, do widzenia.

Byłam zaskoczona. Spodziewałam się, że pan Willard też zostanie na noc i że nazajutrz powrócimy razem samochodem.

— To ja też pojadę.

— Nie, nie. — Pan Willard odliczył kilka banknotów i wręczył je Buddy'emu.

— Zajmij się Esther, dobrze? Przypilnuj, żeby dostała dobre miejsce w pociągu. Zostanie tu dzień albo dwa.

Buddy odprowadził ojca do drzwi.

Zrozumiałam, że pan Willard po prostu oszukał mnie. Byłam teraz pewna, że to było z góry zaplanowane, ale Buddy potem przysięgał, że nie, że jego ojciec nie znosi widoku ludzi chorych, a już szczególnie chorego syna, ponieważ jest absolutnie przekonany o tym, że choroby ciała są w gruncie rzeczy jedynie chorobą woli. Pan Willard nie przeleżał ani jednego dnia w łóżku. Taki to był człowiek.

Usiadłam na łóżku Buddy'ego. Nie było po prostu innego miejsca.

Buddy zaczął szperać wśród swoich papierów i podał mi numer jakiegoś cienkiego pisemka w szarej oprawie. — Przeczytaj stronę jedenastą.

Był to magazyn wydawany w stanie Maine. Zawierał wiersze i krótkie utwory prozą, oddzielone od siebie trzema gwiazdkami. Na stronie jedenastej znalazłam wiersz pod tytułem *Świt na Florydzie*. Szybko prześliznęłam wzrokiem po nie kończących się strofach, opisujących słońce koloru arbuza i palmy koloru skorupy żółwia oraz muszle rzeźbione jak greckie kapitele.

— Niezłe — powiedziałam. Okropne, pomyślałam.

— Jak myślisz, czyje to? — zapytał Buddy z tajemniczym uśmiechem.

Spojrzałam na podpis. B.S. Willard.

— Nie mam pojęcia — powiedziałam, ale szybko dodałam: — Oczywiście że wiem, Buddy! Ty to napisałeś!

Buddy przysunął się do mnie.

Odsunęłam się. Nie znam się na gruźlicy, ale zawsze uważałam ją za bardzo groźną chorobę, szczególnie że rozwija się tak niepostrzeżenie. Wyobrażałam sobie, że Buddy otoczony jest rojem niewidzialnych, ale morderczych bakterii.

— Nie bój się — roześmiał się Buddy — ja nie prątkuję.

— Nie prątkujesz?

— Nie mogę nikogo zarazić.

Oddychał głęboko, jak gdyby się zasapał, idąc pod górę.

— Chciałbym ci postawić jedno pytanie. — Miał nowy zwyczaj zaglądania rozmówcy głęboko w oczy, jak gdyby mu próbował prześwidrować wzrokiem głowę i zajrzeć do mózgu. — Myślałem nawet o tym, żeby cię zapytać listownie.

Wyobraziłam sobie niebieską kopertę z wyciśniętym emblematem Yale.

— Ale potem postanowiłem, że poczekam, aż przyjedziesz i zapytam cię osobiście. — Zrobił pauzę. — No, co, nie jesteś ciekawa?

— Jestem — odpowiedziałam suchym, beznamiętnym głosem.

Buddy przysunął się znowu. Objął mnie i odgarnął włosy z mojego prawego ucha. Nawet nie drgnęłam. — Czy chciałabyś zostać panią Willard? — szepnął.

Zachciało mi się okropnie śmiać.

Pomyślałam, że kiedyś przez pięć czy sześć lat, kiedy to po kryjomu i na odległość uwielbiałam Buddy'ego Willarda, pytanie takie całkowicie by mnie znokautowało.

Buddy zauważył, że nie spieszę się z odpowiedzią.

— Oczywiście, nie jestem w tej chwili w formie — powiedział szybko. — Biorę jeszcze PAS i nie jest wykluczone, że będą mi musieli wyjąć jedno lub dwa żebra, ale na jesieni na pewno wrócę do medyka. Najpóźniej za rok...

— Buddy, muszę ci coś powiedzieć.

— Wiem. — Buddy zesztywniał. — Poznałaś innego chłopaka.

— Nie, to nie to.

— No to co?

— Ja w ogóle nie zamierzam wychodzić za mąż.

— Zwariowałaś! — Buddy rozchmurzył się z miejsca. — Na pewno zmienisz zdanie.

— Nie. Jestem zupełnie zdecydowana.

Ale Buddy był niezrażony.

— Czy pamiętasz, jak wracaliśmy autostopem do domu?

— Pamiętam.

— Pamiętasz, że zapytałeś mnie wtedy, czy wolałabym mieszkać w mieście, czy na wsi?

— A ty odpowiedziałaś...

— A ja odpowiedziałam, że i tu, i tam.

Buddy skinął głową.

— A ty — ciągnęłam dalej w nagłym przypływie energii — ty śmiałeś się i powiedziałeś, że to są wyraźne predyspozycje do nerwicy, bo to pytanie jest z jakiegoś psychotestu, który przerabialiście na seminarium w poprzednim tygodniu.

Uśmiech Buddy'ego zaczął przygasać.

— I wiesz, co ci powiem? Miałeś rację. Ze mną nie jest dobrze. Nie mogłabym mieszkać stale ani na wsi, ani w mieście.

— Więc może pośrodku między jednym a drugim? — zaproponował Buddy. — Mogłabyś wtedy czasami bywać w mieście, a czasami jeździć na wieś.

— I to ma być objaw nerwicy?

Buddy milczał.

— No więc? — warknęłam. — Nie trzeba się cackać z chorymi, to im tylko jeszcze bardziej przewraca w głowie.

— Nic, nic — wymamrotał Buddy.

— Nerwica! — zaśmiałam się szyderczo. — Jeżeli

nerwica ma polegać na tym, że człowiek pragnie dwóch, zupełnie sprzecznych ze sobą rzeczy naraz, to owszem, w takim razie jestem wariatką! Wiem, że przez całe życie będę się miotała pomiędzy różnymi, wykluczającymi się nawzajem pragnieniami!

— Pozwól, że będę się miotał wraz z tobą — powiedział Buddy i położył dłoń na mojej dłoni.

Stałam na szczycie stromego wzgórza i patrzyłam w dół. Nie powinnam się tam była pchać, to pewne. Nigdy w życiu nie miałam nart na nogach, ale co tam, pomyślałam, pojadę na górę i nacieszę się widokiem.

Na lewo wyciąg wypluwał z siebie w regularnych odstępach czasu narciarza za narciarzem. Śnieg był ubity, wygładzony śladami niezliczonej liczby nart. W południe słońce podgrzało go tu i ówdzie, po czym chwycił mróz, nadając kałużom szklisty, wysoki połysk. Ostre, mroźne powietrze przenikało do płuc i zatok czołowych.

Z lewej i z prawej narciarze w czerwonych, niebieskich i białych wiatrówkach szusowali na olśniewająco białą nartostradę, podobną do wystrzępionej, amerykańskiej flagi. Z dołu, z zachrypniętego głośnika, dochodziły tony modnej wówczas piosenki:

W małym domeczku we dwoje
Pod Jungfrau siedzieć, ach...

Zdawało mi się, że znajduję się na śnieżnej pustyni i że opodal huczy niewidzialna, rwąca rzeka. Jeden nieopatrzny, ale wspaniały ruch i wyrzucona jak z katapulty znajdę się cudem na nartostradzie, w pogoni za małym, zielonkawym punkcikiem, sunącym samym środkiem. Tym punkcikiem był Buddy Willard.

Od wczesnego rana Buddy uczył mnie jazdy na nartach. Najpierw wypożyczył narty i kijki od jakiegoś przyja-

ciela, buty narciarskie od żony swojego lekarza — były tylko o jeden numer za duże — wreszcie czerwoną wiatrówkę od jednej z pielęgniarek. Był niezwykle stanowczy i mój tępy opór wcale go nie zrażał.

Przypomniało mi się, że jeszcze w szkole medycznej Buddy dostał nagrodę za to, że namówił jakąś tam liczbę rodzin zmarłych pacjentów, żeby zgodzili się na sekcję zwłok swoich bliskich, chociaż nie było to konieczne. Zwłoki te potrzebne były studentom do nauki. Nie pamiętam już, co za to dostał, ale mogę sobie doskonale wyobrazić, jak Buddy Willard, w białym kitlu, ze stetoskopem wystającym z kieszeni, zupełnie jakby był częścią jego ciała, uśmiecha się, kłania i zagaduje tych nieszczęsnych, zapłakanych krewniaków świeżych nieboszczyków, żeby mu podpisali taki jeden mały papierek.

Następnie Buddy pożyczył samochód swojego lekarza. Lekarz ten notabene sam kiedyś chorował na gruźlicę i dlatego był bardzo wyrozumiały dla pacjentów. W momencie, kiedy głośnik na korytarzu sanatorium zaskrzeczał, anonsując godzinę spaceru, wyruszyliśmy w drogę.

Buddy był też nowicjuszem, ale twierdził, że zasady jazdy są niezmiernie proste, a ponieważ wielokrotnie obserwował instruktorów i ich uczniów, więc podjął się nauczenia mnie wszystkiego, co istotne.

Przez pierwsze pół godziny posłusznie podchodziłam na małe zbocze, odpychałam się kijkami i zjeżdżałam równo w dół. Buddy był zadowolony z moich postępów.

— Doskonale, Esther — chwalił, gdy podchodziłam po raz dwudziesty. — Spróbujemy teraz wyciągu linowego.

Stanęłam jak wryta. Byłam zadyszana i czerwona jak rak.

— Ależ, Buddy, ja jeszcze nawet nie umiem skręcać. Zobacz, że jeszcze nawet nie umiem skręcać. Zobacz, że wszyscy ci ludzie na wyciągu doskonale opanowali skręty.

— Nie musisz przecież jechać na samą górę. Odskoczysz w połowie drogi i nie zdążysz nabrać wielkiego rozpędu.

Buddy podprowadził mnie pod wyciąg, pokazał mi, jak trzeba trzymać linę, tak żeby ślizgała się przez rękę, potem zacisnąć na niej palce i jechać.

Nawet nie wpadło mi do głowy, że mogłabym się nie zgodzić. Zacisnęłam więc ręce mocno na grubej, szorstkiej, chropowatej jak żmija linie i pojechałam.

Lina szarpała, chwiałam się, z trudem utrzymywałam równowagę i już wiedziałam, że nie uda mi się puścić jej w połowie trasy. Przede mną był jeden narciarz, za mną drugi, na pewno bym się natychmiast przewróciła i nadziała na narty i kijki. Wolałam tego jednak uniknąć, więc puściłam linę dopiero na samej górze.

Ale na górze zaczęłam się poważnie zastanawiać nad całą sytuacją.

Stałam więc bez ruchu w tej mojej czerwonej wiatrówce i patrzyłam, jak z dołu Buddy daje mi znaki rękami. Wyglądał jak wiatrak koloru khaki. Zorientowałam się, że chce, żebym się zapuściła pomiędzy szusujących narciarzy. Niezdecydowana i dosyć przerażona chwiałam się na deskach, aż tu nagle gładka, biała powierzchnia dzielącego nas stoku zaczęła zachodzić mgłą.

Bo z prawa i z lewa przecinali go teraz pojedynczy narciarze, a tam na dole, na drugim skraju białego pola, stał Buddy i machał rękami jak szalony. Całe wzgórze roiło się od malutkich, zwinnych stworzonek, podobnych do bakterii oglądanych przez mikroskop lub do lekko przechylonych, kolorowych wykrzykników.

Oderwałam wzrok od tego niebywałego widowiska i spojrzałam w górę.

Patrzyło na mnie kolosalne, szare oko nieba, przymglone lekko słońce zebrało w sobie jak w soczewce bezkresne, milczące przestrzenie ze wszystkich punktów kompasu — cały korowód bladych wzgórz, kończący się tuż u moich stóp.

Głos rozsądku mówił mi, żebym nie była idiotką, żebym

ratowała skórę, zdjęła narty i zeszła na dół piechotą, żebym uciekała, gdzie pieprz rośnie. Myśl o tym, że za chwilę mogę się zabić, wyrosła w mojej świadomości beznamiętnie jak drzewo lub kwiat.

Zmierzyłam przestrzeń dzielącą mnie od Buddy'ego.

Stał teraz z założonymi rękami, jak gdyby był częścią wyrastającego za nim drewnianego płotu — tępy, brunatny, pozbawiony większego znaczenia.

Nachyliłam się, wbiłam kijki w twardy śnieg, odepchnęłam się i pojechałam. Wiedziałam, że nie zatrzymam się już nawet największym wysiłkiem woli.

Celowałam prosto w dół.

Gwałtowny wiatr niespodziewanie trzepnął mnie w usta z ogromną siłą, włosy stanęły mi prostopadle nad czołem. Zjeżdżałam, ale mimo to białe słońce nie przesuwało się w górę. Wisiało nad nieruchomą, falistą linią wzgórz — bezduszna oś, wokół której kręciła się ziemia.

W najtajniejszych zakamarkach mojego ciała poruszyło się coś, wychynęło na powierzchnię i poleciało ku słońcu. Płuca nabrzmiały cudowną treścią tego krajobrazu — powietrza, gór, drzew, ludzi. To jest właśnie pełnia szczęścia, pomyślałam.

Szusowałam, mijając narciarzy, instruktorów, uczniów, pędziłam, pozostawiając za sobą lata nieszczerości, fałszywych uśmiechów, tchórzliwych kompromisów.

Ludzie i drzewa rozstępowały się przede mną jak ściany ciemnego tunelu, a ja zmierzałam szaleńczo ku jasnemu punktowi przyświecającemu mi w oddali, ku kamyczkowi rzuconemu w studnię, ku słodkiemu, białemu dziecięciu, skulonemu w matczynym łonie.

Usłyszałam chrzęst i poczułam smak żwiru w ustach. Lodowato zimna woda spływała mi do krtani.

Nade mną zawisła twarz Buddy'ego, wielka i bliska zarazem, jak zbłąkana planeta. Za nią majaczyły inne, obce twarze. A jeszcze dalej roiło się mnóstwo czarnych punkcików na białym tle. Powoli, po kawałku, jak za dotknięciem różdżki jakiejś beznadziejnie nudnej czarodziejki, prawdziwy świat powracał na swoje miejsce.

— Byłaś cudowna — chwalił mnie znajomy głos — dopóki ten facet nie zastąpił ci drogi.

Jacyś ludzie zdejmowali mi wiązania, zbierali moje kijki, wbite w dwie, dość odległe od siebie, pryzmy śniegu. Za moimi plecami wyrósł drewniany płot.

Buddy nachylił się, ściągnął mi buty i kilka par wełnianych skarpetek, którymi je wypełniłam. Jego tłusta rączka zacisnęła się na mojej lewej stopie, obmacywał dokładnie kostkę, naciskał delikatnie, puszczał, znów naciskał, jak gdyby szukał ukrytej broni.

W zenicie stało obojętne, białe słońce, cienkie teraz jak tarcza do ostrzenia noży. Ach, gdybym to ja mogła naostrzyć się na nim i stać się święta i cienka, i pożyteczna jak dobry nóż.

— Wracam na górę — oświadczyłam. — Muszę to powtórzyć.

— O nie, nic z tego.

Na twarzy Buddy'ego ukazał się dziwny uśmiech, pełen ukrytej satysfakcji.

— Nic z tego — powtórzył i uśmiechnął się raz jeszcze. — Masz złamaną lewą nogę. W dwóch miejscach. Będziesz w gipsie przez kilka dobrych miesięcy.

Rozdział IX

— Cieszę się, że wreszcie zrobią z nimi koniec.

Hilda przeciągnęła się kocim ruchem, ziewnęła, położyła łokcie i głowę na stole konferencyjnym i znowu zasnęła. Nad jej czołem sterczał kawałek zgniłozielonej, słomkowej wstążki, jak mały, rajski ptaszek.

Zgniła zieleń. Kolor ten miał być lansowany dopiero na jesieni, ale Hilda wiedziała o tym, oczywiście, już pół roku z góry. Zgniła zieleń z czernią, zgniła zieleń z seledynem, swoim stryjecznym bratem.

W mojej mózgownicy tańczyły srebrzyste mydlane bańki, pełne jesiennych modeli. Wydobywały się na zewnątrz, pękały, wydając z siebie małe: plop!

— Cieszę się, że nareszcie zrobią z nimi koniec.

Przeklinałam zbieg okoliczności, dzięki któremu znalazłam się w kafeterii hotelowej jednocześnie z Hildą. Po zarwanej nocy byłam zbyt zamroczona, żeby znaleźć jakąś wymówkę. Mogłam przecież powiedzieć, że zapomniałam z pokoju rękawiczek, chusteczki do nosa, parasolki albo brulionu. Za karę musiałam teraz w towarzystwie Hildy przebyć przestrzeń, dzielącą szklane, obrotowe drzwi „Amazonki" od różowej, marmurowej fasady gmachu naszej redakcji na Madison Avenue.

Całą tę drogę Hilda przeszła krokiem zawodowej modelki.

— Masz piękny kapelusz. Czy sama go zrobiłaś?

Spodziewałam się, że Hilda obruszy się i zapyta: — Czy ty czasem nie jesteś chora? — ale ona tylko wyciągnęła swoją łabędzią szyję i powiedziała:

— Tak.

Poprzedniego wieczoru byłam w teatrze na sztuce, której bohaterkę opanował dybuk, wlazł w nią i przemawiał z głębi jej brzucha głosem tak głębokim i piwnicznym, że nie wiadomo było, czy jest mężczyzną, czy kobietą. Głos Hildy brzmiał zupełnie jak głos tego dybuka.

Przyglądała się odbiciu swojej sylwetki w szybach wystawowych, jak gdyby chciała się upewnić, że egzystuje. Milczenie, jakie trwało między nami, było okropnie przygnębiające. Postanowiłam je przerwać.

— Czy to nie straszne z tymi Rosenbergami? — odezwałam się więc.

Rosenbergowie mieli być nadchodzącej nocy straceni na krześle elektrycznym.

— No tak — odparła Hilda i zdawało mi się, że nareszcie dotknęłam jakiejś ludzkiej struny w kociej kołysce jej serca. Ale dopiero gdy znalazłyśmy się w zimnej jak marmurowy grobowiec rodzinny sali konferencyjnej, Hilda mi odpowiedziała:

— To straszne, że tacy ludzie w ogóle żyją na świecie.

Ziewnęła, szeroko roztwierając wargi koloru niedojrzałej pomarańczy i ukazując przepastne wnętrze ust. Zafascynowana gapiłam się w tę ciemną jamę, aż wargi Hildy znowu się spotkały, poruszyły, a z głębi jej trzewi wydobył się głos dybuka:

— Bardzo się cieszę, że nareszcie umrą.

— Proszę o piękny uśmiech.

Siedziałam przed fotografem na różowej kozetce Jotki, trzymając w garści piękną papierową różę. Fotografowano po kolei całą naszą dwunastkę. Ja byłam ostatnia. Próbowałam schować się w toalecie, ale nic z tego nie wyszło. Betsy zobaczyła moje pantofle przez szparę.

Nie chciałam się fotografować, bo bałam się, że zacznę

płakać przed kamerą. Nie wiadomo dlaczego, byłam pewna, że z chwilą, kiedy ktoś odezwie się wprost do mnie albo spojrzy mi w oczy, łzy zaczną mi spływać po policzkach, szloch wyrwie mi się z krtani i nie przestanę beczeć przez dobry tydzień. Czułam, że łzy chlupią we mnie jak woda w szklance trzymanej w niepewnej dłoni.

Robiono ostatnie zdjęcia przed zamknięciem numeru. Potem miałyśmy wszystkie powrócić do Tulsy, Biloxi, Teanecku czy Coos Bay, jednym słowem — do naszych rodzinnych miast. Fotografowano każdą z nas z jakimś przedmiotem, który miał symbolizować przyszły zawód.

Tak więc Betsy trzymała w ręku kaczan kukurydzy, ponieważ zamierzała zostać żoną farmera, Hilda — łysą pałę drewnianej głowy do modelowania kapeluszy, Doreen miała na sobie haftowane złotem sari, ponieważ zamierzała zostać pracownicą społeczną w Indiach (przyznała mi się później, że to nieprawda, ale że miała straszną ochotę na sari).

Kiedy mnie zapytano, co będę robiła, odpowiedziałam, że nie wiem.

— Ale na pewno pani wie — nalegał fotograf.

— Ją wszystko nęci — dowcipkowała Jotka.

Zaczęto więc szukać odpowiedniego przedmiotu. Jotka zasugerowała tomik poezji, ale fotograf oświadczył, że to zbyt banalne. Prosił, żebyśmy pomyślały o czymś, co raczej symbolizuje poezję. Wreszcie Jotka odpięła piękną, sztuczną różę od swojego nowego kapelusza.

Fotograf robił coś przy jaskrawych, gorących reflektorach.

— Proszę przybrać uduchowiony wyraz twarzy. Natchnienie — zażądał.

Wpatrywałam się w fikusa, stojącego na parapecie okna, w skrawek błękitnego nieba. Kilka efektownych chmurek żeglowało z lewa w prawo. Wlepiłam wzrok w największą z nich, jakby w nadziei, że zabierze mnie ze sobą.

Kurczowo zacisnęłam usta.

— A teraz proszę o uśmiech.

Posłusznie próbowałam się uśmiechnąć.

— Ale, zaraz, co to? — zaprotestował fotograf. — Pani wygląda, jakby się pani zbierało na płacz.

Nie mogłam się dłużej powstrzymać.

Wbiłam nos w różowy welur kozetki i całe morze słonych łez, wszystkie nieszczęsne szlochy, wzbierające od rana, znalazły sobie ujście. Jak gdyby zerwała się we mnie tama.

Kiedy podniosłam głowę, fotografa już nie było, nie było też Jotki. Czułam się jak wyciśnięta cytryna, pusta jak skóra zrzucona przez jakieś okropne zwierzę. Pozbycie się tego zwierzęcia przyniosło mi wprawdzie pewną ulgę, ale musiało chyba zabrać ze sobą moją duszę i w ogóle wszystko, na co udało mu się położyć łapę.

Pogmerałam w torebce, znalazłam złocone pudełeczko z tuszem do rzęs, szczoteczką, trzema pomadkami do ust i lusterkiem. Twarz, którą zobaczyłam w odbiciu lusterka, podobna była do gęby więźnia, poddanego dłuższemu przesłuchaniu. Była zapuchnięta, plamista i koloru żółtozielonego. Przydałoby się jej przede wszystkim mydło, woda, no i odrobina chrześcijańskiej wyrozumiałości.

Ze ściśniętym sercem zabrałam się do naprawiania szkód za pomocą makijażu. Po upływie pewnego czasu Jotka bardzo taktownie powróciła do swojego gabinetu, dźwigając gruby plik manuskryptów.

— Przypuszczam, że to cię zainteresuje — oświadczyła. — Masz, weź się do roboty i niech ci się dobrze czyta.

Codziennie na biurku każdego redaktora literatury pięknej piętrzą się ogromne, świeże, śnieżnobiałe sterty manuskryptów. Tuż obok spoczywają ich zakurzone poprzedniczki. Jestem pewna, że na strychach, w piwnicach i klasach szkolnych całego naszego kraju siedzą ludzie i w tajemnicy przed światem piszą opowiadania. Jeżeli założyć, że co minuta ktoś gdzieś kończy jeden utwór, to co pięć minut na biurkach redaktorów literatury pięknej zjawić się musi przeciętnie pięć manuskryptów. W ciągu godziny — sześćdzie-

siąt. Te, które nie mieszczą się na biurkach, układane są na podłodze. W ciągu jednego roku...

Uśmiechnęłam się i oczami wyobraźni zobaczyłam piękny i czysty manuskrypt, kołyszący się łagodnie nad moją głową. W górnym, prawym rogu widniało nazwisko autorki: Esther Greenwood. Po odbyciu miesięcznego stażu w magazynie wybierałam się na kurs pisania, prowadzony przez pewnego słynnego autora. Posyłało mu się własny utwór, żeby mógł sobie wyrobić opinię o kandydacie i zadecydować, czy zechce go przyjąć. Przyjmował bardzo niewielu. Posłałam mu jedno ze swoich opowiadań już dość dawno i dotychczas nie miałam odpowiedzi. Pocieszałam się jednak tym, że na pewno po powrocie do domu na stoliku w przedpokoju znajdę pismo zawierające pozytywną odpowiedź.

Postanowiłam zrobić Jotce niespodziankę i posłać jej anonimowo dwa opowiadania, które specjalnie dla niej napisałam. Wyobrażałam sobie, że pewnego dnia redaktorka działu literatury pięknej zjawi się osobiście w gabinecie Jotki, rzuci jej moje opowiadanie na biurko i krzyknie: — Tu jest coś, co wyrasta daleko ponad poziom wszystkich dotychczas nadesłanych prac! — Jotka po przeczytaniu, oczywiście, także zachwyci się szalenie, zaprosi autora na lunch, a wtedy okaże się, że autorem tym jestem ja.

— Daję ci słowo — odezwała się Doreen — że ten jest zupełnie inny.

— Opowiedz — zażądałam z kamienną twarzą.

— Peruwiańczyk.

— Są krępi i okropnie brzydcy, jak Aztekowie.

— Nie, nie, nie, kochanie. Widziałam go na własne oczy.

Siedziałyśmy na łóżku, wśród sterty brudnych, kretonowych sukienek, podartych pończoch i wymiętej bielizny, i od dziesięciu minut Doreen namawiała mnie, żebym koniecznie poszła na potańcówkę do klubu podmiejskiego z Lennym i tym jego przyjacielem, o którym mówiła, że

jest zupełnie inny, ale ja zamierzałam nazajutrz o ósmej rano złapać pociąg do domu, więc uważałam, że powinnam przynajmniej udawać, iż się pakuję.

Jednocześnie kołatała się we mnie nadzieja, że jeżeli sama jedna przejdę się ulicami Nowego Jorku nocą, to coś z tajemniczości i ogromu tego miasta przeniknie może do mojej świadomości.

Ale poddałam się.

Od kilku dni rosła we mnie absolutna niemożność powzięcia jakiejkolwiek decyzji. A kiedy się przełamywałam i zabierałam się na przykład do pakowania walizki, kończyło się to na wyciągnięciu z szuflady wszystkich moich poplamionych, kosztownych sukien i rozrzuceniu ich na krzesła, łóżko i podłogę. Siedziałam i przyglądałam im się z niesłychanym zdumieniem. Wydało mi się, że zdobyły nagle własną, oporną indywidualność i że bronią się przed praniem, złożeniem i zapakowaniem.

— Oj, te ciuchy — powiedziałam do Doreen. — Słabo mi się robi na myśl, że jak wrócę, to będą tu tak leżały.

— Jest na to sposób.

Wspaniała, energiczna Doreen zabrała się natychmiast do składania haleczek, pończoch, staniczków bez ramiączek, ale za to ze stalowymi fiszbinami — prezent od firmy „Primrose Corset Company", nie odważyłam się ich nawet przymierzyć — a na koniec do smętnej sterty czterdziestodolarowych, dziwacznie skrojonych sukien...

— Ej, tę zostaw, zamierzam ją włożyć.

Doreen wyciągnęła z walizki wymiętą, czarną suknię popołudniową i rzuciła mi ją na kolana. A potem zgarnęła resztę moich wytwornych szmat i wsunęła je pod łóżko.

Doreen zapukała do zielonych drzwi ze złotą gałką.

Ze środka dochodziły odgłosy szamotaniny, śmiechów, a potem wysoki, jasnowłosy, młody człowiek, uczesany na jeża i bez marynarki, spojrzał na nas przez szparę.

— Baby! — wrzasnął.

Doreen zniknęła w jego objęciach, a ja pomyślałam sobie, że to pewnie ten przyjaciel Lenny'ego.

Stałam spokojnie w drzwiach, w mojej małej czarnej sukience, z szalem obszytym grubą frędzlą, równie zalękniona jak zawsze, ale za to może już trochę mniej naiwna. Jestem tylko obserwatorem, powiedziałam sobie i patrzyłam, jak blondyn podaje Doreen jakiemuś facetowi we wnętrzu pokoju. Był to wysoki brunet o nieco dłuższych włosach, w nieskazitelnie białym ubraniu i jasnoniebieskiej koszuli. Jego żółty, jedwabny krawat przebity był złotą szpilką z kolorowym oczkiem.

Nie mogłam oderwać oczu od tej szpilki.

Błyszczała tak jasnym blaskiem, że zdawała się rozświetlać cały pokój. Po sekundzie zgasła i połyskujący w niej kamień był już tylko kroplą w złotym polu.

Zrobiłam krok naprzód.

— Popatrzcie na jego brylant — powiedział ktoś i kilka osób wybuchło głośnym śmiechem.

Stuknęłam paznokciem w gładką powierzchnię kamienia.

— Jej pierwszy brylant!

— Podaruj jej go, Marko.

Marko pochylił się nade mną i złożył szpilkę od krawatu w mojej dłoni.

Brylant się mienił, rzucał iskierki na wszystkie strony. Jak zaczarowany kawałek lodu. Szybko wsunęłam szpilkę do wieczorowej torebeczki ze sztucznych dżetów i zaczęłam się rozglądać po pokoju. Twarze zgromadzonych tu ludzi były jak puste talerze. Zdawało mi się, że ludzie ci są bez życia, że nawet nie oddychają.

— Mam dziś szczęście. — Czyjeś suche, twarde palce zacisnęły się na moim ramieniu. — Będę pani towarzyszył przez cały wieczór. Być może... — Oko Marka zmętniało, pociemniało. — Być może uda mi się oddać pani małą przysługę... — Ktoś zarechotał. — Wartą brylanta.

Palce Marka zacisnęły się mocniej na moim ramieniu.

— Boli!

Puścił mnie. Na skórze pozostał sinawy odcisk jego kciuka. Przyglądał mi się uważnie, a po chwili wskazał palcem na moje ramię.

— Proszę zobaczyć.

Cztery siniaki.

— Jak pani widzi, jestem człowiekiem serio.

Przelotne uśmieszki Marka przywiodły mi na myśl żmiję, którą drażniłam kiedyś w zoo w Bronx. Stukałam palcem w grubą szybę i wtedy żmija najpierw rozwierała pysk, niemalże uśmiechając się, po czym błyskawicznie wysuwała łeb i waliła nim gwałtownie w szklaną ścianę. Instynktownie odsuwałam się.

Po raz pierwszy w życiu zetknęłam się z mężczyzną — autentycznym wrogiem kobiet.

Zorientowałam się szybko, że Marko nienawidzi kobiet, ponieważ nie zwracał uwagi na liczne modelki i gwiazdki telewizyjne, które znajdowały się w pokoju, ale zajmował się jedynie i wyłącznie mną. I to nie z uprzejmości czy ciekawości, a tylko dlatego, że zostałam mu przydzielona na ten wieczór, podana jak karta z talii, złożonej z jednakowych kart.

Z zespołu orkiestry klubowej jeden z muzyków wysunął się naprzód do mikrofonu i zaczął potrząsać grzechotką, co oznaczało oczywiście, że będzie muzyka południowoamerykańska.

Marko sięgnął po moją dłoń. Ale ja wolałam poczekać na czwarte daiquiri i nie poddawałam się. Jeszcze nigdy w życiu nie kosztowałam koktajlu daiquiri, a teraz piłam go tylko dlatego, że Marko mi go zamówił. Byłam mu tak wdzięczna za to, że nie kazał mi decydować, iż wychylałam jeden kieliszek za drugim.

Marko spojrzał mi zaborczo w oczy.

— Nie! — rzuciłam.
— Co to znaczy? Dlaczego nie?
— Nie umiem tańczyć do tej muzyki.
— Nie bądź durna.
— Chcę skończyć swojego drinka.

Marko nachylił się nade mną, nie przestając się uśmiechać. Daiquiri dostało skrzydeł, poleciało wysoko w górę i wylądowało w doniczce dużej palmy. Potem chwycił mnie tak mocno za rękę, że mogłam albo zatańczyć z nim, albo zostać kaleką.

— Tango. — Marko wmanewrował nas zręcznie pomiędzy tańczące pary. — Strasznie lubię tańczyć tango.
— Kiedy ja nie umiem.
— Nie musisz umieć. Po prostu daj się prowadzić.

Objął mnie mocno ramieniem, przycisnął do swojego nieskazitelnie białego ubrania i powiedział: — Wyobraź sobie, że toniesz w morskich falach.

Zamknęłam oczy i muzyka spadła na mnie jak ulewa. Udo Marka przywarło do mojego, moje cofnęło się, połączona z nim od pasa poruszałam się bezwolnie, bezwiednie i zupełnie automatycznie. Po chwili pomyślałam: W gruncie rzeczy wcale nie tańczy się we dwoje, ale w pojedynkę. Wyginałam się i kołysałam jak drzewo szarpane wiatrem.

— No co, nie mówiłem? — Oddech Marka parzył mi ucho. — Nie mówiłem? Jesteś całkiem dobrą tancerką.

Zaczęłam rozumieć, dlaczego mężczyźni, którzy nie cierpią kobiet, tak łatwo robią z nas idiotki. Nienawistnicy są jak bogowie: nieosiągalni i wszechmocni. Schodzą na ziemię, a potem znikają, kiedy im się zechce. Nie można ich w żaden sposób ujarzmić.

Po muzyce południowoamerykańskiej nastąpiła przerwa.

Marko zaprowadził mnie przez drzwi balkonowe do ogrodu. Światło żyrandoli przenikało przez smukłe okna wraz z odgłosami rozmów, ale dalej, w głębi ogrodu, stała ściana ciemności. Drzewa i krzewy pachniały świeżością,

wysoko na niebie gwiazdy błyszczały mdłym, przymglonym blaskiem. Księżyca nie było.

Otaczał nas gęsty żywopłot, a za nim ciągnęło się duże pole golfowe, zakończone niewielką kępą drzew. Było coś bardzo znajomego w tym krajobrazie — tym klubie, tym balu, tej murawie z rozśpiewanym świerszczem pośrodku.

Nie byłam pewna, gdzie jestem, wiedziałam tylko, że na którymś z eleganckich przedmieść Nowego Jorku.

Marko wyjął z kieszeni smukłe cygaro i srebrną zapalniczkę w kształcie rewolwerowej kuli. Wsunął cygaro między wargi i pochylił się nad małym płomykiem. Twarz jego, cała w ciemnych plamach i migotliwych smugach światła, wydała mi się nagle obca i niespokojna, jak twarz zbiega.

Przyglądałam mu się uważnie.

— Kochasz się w kimś? — zapytałam.

Przez chwilę Marko milczał i tylko wypuszczał przez nos krążki błękitnego dymu.

— To doskonałe! — roześmiał się.

Krążki dymu powiększały się, rozlewały, wreszcie rozwiewały się w ciemnościach jak małe duszki.

— Kocham się we własnej kuzynce — powiedział wreszcie.

Nie byłam zaskoczona.

— Czemu się nie pobierzecie?
— Bo to niemożliwe.
— Dlaczego?

Marko wzruszył ramionami. — Jesteśmy kuzynostwem w pierwszej linii. Postanowiła zresztą iść do klasztoru.

— Czy jest bardzo piękna?
— Najpiękniejsza na świecie.
— Czy wie, że ją kochasz?
— Naturalnie.

Zamilkłam. Nie bardzo rozumiałam, o co chodzi.

— Skoro jesteś zdolny do miłości — powiedziałam — to niedługo znajdziesz sobie inną.

Marko rzucił cygaro i przydusił je obcasem.

Ziemia uniosła się i opadła na mnie miękko. Błoto prześlizgiwało mi się między palcami. Marko zaczekał, aż uniosłam się na łokciu. Wtedy położył mi obydwie ręce na ramionach i mocno mnie odepchnął.

— Moja suknia...!

— Twoja suknia! — Błoto chlupotało pod moimi łopatkami, ale było sprężyste i przytulne jak dobry materac. — Twoja suknia! — Twarz Marka zawieszona nad moją. Krople jego śliny spadają na moje wargi. — Twoja suknia jest czarna i błoto też jest czarne.

Runął na mnie, jak gdyby chciał przebić i mnie, i rozpulchnioną ziemię, ciężarem swojego ciała.

Zaraz się stanie!, pomyślałam. Zaraz będzie z tym koniec! Jeżeli wstrzymam oddech, jeżeli tylko nie będę się ruszała!

Marko chwycił zębami ramiączko mojej sukni i szarpnął. Rozdarła się aż do pasa. Byliśmy już tylko dwojgiem zażartych przeciwników, przedzielonych skrawkiem białego, nagiego ciała.

— Dziwka! — syknął mi prosto w ucho. — Dziwka!

Kurz opadł, odsłonił się krajobraz bitwy. Zaczęłam szamotać się, szarpać i gryźć.

Marko wgniatał mnie mocno w ziemię.

— Dziwka!

Wbiłam ostry obcas w jego łydkę, zabolało, więc syknął i skulił się.

Zacisnęłam pięści i zaczęłam go walić po nosie, ale bezskutecznie. Było tak, jak gdybym biła ręką w stalowy kadłub krążownika. Marko usiadł. Zaczęłam płakać.

Wyciągnął z kieszeni białą chustkę i przyłożył ją do nosa. Ciemna ciecz, podobna do atramentu, splamiła biały materiał. Ssałam palce. Były słone od łez.

— Chcę do Doreen.

Marko patrzył tępo na golfowe pole.

— Chcę do Doreen. Chcę iść do domu.

— Dziwka, same dziwki. — Marko mówił teraz do samego siebie. — Jedne zgadzają się, drugie nie, ale wszystkie są jednakowe.

Stuknęłam go palcem w plecy.

— Gdzie jest Doreen?

— Idź na parking — warknął. — Poszukaj na tylnych siedzeniach samochodów. Na pewno ją znajdziesz.

Potem obrócił się gwałtownie.

— Mój brylant!

Wstałam, podniosłam szal i ruszyłam w stronę klubu. Marko zerwał się i zastąpił mi drogę. A potem powoli przeciągnął palcem po swojej dolnej wardze i posmarował mi krwią obydwa policzki. — Zapłaciłem za ten brylant własną krwią. Oddawaj go natychmiast!

— Nie wiem, gdzie jest.

Wiedziałam oczywiście doskonale, że brylant znajduje się w mojej wieczorowej torebce. Kiedy Marko przewrócił mnie na ziemię, torebka poleciała w głąb ciemnego ogrodu niczym nocny ptak. Postanowiłam teraz odejść, ale później wrócić i odnaleźć ją.

Nie miałam pojęcia, jaka jest wartość takiego brylantu, ale wiedziałam, że na pewno niemała.

Marko chwycił mnie za ramiona.

— Mów, ale to już! — syknął. — Mów, bo jak nie, to ci łeb ukręcę.

Nagle wszystko mi zobojętniało.

— Twój brylant jest w mojej torebce — powiedziałam. — Leży tam, gdzieś w błocie.

Kiedy odchodziłam, Marko czołgał się na czworakach i przeszukiwał skrawek ziemi, na której błyszczący kamień znalazł schronienie przed jego rozwścieczonym wzrokiem.

Doreen nie było ani w sali balowej, ani na parkingu.

Trzymałam się skraju ciemności, bo bałam się, że ktoś zauważy, iż suknia moja i pantofle są brudne i oblepione trawą, nagie piersi zakryłam czarnym szalem.

Na szczęście bal miał się już ku końcowi, ludzie szukali

swoich samochodów, więc zaczęłam pytać, czy ktoś nie mógłby mnie zabrać do miasta, wreszcie znalazłam miejsce w samochodzie jadącym do Manhattanu.

O tej nijakiej godzinie, zawieszonej pomiędzy nocą a świtem, solarium na dachu „Amazonki" było zupełnie puste.

Odziana tylko w biały szlafroczek w błękitne chabry wspięłam się cicho jak włamywacz na parapet. Ponieważ był bardzo wysoki i dochodził mi niemal do ramion, musiałam przywlec jedno ze składanych krzeseł, ustawionych pod ścianą. Stanęłam na nim.

Silny wiatr tarmosił mi włosy i spiętrzał je nad czołem. U moich stóp rozciągało się uśpione miasto, pełne ciemnych, w żałobie pogrążonych domów.

Ostatnia noc mojego życia!

Z zawiniątka, które przyniosłam, wydobyłam kawałek jasnego materiału i pociągnęłam go tak, jak pociąga się kota za ogon. Stara, sprana, niegdyś elastyczna koszulka wysunęła się z zawiniątka. Powiewałam nią nad głową jak sztandarem pokoju... Chwyciła wiatr. Puściłam ją.

Zaczęła spadać w ciemność nocy jak wielki, biały kwiat. Powoli, bardzo powoli, jakby się rozglądała za dogodnym dachem czy parapetem.

Znowu szarpnęłam swoje zawiniątko.

Wiatr opierał się ze wszystkich sił i tym razem nie udało mi się. Płachta spadła płasko jak nietoperz na ogródek na dachu sąsiedniego domu.

I tak stałam i karmiłam nocny wiatr swoją garderobą, sztuka po sztuce. Jak popioły drogiej, zmarłej osoby, nędzne strzępy mojej niedawnej świetności ulatywały w dal i padały na chybił trafił, nie wiadomo gdzie, w głąb dalekiego, niewidzialnego serca miasta.

Rozdział X

Z lustra wyzierała na mnie twarz chorego Indianina.

Wsunęłam puderniczkę do torebki i zaczęłam patrzeć przez okno pociągu. Za szybami przesuwały się grzęzawiska i rudery, typowe dla stanu Connecticut, istne śmietnisko. Nieskładne, do niczego niepodobne fragmenty zrujnowanego krajobrazu.

Świat jest jedną wielką kupą śmieci.

Spojrzałam na bluzkę i spódnicę, które miałam na sobie.

Spódniczka była z zielonej elany, przymarszczona, w malutkie czarne, białe i jaskrawoniebieskie ciapki. Sterczała dokoła mnie jak abażur. Bluzka ze szwajcarskiego haftu miała falbany zamiast rękawów, wiotkie jak skrzydełka nowo narodzonego aniołka.

Kiedy puszczałam z wiatrem moją nowojorską garderobę, zapomniałam o tym, że trzeba będzie coś na siebie włożyć, więc później wymieniłam szlafrok w chabry na spódnicę i bluzkę Betsy.

Moje lustrzane odbicie w szybie — białe skrzydła bluzki, ciemne włosy zaczesane w koński ogon, blada twarz — wyglądało dość niesamowicie na tle przesuwającego się krajobrazu.

— Strach na wróble — powiedziałam głośno.

Siedząca naprzeciwko kobieta spojrzała na mnie sponad jakiegoś pisma ze zdumieniem.

Specjalnie nie zmyłam z policzków zaschniętej krwi. Te

swoich samochodów, więc zaczęłam pytać, czy ktoś nie mógłby mnie zabrać do miasta, wreszcie znalazłam miejsce w samochodzie jadącym do Manhattanu.

O tej nijakiej godzinie, zawieszonej pomiędzy nocą a świtem, solarium na dachu „Amazonki" było zupełnie puste.

Odziana tylko w biały szlafroczek w błękitne chabry wspięłam się cicho jak włamywacz na parapet. Ponieważ był bardzo wysoki i dochodził mi niemal do ramion, musiałam przywlec jedno ze składanych krzeseł, ustawionych pod ścianą. Stanęłam na nim.

Silny wiatr tarmosił mi włosy i spiętrzał je nad czołem. U moich stóp rozciągało się uśpione miasto, pełne ciemnych, w żałobie pogrążonych domów.

Ostatnia noc mojego życia!

Z zawiniątka, które przyniosłam, wydobyłam kawałek jasnego materiału i pociągnęłam go tak, jak pociąga się kota za ogon. Stara, sprana, niegdyś elastyczna koszulka wysunęła się z zawiniątka. Powiewałam nią nad głową jak sztandarem pokoju... Chwyciła wiatr. Puściłam ją.

Zaczęła spadać w ciemność nocy jak wielki, biały kwiat. Powoli, bardzo powoli, jakby się rozglądała za dogodnym dachem czy parapetem.

Znowu szarpnęłam swoje zawiniątko.

Wiatr opierał się ze wszystkich sił i tym razem nie udało mi się. Płachta spadła płasko jak nietoperz na ogródek na dachu sąsiedniego domu.

I tak stałam i karmiłam nocny wiatr swoją garderobą, sztuka po sztuce. Jak popioły drogiej, zmarłej osoby, nędzne strzępy mojej niedawnej świetności ulatywały w dal i padały na chybił trafił, nie wiadomo gdzie, w głąb dalekiego, niewidzialnego serca miasta.

Rozdział X

Z lustra wyzierała na mnie twarz chorego Indianina.

Wsunęłam puderniczkę do torebki i zaczęłam patrzeć przez okno pociągu. Za szybami przesuwały się grzęzawiska i rudery, typowe dla stanu Connecticut, istne śmietnisko. Nieskładne, do niczego niepodobne fragmenty zrujnowanego krajobrazu.

Świat jest jedną wielką kupą śmieci.

Spojrzałam na bluzkę i spódnicę, które miałam na sobie.

Spódniczka była z zielonej elany, przymarszczona, w malutkie czarne, białe i jaskrawoniebieskie ciapki. Sterczała dokoła mnie jak abażur. Bluzka ze szwajcarskiego haftu miała falbany zamiast rękawów, wiotkie jak skrzydełka nowo narodzonego aniołka.

Kiedy puszczałam z wiatrem moją nowojorską garderobę, zapomniałam o tym, że trzeba będzie coś na siebie włożyć, więc później wymieniłam szlafrok w chabry na spódnicę i bluzkę Betsy.

Moje lustrzane odbicie w szybie — białe skrzydła bluzki, ciemne włosy zaczesane w koński ogon, blada twarz — wyglądało dość niesamowicie na tle przesuwającego się krajobrazu.

— Strach na wróble — powiedziałam głośno.

Siedząca naprzeciwko kobieta spojrzała na mnie sponad jakiegoś pisma ze zdumieniem.

Specjalnie nie zmyłam z policzków zaschniętej krwi. Te

dwie rdzawe smugi uznałam za bardzo wzruszające i raczej interesujące i postanowiłam zachować je, jak pamiątkę po zmarłym kochanku, dopóki się same nie zetrą.

Wiedziałam, że jak będę się uśmiechać albo robić miny, to zeschnięta krew zacznie odpadać po kawałku, więc siedziałam z nieruchomą twarzą, a kiedy trzeba się było odezwać, mówiłam przez zęby, niemal nie poruszając wargami.

Zupełnie nie mogłam zrozumieć, dlaczego ludzie tak mi się przyglądają. Znam mnóstwo osób o znacznie dziwniejszym wyglądzie.

Na półce nade mną leżała moja szara walizka, w której znajdowała się wyłącznie książka pod tytułem *Trzydzieści najlepszych opowiadań roku*, biała, plastykowa pochewka na okulary słoneczne i dwa tuziny avocado — pożegnalny prezent od Doreen.

Avocado były zupełnie niedojrzałe, żeby mogły dojechać na miejsce w dobrym stanie. Kiedy zdejmowałam albo podnosiłam walizkę, przewalały się w niej ze specjalnym, dosyć nawet sympatycznym grzechocikiem.

— Szosa Sto Dwadzieścia Ooosiem! — wrzasnął konduktor.

Obłaskawiona dżungla, złożona z dębów, sosen i klonów, zatrzymała się w biegu i stanęła nieruchomo, obramowana framugą okna. Jak obraz kiepskiego malarza. Przemknęłam się przez wąskie przejście pomiędzy ławkami, dźwigając chroboczącą walizkę.

Gdy wyszłam z klimatyzowanego wnętrza pociągu na platformę dworca, runął na mnie od razu znajomy zaduch naszego przedmieścia. Pachniało wężami gumowymi, benzyną, rakietami tenisowymi, niemowlętami i psami.

A nad tym wszystkim senny spokój lata położył swoją rękę, kojącą jak śmierć.

Matka czekała na mnie, oparta o swój szary chevrolet.

— Cóż to, kotuniu, co ty masz na twarzy?

— Zacięłam się — odparłam krótko i razem z walizką

wpakowałam się na tylne siedzenie. Nie chciałam, żeby gapiła się na mnie przez całą drogę.

Pokrowce samochodu były śliskie i czyste.

Matka wsunęła się za kierownicę, rzuciła mi kilka listów na kolana i odwróciła się ode mnie.

Samochód zamruczał i ruszył.

— Najlepiej będzie, jak ci od razu powiem — odezwała się matka. Po tym, jak trzymała głowę, zorientowałam się, że wiadomość nie jest dobra. — Nie dostałaś się na te kursy pisarskie.

Ścisnęło mnie w dołku.

Przez cały czerwiec myśl o tym, że będę uczęszczała na kurs pisania, rozciągała się przede mną jak szeroki, bezpieczny most, przerzucony przez beznadziejną, bezdenną przepaść lata. Teraz most pękł, zapadł się, a drobna postać, odziana w białą bluzkę i zieloną spódnicę, spadała w przepaść.

Usta ułożyły mi się w grymas goryczy.

Spodziewałam się tego w gruncie rzeczy.

Wcisnęłam się głębiej w siedzenie, przywarłam nosem do ramy okna i zaczęłam się wpatrywać w przesuwające się domy i domki przedmieścia Bostonu. W miarę jak ulice stawały się bardziej znajome, zsuwałam się coraz niżej.

Bardzo zależało mi na tym, żeby mnie nikt nie zauważył.

Wyściełany, szary sufit samochodu wisiał nad moją głową jak sufit więziennej karetki, a jednakowe, białe, drewniane domy ze starannie wystrzyżonymi trawnikami przesuwały się jak szereg wielkich, dobrze zabezpieczonych klatek.

Jeszcze nigdy w życiu nie spędziłam lata w domu.

Przejmujący zgrzyt kół samochodowych ranił mi uszy. Słońce, przefiltrowane przez żaluzje z plastyku, wypełniało sypialnię szafranowym światłem. Nie miałam pojęcia, ile godzin spałam, ale byłam wciąż śmiertelnie zmęczona.

Drugie łóżko, ustawione równolegle do mojego, było puste.

O siódmej usłyszałam, jak matka wstaje, ubiera się cichutko i na palcach wysuwa z pokoju. Potem z dołu, z kuchni, doszło mnie warczenie elektrycznej wyciskaczki do soku, zapach świeżej kawy i smażonego bekonu. Następnie usłyszałam szum wody w zmywaku, a wreszcie brzęk sztućców i talerzy. Matka chowała naczynia do kredensu.

Drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły, otworzyły się i zamknęły drzwiczki samochodu, motor warknął brrum, brrrum, i z chrzęstem kół po żwirze samochód matki oddalił się i ucichł.

Moja matka uczyła pisania na maszynie oraz stenografii w żeńskim college'u miejskim. Wracała do domu dopiero późnym popołudniem.

Znowu zgrzyt kółek na żwirze. Ktoś chyba przesuwał wózek dziecinny tam i z powrotem tuż pod moim oknem.

Wylazłam z łóżka, opadłam na dywan i poczołgałam się na czworakach pod okno, żeby zobaczyć, kto to może być.

Dom nasz był mały, biały, drewniany, ustawiony na środku niewielkiego, jaskrawozielonego trawnika, przy brzegu dwóch spokojnych podmiejskich ulic. Mimo że zasadziliśmy dokoła naszej posesji klony, to każdy, kto zechciał, mógł zajrzeć w okna sypialni na drugim piętrze i dowiedzieć się, co robimy.

Dała nam to niedwuznacznie do zrozumienia nasza najbliższa sąsiadka, pani Ockenden.

Pani Ockenden była emerytowaną pielęgniarką, niedawno poślubiła trzeciego męża — poprzedni dwaj umarli w dość tajemniczych okolicznościach — i spędzała niewiarygodnie dużo czasu, obserwując nasz dom spoza białych, krochmalonych firanek swojej sypialni.

Dwukrotnie telefonowała do matki, żeby się na mnie poskarżyć.

Raz, żeby donieść, że siedzę od godziny w niebieskim plymouthie pod samym domem i całuję się namiętnie z jakimś chłopcem. Drugi raz, żeby powiedzieć, żebym spuszczała roletę, bo, wyprowadzając wieczorem swojego teriera, zobaczyła mnie prawie nagą.

Bardzo ostrożnie podciągnęłam się na tyle, żeby zobaczyć, co się dzieje na ulicy.

Niewielkiego wzrostu kobieta o zabawnie sterczącym brzuchu pchała stary, czarny wózek dziecinny, podczas gdy dwoje czy troje mizernych dzieci o umorusanych twarzach i poobijanych kolanach wlokło się za nią.

Na ustach tej kobiety igrał pogodny, ekstatyczny niemal uśmiech. Głowę odrzuciła w tył. Wyglądała jak jajko wróbla nałożone na jajo kacze. Uśmiechała się prosto w słońce.

Znałam ją doskonale.

Nazywała się Dodo Conway.

Dodo Conway była katoliczką, absolwentką Barnard College, żoną architekta, absolwenta Columbia University, również katolika. Mieszkali w wielkim, starym domu, ocienionym wysokimi sosnami. Na ganku i trawniku stały hulajnogi, rowery na trzech kołach, wrotki, wózki dla lalek, zabawki, takie jak wozy strażackie, a także rakiety do różnych gier, kije do baseballu, siatki do badmintona, bramki do krokieta, klatki na chomiki, szczeniaki cocker-spanieli — jednym słowem, wszystkie rekwizyty prowincjonalnego życia rodzinnego.

Życie Dodo bardzo mnie interesowało.

Jej dom różnił się całkowicie od innych domów naszej dzielnicy. Przede wszystkim był większy i nie był biały (drugie piętro skonstruowane było z brunatnych desek, a pierwsze pokryte szarym tynkiem z wciśniętymi tu i ówdzie czarnymi i fioletowymi kamieniami).

Rząd sosen zasłaniał go przed okiem sąsiadów, co w naszej dzielnicy uważano za rzecz wręcz aspołeczną. Pozostali mieszkańcy sadzili dokoła swoich parceli niskie żywopłoty, a kontakty pomiędzy ludźmi były żywe i serdeczne.

Dodo odżywiała swoją szóstkę — a niebawem siódemkę — dmuchanym ryżem, masłem fistaszkowym, marmoladą,

lodami waniliowymi i ogromną ilością mleka. Mleczarz dawał jej specjalny rabat.

Dodo cieszyła się powszechną sympatią, chociaż rosnąca gromadka jej dzieci była ulubionym tematem konwersacji. Starsi mieszkańcy naszego przedmieścia mieli przeciętnie dwoje dzieci, młodsi, zamożniejsi — czworo i jedynie i wyłącznie Dodo spodziewała się siódmego. Już pół tuzina dzieci uważano za swojego rodzaju rekord, ale, mówiono, ostatecznie Dodo jest katoliczką.

Patrzyłam teraz, jak pchała wózek ze swoim najmłodszym tam i z powrotem pod naszymi oknami. Wyglądało na to, że próbuje zwrócić na siebie moją uwagę.

Nie cierpię dzieci.

Deska w podłodze zaskrzypiała, nachyliłam się szybko, a główka Dodo Conway, wiedziona instynktem, czy też niesamowicie wprost wyostrzonym słuchem, przekręciła się na jej szczupłej szyi.

Czułam, że Dodo przebija wzrokiem białe deski naszej szczytowej ściany, tapetę w czerwone różyczki i widzi mnie, przytuloną do srebrnych żeberek kaloryfera.

Poczołgałam się z powrotem do łóżka i naciągnęłam prześcieradło na głowę. Ponieważ jednak przepuszczało światło, wtuliłam twarz w poduszkę, żeby stworzyć złudzenie, że jest noc. Zastanawiałam się nad tym, czy nie należałoby może wstać, ale nie mogłam znaleźć żadnego powodu.

Nic na mnie nie czekało.

Po jakimś czasie zadzwonił telefon w holu. Wepchnęłam sobie rogi poduszki do uszu i postanowiłam odczekać pięć minut. Potem uniosłam głowę. Było cicho.

Ale po sekundzie dzwonienie rozległo się znowu.

Przeklinając przyjaciela, krewniaka czy znajomego, który dowiedział się o moim powrocie do domu, poczłapałam boso na dół. Czarny, ustawiony na stole instrument odzywał się w regularnych odstępach czasu histerycznym trelem, zupełnie jak jakiś nerwowy ptak.

Podniosłam słuchawkę.

— Halo — powiedziałam grubym basem.

— Halo, Esther, co się z tobą dzieje? Czy jesteś przeziębiona? — Był to głos mojej przyjaciółki, Jody. Dzwoniła z Cambridge.

Jody pracowała tego lata w kooperatywie studenckiej, a poza tym uczęszczała na letni kurs socjologii. Wraz z dwiema koleżankami z mojego roku odnajęła na ten okres duże mieszkanie od czterech studentów prawa z Harvardu. Miałam się tam wprowadzić na resztę lata.

Jody chciała wiedzieć, kiedy zamierzam przyjechać.

— Wcale — zawiadomiłam ją. — Nie przyjęli mnie.

Nastąpiła cisza.

— Co za idioci — odezwała się wreszcie Jody. — Nie znają się na literaturze.

— Też tak uważam. — Mój głos brzmiał obco i głucho.

— Ale przyjeżdżaj, co tam! Pójdziesz na jakiś inny kurs.

Przemknęła mi przez głowę myśl o letnim kursie niemieckiego lub psychopatologii. Miałam na książeczce niemal całą nowojorską pensję, więc stać mnie było na to.

Ale ten nowy, głuchy głos odpowiedział za mnie:

— Nie, raczej na mnie nie liczcie.

— Właśnie, bo mamy dziewczynę, która chciałaby się wprowadzić, w razie gdyby zwolniło się łóżko...

— Świetnie. Niech się wprowadza.

W momencie, kiedy odwieszałam słuchawkę, wiedziałam już, że popełniłam błąd. Trzeba było mimo wszystko powiedzieć, że przyjeżdżam. Jeszcze jeden poranek spędzony na wsłuchiwaniu się w zgrzyt kół wózka dziecinnego na pewno doprowadzi mnie do szału. Dawno już postanowiłam nigdy nie mieszkać z matką pod jednym dachem dłużej niż tydzień.

Sięgnęłam po słuchawkę.

Ręka moja wysunęła się kilka centymetrów, potem cofnęła się sama i opadła. Zmuszałam ją kilka razy do podjęcia

słuchawki, ale cofała się tak gwałtownie, jak gdyby waliła w niewidoczną szklaną szybę.

Zeszłam do jadalni.

Na stole znalazłam długi, rzeczowy list z biura kursów letnich i cienką, błękitną kopertę z napisem „Yale", zaadresowaną starannym charakterem pisma Buddy'ego.

Wzięłam nóż i otworzyłam pierwszy list.

Ponieważ nie dostałam się na kurs pisania, proponowano mi, żebym zapisała się na coś innego i kazano mi natychmiast zatelefonować do sekretariatu, w przeciwnym wypadku mogę się znaleźć na lodzie, gdyż zgłoszeń jest bardzo dużo.

Wykręciłam numer biura letnich kursów i tym swoim somnambulicznym głosem oświadczyłam, że panna Esther Greenwood nie zamierza tego lata uczęszczać na żadne kursy. Przysłuchiwałam się samej sobie ze zdumieniem.

Następnie odpieczętowałam list Buddy'ego.

Buddy pisał, że chyba zakochał się w swojej pielęgniarce, która również cierpi na gruźlicę, ale że matka wynajęła na lipiec domek w górach Adirondacks i gdybym zechciała tam przyjechać, jego uczucia dla pielęgniarki prawdopodobnie się rozwieją.

Chwyciłam ołówek i przekreśliłam wszystko, co Buddy napisał, a na odwrocie nabazgrałam, że jestem zaręczona z pewnym tłumaczem kabinowym i nie chcę Buddy'ego więcej znać, a to głównie dlatego, że nie życzę sobie, żeby moje dzieci miały ojca hipokrytę.

Wpakowałam list z powrotem do koperty, zakleiłam taśmą i przeadresowałam do Buddy'ego. Nie nakleiłam świeżego znaczka. Uważałam, że te trzy centy opłacą się mojemu byłemu narzeczonemu sowicie.

A potem wpadło mi do głowy, że mogłabym spędzić resztę lata, pisząc powieść.

Sprawiłoby to wielu osobom autentyczną przykrość.

Poszłam do kuchni, nałożyłam sporą łyżkę tatara do filiżanki, wbiłam jajko, wymieszałam i zjadłam. Następnie

rozstawiłam stolik do kart na otwartej werandzie pomiędzy domem a garażem.

Duży krzak jaśminu odcinał ją od ulicy. Z jednej strony zasłaniał mnie mur domu, z drugiej mur garażu, a kępa brzóz i żywopłot chroniły mnie przed wzrokiem pani Ockenden.

Z szafy w holu, spod sterty starych kapeluszy filcowych, szczotek do ubrania i wełnianych szali wyjęłam trzysta pięćdziesiąt kartek wysokogatunkowego papieru do pisania.

Powróciłam z tym wszystkim na moją przewiewną werandę, wsadziłam pierwszą kartkę papieru do starego portabla i przekręciłam wałek.

Oczyma duszy, jakby z oddali, widziałam siebie siedzącą pomiędzy dwiema pobielanymi, drewnianymi ścianami, krzewem jaśminu, kępą brzóz i żywopłotem, malutką jak lalka z domku dla lalek.

Współczucie dla tej samotnej postaci ścisnęło mi serce. Postanowiłam, że bohaterką mojej powieści będę ja sama — trochę, rzecz jasna, zakamuflowana. Bohaterka miała się nazywać Elaine. Elaine. Policzyłam litery. Sześć. Tyle samo co w Esther.

To dobry omen.

Elaine siedziała między domem a garażem, odziana tylko w starą, żółtą koszulę nocną swojej matki, i czekała, aż coś się wydarzy. Był lipcowy, upalny poranek i po jej plecach pojedynczo, powoli, jak leniwe insekty, sunęły krople potu.

Odchyliłam się i spojrzałam na swoje dzieło.

Zdanie wydało mi się nawet dość żywo napisane i byłam dumna z tych leniwych insektów, chociaż miałam niejasne uczucie, że już to kiedyś gdzieś czytałam.

Siedziałam przez dobrą godzinę, usiłując napisać jeszcze jedno zdanie, a oczyma duszy widziałam wciąż w oddali małą, bosą laleczkę w żółtej koszuli nocnej swojej matki, która także siedziała i patrzyła tępo przed siebie.

— Cóż to, kochanie, czemu się jeszcze nie ubrałaś?

Moja matka zawsze bardzo pilnowała, żeby nie mówić do mnie rozkazującym tonem. Tłumaczyła mi wszystko słodkim głosem, jak przystało na dojrzałą, inteligentną osobę, która zwraca się do drugiej równie inteligentnej.

— Jest prawie trzecia.

— Piszę powieść — oświadczyłam. — Nie mam czasu na to, żeby wciąż tylko zdejmować jedne ciuchy i nakładać drugie.

Rozłożyłam się na werandowej kanapce i przymknęłam oczy. Słyszałam, jak matka zamyka maszynę do pisania i odstawia ją na bok, by zrobić miejsce na talerze i sztućce, ale nie ruszyłam się.

Inercja owładnęła całym ciałem Elaine. Tak zapewne czują się ludzie cierpiący na malarię, pomyślała.

Stwierdziłam, że jeżeli uda mi się napisać jedną stronę dziennie, to będzie bardzo dobrze.

Nagle mnie olśniło. Zrozumiałam, na czym polegają moje trudności.

Miałam za mało doświadczenia życiowego.

Jakże pisać o życiu, skoro się nie miało romansu, nie urodziło dziecka, a nawet nie było świadkiem cudzej śmierci? Jedna moja znajoma dostała niedawno nagrodę za opowiadanie oparte na jej przygodach wśród afrykańskich Pigmejów. Jakże tu współzawodniczyć z takimi ludźmi?

Pod koniec kolacji matce mojej udało się mnie namówić, żebym się wieczorami uczyła u niej stenografii. W ten sposób, mówiła, wilk będzie syty i owca cała. Napiszę powieść, nauczę się czegoś praktycznego i jednocześnie zaoszczędzę masę pieniędzy.

Tegoż wieczora matka wyniosła z piwnicy starą tablicę i ustawiła ją na werandzie. Następnie zaczęła kredą wypisywać jakieś dziwne esy-floresy. Siedziałam w fotelu i przyglądałam się.

Z początku nawet mnie to bawiło.

Pomyślałam, że nauczę się tej stenografii bardzo szybko, a kiedy ta stara, piegowata baba z Biura Stypendialnego zapyta mnie, dlaczego nie pracowałam przez lipiec i sierpień, jak inne stypendystki, odpowiem, że skończyłam bezpłatny kurs stenografii, by móc od razu po studiach zarabiać na życie.

Ale kiedy próbowałam sobie wyobrazić, jak pokrywam szybciutko całe stronice papieru znakami, popadłam w panikę. Żadna posada, związana ze znajomością stenografii, jakoś mnie nie nęciła. A kiedy tak siedziałam i patrzyłam na tablicę, esy-floresy zaczęły zachodzić mgłą, a znaczenie ich nie chciało w żaden sposób dotrzeć do mojej świadomości.

Oświadczyłam więc, że rozbolała mnie głowa, i położyłam się do łóżka.

W godzinę później drzwi otworzyły się cichutko i matka wśliznęła się do sypialni. Słyszałam, jak się rozbiera, jak wsuwa do łóżka. Szpilki w jej nawiniętych na wałki włosach połyskiwały jak małe bagneciki.

Postanowiłam pisać powieść dopiero po powrocie z podróży do Europy, a przynajmniej po jednym kochanku, natomiast stenografii nie uczyć się wcale. Rozumowałam, że jeżeli nie będę znała stenografii, to nie będę się musiała nią posługiwać.

Doszłam także do wniosku, że najlepiej będzie spędzić lato na lekturze *Finnegan's Wake* i na przygotowaniach do pracy dyplomowej.

W ten sposób, w chwili rozpoczęcia nowego roku szkolnego we wrześniu, będę już bardzo zaawansowana i spędzę ostatni rok studiów przyjemnie, podczas gdy większość seniorek będzie tyrać dzień i noc, bez makijażu, z brudnymi włosami, karmiąc się kawą i benzedryną.

Po chwili jednak znowu zmieniłam zdanie, postanowiłam przerwać naukę na jeden rok i zabrać się do ceramiki artystycznej.

A może pojechać do Niemiec, popracować w jakiejś knajpie i nauczyć się bezbłędnie języka?

Różne plany, jeden po drugim, zaczęły się lęgnąć w mojej głowie i mnożyć jak króliki.

Widziałam dotychczasowe lata mojego życia jak słupy telefoniczne, rozstawione w regularnych odstępach wzdłuż drogi i połączone ze sobą drutami... dziewiętnaście słupów. Po chwili druty splątały się, odsunęły w dal i mimo że się bardzo starałam, nie mogłam dojrzeć ani jednego słupa za tym ostatnim dziewiętnastym.

Pokój tonął w niebieskawej poświacie. Gdzie podziała się noc? Matka z powalonego pnia przemieniała się w uśpioną, starszą kobietę, oddychającą lekko otwartymi ustami. Z głębi jej krtani wydobywało się ciche chrapanie. To chrząkanie zirytowało mnie i przez chwilę myślałam o tym, żeby ścisnąć oburącz tę krtań, te ścięgna, tę skórę i zrobić z tym koniec.

Udawałam, że śpię, dopóki matka nie wyszła do szkoły, ale światło słoneczne przenikało nawet przez zamknięte powieki. Widziałam je od wewnątrz, dwie czerwone, podrażnione zasłony, utkane z malutkich naczyń krwionośnych, jak dwie otwarte rany. Wsunęłam się pomiędzy materac a wyściełaną ramę łóżka. Materac legł na moich plecach jak płyta nagrobkowa. Było tu ciemno i bezpiecznie, ale wolałabym, żeby materac był cięższy.

Potrzebny mi był ciężar, bardzo wielki ciężar na plecach, żebym mogła spokojnie zasnąć.

Gruba księga wbijała mi się w brzuch. *rzekobieg, koło Ewy i Adama, łukiem brzegu aż po zakole zatoki wiedzie nas wygodnym zakolem recyrkulacji do Howth Castle i Enwironów.*

Mała litera, od której zaczynało się zdanie, znaczy, być może, że nic się właściwie nigdy nie zaczyna od początku, nic nie zaczyna się z dużej litery, a tylko wynika z czegoś, co już kiedyś było. Ewa i Adam to naturalnie Adam i Ewa, ale chyba nie tylko.

Może to po prostu pub w Dublinie.

Wodziłam oczami po stronicy jak po talerzu napełnionym rosołem z kluseczkami w kształcie liter. Zatrzymałam się na środku stronicy, na bardzo długim słowie: *bababadalghtaraghtakamminarronnkonnbronntonnerrerronntonntuonnthuunntrovarrhounawnskatohordenutnuk!*

Policzyłam litery. Było ich dokładnie sto. To na pewno coś symbolizuje.

Dlaczego jest ich akurat sto?

Z wysiłkiem przeczytałam to długie słowo na głos.

Z ust moich wydobyły się dźwięki, przypominające spadanie ciężkiego, drewnianego przedmiotu po schodach. Bum, bum, bum. Stopień po stopniu. Podniosłam książkę do oczu, stronice rozwinęły się jak wachlarz. Znajome niegdyś słowa przelatywały przed moimi oczami, zdeformowane, rozmazane, jak twarze odbite w krzywym zwierciadle. Uderzały w szklistą powłokę mojego mózgu, ale bez echa, bez rezonansu.

Zmrużyłam oczy.

Literom wyrosły kolce i wielkie jelenie rogi, po chwili zaczęły się rozdzielać, wycinać hołubce, podskakiwać i w ogóle wygłupiać się na całego. Potem zaczęły się łączyć w fantastyczne, obce, nieprzetłumaczalne słowa, może chińskie, może arabskie.

Postanowiłam dać sobie spokój ze specjalną pracą dyplomową. Zrobię normalne magisterium z anglistyki. Poszłam do dziekanatu college'u, żeby się zorientować, jakie przedmioty trzeba w tym celu zaliczyć. Okazało się, że nie miałam nawet połowy. Między innymi wymagany był kurs literatury osiemnastowiecznej. Nie cierpię osiemnastego wieku. Od razu widzę całą kupę zarozumiałych, szaleńczo racjonalnych elegancików komponujących precyzyjne dwuwierszyki. Opuściłam więc ten kurs. Mogłam sobie na to pozwolić, ponieważ studentom robiącym dyplom specjalny pozostawiono bardzo dużą swobodę. Tak wielką, że ja na przykład zajmowałam się głównie czytaniem dzieł Dylana Thomasa.

Jednej z moich przyjaciółek udało się, dzięki temu systemowi, nie przeczytać ani jednego utworu Szekspira. Znała natomiast każdą linijkę *Czterech kwartetów**.

Zorientowałam się więc, że przeniesienie się z programu specjalnego na zwykły byłoby nie tylko szalenie pracochłonne, ale mogłoby mnie po prostu skompromitować. Poszłam więc do sekretariatu college'u miejskiego, w którym uczyła moja matka, i sprawdziłam, jakich kursów tam wymagają do dyplomu.

Okazało się, że wymagania ich były nawet większe.

Trzeba było zaliczyć staroangielski, historię języka, a także przestudiować niemal całą literaturę, od Beowulfa po dzień dzisiejszy.

Przyznam, że zaskoczyło mnie to. Dotychczas traktowałam college matki z lekką pogardą, szczególnie że był koedukacyjny i uczęszczali doń studenci, którym nie udało się otrzymać stypendium w którymś ze znanych college'ów Wschodniego Wybrzeża.

Teraz zrozumiałam, że najmarniejszy nawet student z college'u miejskiego umie więcej ode mnie. Nawet gdybym chciała zapłacić pełne czesne, nie miałabym szans na przyjęcie, a o takim stypendium, jakie miałam, nie mogłoby, rzecz prosta, być mowy.

Najlepiej będzie, pomyślałam, jeżeli przerwę studia na rok, pójdę do pracy i przez ten czas zastanowię się nad swoją przyszłością. Mogłabym jednocześnie, w tajemnicy, przerobić literaturę osiemnastego wieku.

Ale nie znałam przecież stenografii, więc o posadę byłoby trudno.

Mogłabym zostać tylko maszynistką albo kelnerką. Ale ani na jedno, ani na drugie nie miałam ochoty.

---

* *Cztery kwartety* — cykl poematów T.S. Eliota, które ukazały się w Nowym Jorku w 1943 roku (przyp. tłum.).

— Czy ty naprawdę znowu chcesz receptę na proszek nasenny?

— Tak.

— Dałam ci w zeszłym tygodniu całą buteleczkę bardzo mocnych proszków.

— Już nie działają.

Teresa popatrzyła na mnie uważnie swoimi wielkimi, ciemnymi oczami. Pod oknami gabinetu przyjęć bawiła się trójka jej dzieci. Moja ciotka Libby wyszła za mąż za Włocha. Teresa zaś była szwagierką ciotki i naszą rodzinną lekarką.

Lubiłam Teresę. Ma takt i intuicję. Pewnie dlatego, że jest Włoszką z pochodzenia.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Powiedz, co się z tobą dzieje? — zażądała Teresa.

— Nie mogę spać. Nie mogę czytać. — Usiłowałam mówić głosem spokojnym i zrównoważonym, ale miałam zupełnie zaciśniętą krtań. Rozłożyłam ręce.

— Myślę... — Teresa wydarła kartkę z bloczka i wypisała jakieś nazwisko i adres — myślę, że powinnaś poradzić się specjalisty. Pomoże ci lepiej niż ja.

Spojrzałam na kartkę, ale nie mogłam przeczytać tego, co było na niej wypisane.

— Doktor Gordon — powiedziała Teresa. — Psychiatra.

Rozdział XI

Poczekalnia doktora Gordona utrzymana była w kojących odcieniach beżu.

Beżowe ściany, beżowy dywan, beżowe fotele i beżowa kanapa. Ani jednego obrazu czy lustra. Na ścianach dyplomy znanych szkół medycznych z nazwiskiem doktora Gordona wypisanym po łacinie. Na stołach i stolikach doniczki z ceramiki, pełne bladych, seledynowych paproci i ciemnozielonych roślin dekoracyjnych.

Zastanawiałam się nad tym, dlaczego ten pokój daje takie poczucie bezpieczeństwa. Wkrótce zrozumiałam. Nie było tam ani jednego okna.

Drżałam z zimna, bo klimatyzacja była bardzo silna.

Wciąż miałam na sobie białą bluzkę i namarszczoną spódnicę Betsy. Od chwili, kiedy powróciłam do domu, a więc od trzech tygodni, ani razu ich nie wyprałam, więc były bardzo wymięte. Przepocona bawełna miała cierpki, ale sympatyczny zapach.

Od trzech tygodni również ani razu nie umyłam włosów.

Od siedmiu nocy nie zmrużyłam oka.

Matka uważała, że pewnie jednak od czasu do czasu zasypiam, bo nie wyobrażała sobie, żeby można było tak długo żyć bez snu. Ale jeżeli nawet trochę spałam, to chyba bez zmrużenia powiek, gdyż wiem na pewno, że przez siedem długich nocy śledziłam wzrokiem ruch wskazówek budzika i jestem pewna, że nie opuściłam ani jednej sekundy, ani jednej minuty, ani jednej godziny.

Nie myłam włosów i nie prałam odzieży po prostu dlatego, że wydawało mi się to szalenie głupie.

Dni nadchodzącego roku akademickiego ciągnęły się przede mną jak rząd błyszczących, białych klocków, poprzedzielanych czarną krechą, reprezentujących sen. Tylko że teraz te smugi cienia, odgradzające jeden klocek od drugiego, znikły i wszystkie te białe klocki zlały się w jedną wielką, szeroką, jasną nieskończenie, przygnębiającą aleję. Po co więc prać dzisiaj, skoro jutro trzeba będzie zacząć od początku. Już sama myśl o tym męczyła mnie niesłychanie.

Chciałam robić wszystko tylko raz jeden, jedyny raz. I to raz na zawsze.

Doktor Gordon bawił się srebrnym ołówkiem.

— Matka pani twierdzi, że pani jest bardzo przygnębiona.

Skulona w głębokim, skórzanym fotelu patrzyłam na doktora Gordona poprzez nieskończenie szeroki, wypolerowany blat biurka. Doktor Gordon czekał spokojnie na moją odpowiedź, stukając ołówkiem, tap, tap, tap po gładkiej, czystej, zielonej bibule.

Miał tak gęste i długie rzęsy, że robiły wrażenie sztucznych.

Czarna nylonowa frędzla zwisająca nad dwiema zielonymi, lodowato zimnymi sadzawkami.

Doktor Gordon miał tak regularne rysy, że był po prostu ładny.

Znienawidziłam go w momencie, w którym przekroczyłam próg jego gabinetu.

Wyobrażałam sobie, że zastanę sympatycznego, brzydkiego, wrażliwego na ludzkie sprawy mężczyznę, który podniesie na mnie wzrok, powie: — Aha — jak gdyby już wiedział, że wszystko będzie dobrze. Byłam pewna, że znajdę wówczas odpowiednie słowa, żeby wyrazić to, co mnie dręczy, wytłumaczyć mu, dlaczego jestem tak okropnie prze-

rażona, dlaczego mam uczucie, jak gdyby mnie siłą wpychano coraz głębiej i głębiej do czarnego, dusznego worka, z którego się już nigdy nie wydostanę.

A potem ten dobry lekarz rozparłby się wygodnie w fotelu, złożył czubki palców dłoni, tworząc małą kościelną wieżyczkę, i wytłumaczył mi, dlaczego nie mogę spać, dlaczego nie mogę jeść, dlaczego nie mogę czytać i dlaczego wszystko, co inni ludzie robią, wydaje mi się idiotyczne, bo cały czas myślę o tym, że na końcu czeka mnie nieuchronnie śmierć.

A potem ten doktor pomoże mi powrócić, krok za krokiem, do zdrowia.

Ale doktor Gordon był zupełnie inny. Młody, przystojny i — widać było od razu — zarozumiały.

Na jego biurku stała fotografia w srebrnej ramie, przedstawiająca piękną, ciemnowłosą kobietę, podobną do doktora jak siostra. Uśmiechała się nad główkami dwojga jasnowłosych dzieci.

Zdawało mi się, że jedno jest dziewczynką, a drugie chłopcem, ale mogli to być również dwaj chłopcy albo parka dziewcząt, trudno się zorientować, jak dzieci są jeszcze takie małe. O ile pamiętam, był tam jeszcze pies, na samym dole — airdale, a może złoty wyżeł — a może był to tylko wzór na materiale spódnicy tej kobiety.

Sama nie wiem dlaczego, ale fotografia ta bardzo mnie rozzłościła.

Nie rozumiałam, dlaczego doktor ustawił ją tak, żebym ją widziała. Chyba tylko po to, żeby mnie z góry ostrzec, że jest żonaty, więc żeby mi nic głupiego do głowy nie wpadło.

Ten doktor Gordon na pewno mi nie pomoże, bo sam żyje w otoczeniu wzorowej rodziny, pięknej żony, dwojga cudownych dzieci i rasowego psa. Idylla ta przypominała obrazek z kartki świątecznej.

— Może mogłaby pani opisać mi swoje dolegliwości i powiedzieć, co pani o nich sądzi?

Analizowałam w myślach te słowa, obracałam je podejrzliwie, jakby były okrągłymi, wypolerowanymi morską falą kamyczkami, z których niespodziewanie mogą wysunąć się ostre kły.

Co sądzę o moich dolegliwościach?

Brzmiało to, jak gdyby w rzeczywistości nic mi nie było i wyobrażałam sobie tylko, że coś mi jest.

Głosem płaskim i beznamiętnym — żeby mu pokazać, że jego uroda i jego rodzinna fotografia nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia — powiedziałam doktorowi Gordonowi, że w ogóle przestałam spać, że nie jem i że nie mogę czytać. Nie powiedziałam mu nic o tym, co stało się z moim pismem, chociaż to mi najbardziej dokuczało. Tego samego ranka zabrałam się do napisania listu do Doreen, do zachodniej Wirginii, żeby ją zapytać, czy nie mogłabym do niej przyjechać i może znaleźć pracę na lato w jej college'u.

Ale kiedy wzięłam pióro do ręki, zaczęły spod niego wychodzić ogromne, wichrowate kulfony — podobne do pisma małego dziecka — gryzmoły te na dodatek miały tendencję do opadania, krzywo, po przekątnej strony. Wyglądało, jak gdyby ktoś na nie dmuchnął.

Nie mogłam wysłać takiego listu, podarłam go więc na małe kawałki i wsunęłam do torebki, gdzie leżała również moja kosmetyczka. Wzięłam je na wszelki wypadek, gdyby psychiatra prosił, żebym mu je pokazała.

Doktor Gordon, rzecz jasna, nie zażądał strzępów listu, ponieważ nic mu o nim nie powiedziałam. Zaczęłam cieszyć się ze swojej przebiegłości. Zrozumiałam nagle, że będę mu mogła powiedzieć to, co zechcę, i w ten sposób, ukrywając to, a ujawniając tamto, pokazać mu taki obraz własnej osoby, jaki mi się spodoba. On, oczywiście, będzie myślał, że jest mądrzejszy ode mnie.

Podczas gdy mówiłam, doktor Gordon siedział z pochyloną głową, zupełnie jak gdyby się modlił. Jedynym dźwiękiem, jaki rozbrzmiewał w pokoju, z wyjątkiem mo-

jego płaskiego głosu, było rytmiczne stukanie jego ołówka o blat stołu. Brzmiało to, jakby ktoś stukał laską spacerową w ten sam punkt bruku.

Kiedy skończyłam, doktor Gordon uniósł głowę.

— W jakim pani jest college'u? — zapytał.

Zdumiona odpowiedziałam na to dziwne pytanie. Nie rozumiałam, jaki może być związek pomiędzy nazwą mojego college'u a moimi problemami.

— Aha! — Doktor Gordon odchylił się i nostalgicznym wzrokiem zapatrzył w jakiś punkt ponad moją głową.

Pomyślałam, że może jednak osądziłam go przedwcześnie i zbyt nieżyczliwie, że pewnie formułuje diagnozę. Ale on tylko powiedział: — Świetnie pamiętam ten college. Bywałem tam w czasie wojny. Mieli obóz dla Pomocniczej Służby Kobiet. A może dla pielęgniarek?

Odpowiedziałam, że nic o tym nie wiem.

— Tak, tak, to był obóz Służby Pomocniczej, teraz sobie przypominam. Zanim wysłali mnie do Europy, byłem tam lekarzem. Cóż za śliczne dziewczęta.

Doktor Gordon roześmiał się.

A potem sprężystym ruchem wstał z fotela i obszedł biurko. Nie byłam pewna, co chce zrobić, więc też wstałam.

Doktor Gordon sięgnął po moją luźno zwisającą dłoń i mocno ją uścisnął.

— Do zobaczenia za tydzień.

Na Commonwealth Avenue bujne, gęste wiązy tworzyły cienisty tunel, w którym ciągnęły się żółte i czerwone fasady ceglanych domów. Tramwaj sunął po srebrzystych szynach w stronę Bostonu. Zaczekałam, aż przejechał, i przeszłam na drugą stronę ulicy. Stał tam szary chevrolet.

Przez okienko widać było twarz matki. Była stroskana i pożółkła jak plasterek cytryny.

— No więc, co powiedział?

Trzasnęłam drzwiami samochodu, ale nie zamknęły się. Pchnęłam je i zatrzasnęłam po raz drugi.

— Powiedział, żebym przyszła za tydzień.

Matka westchnęła.

Doktor Gordon brał dwadzieścia pięć dolarów za godzinę.

— Hej, ty tam, jak się nazywasz?

— Elly Higginbottom.

Marynarz szedł za mną noga w nogę. Uśmiechnęłam się do niego.

Na Rynku było co najmniej tylu marynarzy, ile gołębi. Wyłaniali się zza brunatnego narożnika, upstrzonego wielkimi, białoniebieskimi plakatami ze sloganem „Wstąp do Marynarki".

— Gdzie mieszkasz, Elly?

— W Chicago.

W życiu nie byłam w Chicago, ale znałam kilku chłopców z tamtejszego uniwersytetu i miałam wrażenie, że jest to miasto w sam raz dla ludzi trochę pokręconych i niezbyt konwencjonalnych.

— A więc jesteś daleko od domu.

Marynarz objął mnie wpół i spacerowaliśmy tak po Rynku przez dłuższy czas. Poprzez materiał mojej marszczonej spódnicy głaskał moje biodro, a ja uśmiechałam się, ale ust nie otwierałam, żeby nie zdradzić się bostońskim akcentem. Każdej chwili mogliśmy się natknąć na panią Willard albo którąś z innych przyjaciółek mojej matki, przechodzącą tędy po zakupach u Filene'a albo po herbatce w jakiejś kawiarence na Beacon Hill.

Postanowiłam, że jeżeli się znajdę w Chicago, to definitywnie zmienię nazwisko na Elly Higginbottom. Wtedy nikt się nie dowie, że straciłam stypendium w jednym z najlepszych żeńskich college'ów na Wschodnim Wybrzeżu, że zmarnowałam cały miesięczny pobyt w Nowym Jorku, ani o tym, że odrzuciłam propozycję małżeńską solidnego studenta medycyny, który na pewno zostanie kiedyś członkiem Amerykańskiego Towarzystwa Lekarskiego i będzie zarabiał mnóstwo pieniędzy.

W Chicago ludzie będą mnie szanowali.

Stanę się po prostu sierotą, Elly Higginbottom. Wszyscy polubią mnie za moje łagodne, anielskie wprost usposobienie. Nikt nie będzie mnie zmuszał do czytania nieskończonej liczby książek i pisania długich referatów na temat problemu bliźniąt w dziełach Jamesa Joyce'a. Wyjdę za mąż za jurnego, ale troskliwego mechanika samochodowego, założę dużą, krowiastą rodzinę na wzór Dodo Conway.

Jeżeli, oczywiście, będę miała na to ochotę.

— Co zamierzasz robić, jak wyjdziesz z marynarki? — zapytałam nagle marynarza.

Było to najdłuższe zdanie, jakie dotychczas wypowiedziałam.

Marynarz speszył się, zsunął swoją małą, białą czapeczkę na bok i podrapał się w głowę.

— Bo ja wiem. Sam nie wiem. Jeżeli dostanę stypendium wojskowe, to może pójdę na studia.

Stanęłam, a po chwili dodałam znacząco: — A czy nigdy nie miałeś ochoty na warsztat samochodowy?

— Nie — powiedział marynarz. — Jakoś nigdy.

Spojrzałam na niego spode łba jednym okiem. Mógł mieć najwyżej szesnaście lat.

— Czy ty wiesz, ile ja mam lat? — zapytałam go kwaśnym tonem.

Marynarz uśmiechnął się krzywo: — Nie i nie interesuje mnie to.

Teraz dopiero zauważyłam, że ten marynarzyk jest bardzo przystojny. Jasnowłosy, nordycki i dziewiczy. Grałam osobę prostolinijną i widocznie przyciągałam chłopców przystojnych, dobrych i nieskomplikowanych.

— Wyobraź sobie, że mam trzydzieści lat — powiedziałam. Byłam ciekawa, jak on na to zareaguje.

— Elly, ależ wcale na to nie wyglądasz. — Marynarz mocniej przycisnął moje lewe biodro.

Szybko rozejrzał się na wszystkie strony. — Słuchaj,

Elly, chodźmy pod te schodki koło pomnika, to będę cię mógł pocałować.

W tej samej chwili zobaczyłam postać kobiety ubranej w brązowy kostium, przechodzącą przez Rynek. Szła w naszym kierunku. Miała buty na wygodnych, płaskich obcasach. Nie widziałam dokładnie jej twarzy, ale byłam przekonana, że jest to pani Willard.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jest stacja kolejki podziemnej? — zapytałam marynarza bardzo głośno.

— Co?

— Stacja kolejki. Jadę do więzienia na Deer Island.

Jak pani Willard podejdzie, będzie myślała, że zatrzymałam marynarza, żeby go zapytać o drogę i że wcale go nie znam.

— Zabierz ręce! — wyrzuciłam przez zaciśnięte zęby.

— Elly, zaraz. Co ci się stało?

Kobieta minęła nas i nawet na nas nie spojrzała. Okazało się, oczywiście, że nie była to wcale pani Willard. Pani Willard znajdowała się przecież w swoim domku w górach Adirondacks.

Patrzyłam na oddalającą się kobietę. Byłam zła i rozgoryczona.

— Co jest, Elly?

— Zdawało mi się, że to znajoma — wyjaśniłam. — Wzięłam ją za takie jedno babsko z domu sierot w Chicago.

Marynarz znowu mnie objął.

— Czy to znaczy, Elly, że ty nie masz ani mamy, ani taty?

— No tak. — Uroniłam pojedynczą łzę, którą miałam w pogotowiu. Spłynęła mi po policzku wąską, gorącą strużką.

— Nie płacz, Elly. Ta kobieta? Czy ona ci zrobiła krzywdę?

— Ona... ona była straszna.

Moje łzy zaczęły płynąć ciurkiem. Staliśmy tak w cieniu wielkiego wiązu, a marynarz wycierał mi twarz dużą, białą, lnianą chusteczką. Byłam teraz pewna, że ta koszmarna baba

w brązowym kostiumie jest odpowiedzialna za wszystko, co się ze mną stało. Za to, że zbłądziłam, straciłam kierunek i nie mogę znaleźć drogi powrotu.

— No i cóż, Esther, jak się czujemy w tym tygodniu? — doktor Gordon obracał srebrny ołówek w palcach jak rewolwerową kulę.

— Tak samo.

— Tak samo? — Uniósł szybko jedną brew, jakby mi nie wierzył.

Więc powtórzyłam mu raz jeszcze tym moim nowym, płaskim, nudnym, tyle że nieco bardziej niecierpliwym dzisiaj głosem, ponieważ byłam zła, że tak powoli kapuje, że nie sypiam od dwóch tygodni, że nie mogę ani czytać, ani pisać i że mam trudności z przełykaniem.

Doktor Gordon wcale się nie przejął.

Sięgnęłam do torebki i wygrzebałam z niej strzępy mojego listu do Doreen. Rzuciłam je na nieskazitelną, zieloną bibułę biurka doktora. Spadły na nie miękko jak płatki stokrotek na soczystą trawę.

— A co pan o tym sądzi, doktorze?

Byłam pewna, że doktor Gordon od razu zauważy, co się stało z moim charakterem pisma, ale on tylko powiedział:

— Wydaje mi się, że powinienem porozmawiać z pani matką. Czy pani się zgadza?

— Zgadzam się. — Wcale mi się ta propozycja nie podobała. Pewnie jej powie, że trzeba mnie umieścić w zamkniętym zakładzie. Zgarnęłam więc strzępy mojego listu do Doreen, żeby doktor Gordon nie mógł ich poskładać i przeczytać, że zamierzam wyjechać, i bez słowa pożegnania wyszłam z gabinetu.

Postać matki malała i malała, aż znikła w bramie domu doktora. Potem pojawiła się znów i rosła, aż znalazła się znowu przy mnie, za kierownicą samochodu.

— No i co? — Zorientowałam się od razu, że matka płakała. Nic nie odpowiedziała, tylko zapuściła motor.

Dopiero kiedy znalazłyśmy się w chłodnym, morskozielonym cieniu wiązów, odezwała się: — Doktor Gordon mówi, że nie widzi żadnej poprawy. Uważa, że potrzebna ci jest kuracja wstrząsowa w jego prywatnej klinice w Walton.

Słowa matki bardzo mnie zainteresowały, zupełnie jak gdybym przeczytała w gazecie jakiś bardzo sensacyjny nagłówek, dotyczący zupełnie obcej osoby.

— Czy to znaczy, że będę musiała tam siedzieć przez dłuższy czas?

— Nie — odparła matka i zobaczyłam, że trzęsie się jej podbródek.

Na pewno kłamie, pomyślałam.

— Powiedz mi prawdę — zażądałam — w przeciwnym razie nie odezwę się do ciebie słowem do końca życia.

— Przecież ja ci zawsze mówię prawdę — powiedziała matka i wybuchnęła płaczem.

SAMOBÓJCA URATOWANY Z PARAPETU NA SIÓDMYM PIĘTRZE!

Po dwóch godzinach stania na wąskim parapecie na siódmym piętrze nad asfaltowym parkingiem, w obecności wielkiego tłumu przechodniów, George Pollucci pozwolił się sprowadzić na dół sierżantowi Willowi Kilmartin z komisariatu na Charles Street.

Zgniotłam fistaszka i zjadłam go. Kupiłam cały worek fistaszków za dziesięć centów, niby to dla gołębi. Miały smak przywiędłej kory starego drzewa.

Przysunęłam gazetę do oczu, żeby się dobrze przyjrzeć twarzy George'a Pollucciego, sfotografowanej na tle cegieł i czarnego nieba, oświetlonej reflektorem, jak światłem księ-

życa w trzeciej kwadrze. Byłam pewna, że ma mi coś ważnego do powiedzenia, i próbowałam to wyczytać z jego twarzy. Ale gdy się w nią wpatrywałam, rysy twarzy George'a Pollucciego rozmazały się jeszcze bardziej. Pozostała tylko plama, pełna czarnych, szarych i całkiem jasnych kropek.

Wydrukowana grubą czcionką wzmianka o panu Polluccim nie wyjaśniała, dlaczego wlazł na parapet i co mu powiedział sierżant Kilmartin, żeby go odwieść od samobójczych zamiarów.

Skakanie z okna ma jedną wadę. Jeżeli nie wejdzie się na dostatecznie wysokie piętro, to można się wcale nie zabić. Ale siedem pięter chyba powinno wystarczyć.

Złożyłam gazetę i wsunęłam ją pomiędzy deski ławki. Był to, zdaniem mojej matki, brukowiec, pełen miejscowych skandali, morderstw, opisów bójek i napadów rabunkowych, a na każdej niemal stronie widniały zdjęcia półnagich kobiet. Piersi ich wypływały z dekoltów sukien, a nogi tak im fotografowano, żeby było widać podwiązki.

Nie wiem, dlaczego dotychczas nie kupowałam takich gazet. Teraz stanowiły jedyną lekturę, jaką byłam w stanie czytać. Niewielkie kawałki tekstu pomiędzy fotografiami były tak krótkie, że zdążyłam je przeczytać, zanim litery zaczynały podskakiwać i spływać w dół. Matka abonowała tylko „Christian Science Monitor". Leżał na progu naszego domu codziennie już o piątej rano, z wyjątkiem niedziel. Dziennik ten z zasady nie donosił o samobójstwach, zbrodniach seksualnych czy wypadkach lotniczych.

Biała, w kształcie łabędzia łódź, wypełniona dziećmi, zbliżyła się, objechała zalesioną wysepkę zamieszkaną przez gromadkę kaczek i zniknęła pod ciemnym łukiem mostku. Wszystko wydawało mi się dzisiaj bardzo wyraziste i bardzo małe.

Jak gdybym patrzyła na świat przez dziurkę od klucza w drzwiach, których nie mogę otworzyć. Zobaczyłam siebie z młodszym bratem — byliśmy mali i trzymaliśmy w rękach baloniki z króliczymi uszami. Wsiadaliśmy do łódki w kształcie łabędzia, przepychaliśmy się do burty, wpatrywaliśmy się w powierzchnię jeziora, na której pływały łupki po fistaszkach. Poczułam na podniebieniu smak czystości i mięty. Kiedy byliśmy grzeczni u dentysty, matka w nagrodę fundowała nam przejażdżkę po jeziorze łodzią w kształcie łabędzia.

Spacerowałam po Parku Miejskim. Minęłam mostek, kilka niebieskozielonych pomników, klomb w kolorach amerykańskiej flagi. Przy wejściu był kiosk pomalowany w białe i pomarańczowe pasy, gdzie można się było za dwadzieścia pięć centów sfotografować. Odczytywałam nazwy drzew z tabliczek.

Moim ulubionym drzewem było Drzewo Płaczącego Uczonego. Byłam pewna, że pochodzi z Japonii. Japonia rozumie i szanuje intelektualistów.

Kiedy Japończykowi zbrzydnie życie, rozpruwa sobie brzuch.

Próbowałam to sobie wyobrazić. Potrzebne są przede wszystkim bardzo ostre noże. Delikwent siada, krzyżuje nogi, w każdej ręce trzyma nóż. Potem krzyżuje ręce i kieruje ostrza noży ku sobie. Pewnie nago, bo w przeciwnym wypadku nóż mógłby utkwić w materiale ubrania.

Potem mocnym, gwałtownym ruchem wbija obydwa noże głęboko w ciało, zatacza nimi dwa półkola, górą i dołem, aż oba ostrza się spotkają. Z otwartego brzucha wypadają na wierzch kiszki i człowiek umiera błyskawicznie.

Wymaga to wielkiej odwagi.

Mój problem polega na tym, że nie znoszę widoku krwi.

Postanowiłam pozostać w parku przez całą noc.

Nazajutrz Dodo Conway miała mnie i matkę zawieźć do Walton i jeśliby się zdecydować na ucieczkę — to albo teraz, albo wcale. Zajrzałam do torebki. Miałam dolara i siedemdziesiąt dziewięć centów w dziesiątkach, piątkach i pojedynczych pieniążkach.

Nie wiedziałam, ile kosztuje bilet do Chicago, a nie miałam odwagi wyciągnąć oszczędności z banku, ponieważ obawiałam się, że doktor Gordon uprzedził urzędnika i zostanę zatrzymana.

Przyszło mi do głowy, żeby pojechać autobusem, ale nie wiedziałam, która z licznych dróg wyjazdowych z Bostonu prowadzi w kierunku Chicago. Na mapie łatwo się orientuję, ale jak znajdę się w mieście, tracę poczucie kierunku. Jak tylko zaczynam się zastanawiać nad tym, gdzie jest wschód, a gdzie zachód, to akurat jest albo samo południe, albo niebo jest zachmurzone. Nocą też jest beznadziejnie. Umiem znaleźć na niebie najwyżej Wielką Niedźwiedzicę albo gwiazdozbiór Kasjopei. Jednym słowem, nie znam się na gwiazdach, co zresztą zawsze szalenie irytowało Buddy'ego Willarda.

Postanowiłam podejść do stacji autobusów i dowiedzieć się o cenę przejazdu do Chicago, a potem iść do banku i podjąć dokładnie taką sumę, co może nie wzbudziłoby podejrzenia.

Weszłam przez oszklone drzwi na dworzec autobusowy i właśnie wertowałam kolorowe foldery i rozkłady jazdy, kiedy uświadomiłam sobie, że jest po czwartej i banki są już zamknięte, więc dopiero nazajutrz mogłabym podjąć pieniądze.

W Walton oczekiwano mnie o dziesiątej rano.

Nagle zaczęły się rozlegać z głośnika nazwy przystanków autobusu, który za chwilę miał ruszyć w drogę. Brzmiało to jak zwykle brum, brum, brum — nikt nigdy jeszcze nie zrozumiał słów płynących z głośnika — ale z tych trzasków i pisków wyłoniło się nagle jedno słowo, wyraźne i jasne jak czysta nuta wyczarowana z fortepianu w czasie strojenia instrumentów.

Była to nazwa przystanku odległego o dwie przecznice od mojego domu.

Wybiegłam z dworca wprost w parne, duszne, lipcowe

popołudnie. Byłam spocona, usta miałam wysuszone i jakby pełne piasku. Zachowywałam się jak osoba spiesząca się na szalenie ważne spotkanie. Wsiadłam do czerwonego autobusu z zapuszczonym już motorem.

W milczeniu podałam konduktorowi pieniądze i poczułam, że za moimi plecami zamykają się drzwi. Bezszelestnie, na naoliwionych zawiasach.

FRAGM. XIII

Zeszłam na dół, wzięłam ze stołu bladoniebieską kopertę i napisałam na niej starannie wielkimi literami: UDAJĘ SIĘ NA DŁUGI SPACER.

Ustawiłam kopertę w takim miejscu, żeby matka zauważyła ją natychmiast po powrocie do domu.

A potem roześmiałam się.

Przecież zapomniałam o najważniejszym.

Wpadłam na górę i przystawiłam krzesło do szafy ściennej. Weszłam na nie i sięgnęłam po zielone, metalowe pudełko, ukryte na najwyższej półce. Wieczko było słabe i bez trudu można by je było oderwać gołymi rękami, ale chciałam zrobić wszystko metodycznie i porządnie.

Wysunęłam więc prawą górną szufladę biurka matki i spod stosiku uperfumowanych, lnianych chusteczek do nosa wyciągnęłam pudełko na kosztowności i odpięłam mały kluczyk przymocowany do aksamitnej podszewki. Kluczykiem tym otworzyłam metalowe pudełko i wyjęłam buteleczkę z moim nowym lekarstwem. Było w niej znacznie więcej pigułek, niż się spodziewałam.

Co najmniej pięćdziesiąt.

Gdybym je chciała zbierać po jednej, w miarę jak matka mi je wydawała, potrwałoby to pięćdziesiąt dni. Przez ten czas skończyłyby się wakacje, zaczęłyby się zajęcia w college'u, brat powróciłby z Niemiec i byłoby za późno.

Wpięłam klucz z powrotem w aksamitną podszewkę pudełeczka, wypełnionego tanimi łańcuszkami, broszkami i pierścionkami, i odłożyłam je na miejsce, pod lniane chusteczki do nosa, na górnej półce szafy, po czym odstawiłam krzesło dokładnie na miejsce.

Zeszłam do kuchni. Odkręciłam kran i nalałam sobie pełną szklankę wody. Wzięłam tę szklankę i buteleczkę z pigułkami i udałam się na dół, do piwnicy.

Przez szpary piwnicznych okien wpadało blade, przefiltrowane, podmorskie niemal światło. Za piecem, mniej więcej na wysokości ramion, ział w murze czarny, tajemniczy

otwór. Nikt nie miał pojęcia, do czego miałby służyć. Prowadził w kierunku garażu. Nad nim stała teraz, znacznie później zresztą dobudowana, weranda.

Z otworu sterczało kilka nadgniłych, starych polan. Odsunęłam je w głąb. Następnie postawiłam szklankę i buteleczkę z pigułkami na gładką powierzchnię jednego z nich i zaczęłam się gramolić w górę.

Musiałam zrobić duży wysiłek, zanim udało mi się wsunąć całym ciałem do otworu. Skuliłam się w tej wąskiej gardzieli ciemności jak garbaty karzeł.

Piasek pod moimi bosymi stopami był zimny, ale przyjazny. Zastanawiałam się, ile lat upłynęło, odkąd ten skrawek ziemi widział słońce.

Pojedynczo przesunęłam ciężkie, zakurzone polana na miejsce, aż całkowicie zasłoniły otwór tunelu. Ogarnęła mnie ciemność miękka jak aksamit. Sięgnęłam po buteleczkę i szklankę i czołgając się na kolanach, bardzo ostrożnie wsunęłam się jak mogłam najgłębiej.

Pajęczyny delikatne jak ćmy muskały mi twarz. Owinęłam się czarnym płaszczem, jak własnym życzliwym cieniem, odkręciłam buteleczkę i popijając wodą, powoli przełykałam tabletki, jedną, drugą, trzecią.

Z początku nie czułam nic, ale kiedy połknęłam prawie wszystkie, zaczęły mi przed oczami migać czerwone i niebieskie światełka. Buteleczka wypadła mi z rąk. Rozłożyłam się wygodnie.

Cisza rozstąpiła się jak kurtyna, ukazując kamienie, graty i skorupy, całe rumowisko mojego rozbitego życia. A potem na dalekim horyzoncie tej wizji wyrosła ogromna fala, zalała to wszystko, zagarnęła mnie i porwała w otchłań snu.

Rozdział XIV

Było zupełnie ciemno.

Czułam tylko tę ciemność i nic więcej, a kiedy ją sobie uświadomiłam, uniosłam głowę jak robak, wyłażący spod ziemi. Ktoś jęczał. Potem coś ciężkiego, twardego jak kamień, runęło na mój policzek i jęki ustały.

Cisza cofnęła się i wygładziła jak czarna powierzchnia jeziora, która pochłonąwszy rzucony kamień, powraca do dawnego, niezmąconego stanu.

Owiewał mnie chłodny wiatr. Zjeżdżałam szybko, coraz szybciej tunelem w głąb ziemi. Potem wiatr ucichł. Z oddali dochodzić zaczęły ludzkie głosy, protestowano, sprzeczano się. Po chwili i głosy umilkły.

Dłuto wbite w oko, przez maleńką szparę wpada promień ostrego światła krwisty jak otwarte usta, jak ziejąca rana i zaraz znowu ciemność. Usiłuję odsunąć się od tego światła, ale przytrzymują mnie czyjeś ręce, mocne jak bandaże pętające nogi mumii. Nie mogę wykonać najmniejszego ruchu.

Wydaje mi się, że jestem w jaskini oświetlonej jaskrawymi lampami, że z niewiadomych przyczyn w jaskini tej roi się od ludzi, którzy znów nie wiadomo dlaczego wiążą mi ręce i nogi.

Znowu dziabnięcie dłuta, światło wali prosto w głąb mojej głowy, rozdziera gęstą, ciepłą jak kożuch noc i słyszę czyjś głos wołający:

— Mamo!

Na twarzy lekki powiew.

Instynktem czuję kształt otaczającego mnie pomieszczenia. Jest to duży pokój z szeroko otwartym oknem. Pod moją głową miękka poduszka, ciało moje, nieważkie, lewituje pomiędzy cienkimi prześcieradłami.

Uczucie czyjegoś ciepłego dotyku, może mi ktoś przyłożył dłoń i głaszcze po twarzy. Pewnie leżę na słońcu. Gdybym mogła otworzyć oczy, zobaczyłabym chyba kolory i kształty pochylające się nade mną jak dobre pielęgniarki.

Otwieram oczy.

Jest zupełnie ciemno.

Ktoś oddycha. Tuż obok.

— Nic nie widzę — mówię.

Z ciemności dochodzi mnie dziarski głos kobiecy:

— Na świecie jest wielu ślepców. Wyjdziesz za mąż za sympatycznego, ślepego chłopca i wszystko się ułoży.

Znowu ten człowiek z dłutem.

— Po co to? — mówię. — Przecież to wszystko nie ma sensu.

— Proszę tak nie mówić. — Człowiek ostrożnie obmacuje bolesne zgrubienie nad moim lewym okiem. Zdejmuje mi coś z czoła. Powstaje szpara pełna światła, jak dziura wybita w murze. Przez nią wsuwa się twarz mężczyzny.

— Czy pani mnie widzi?

— Tak.

— I co jeszcze?

Przypominam sobie, że jestem ślepa. — Nic nie widzę. — Szpara zmniejsza się, zamyka. — Jestem ślepa.

— Nonsens! Kto pani to powiedział?

— Pielęgniarka.

Mężczyzna zżyma się. Kończy bandażowanie prawego oka. — Ma pani szczęście. Oczy nie są w ogóle uszkodzone.

— Ktoś do pani.

Pielęgniarka uśmiecha się i znika.

W nogach łóżka zjawia się moja matka, także uśmiechnięta. Ma na sobie fioletową suknię w wielkie młyńskie koła i wygląda okropnie.

Za nią wysoki, barczysty chłopiec. Z początku nie orientuję się, kto to, ponieważ moje lewe oko otwiera się tylko troszeczkę, ale po chwili stwierdzam, że to mój brat.

— Dano mi znać, że pozwoliłaś mi przyjść.

Matka siada na skraju łóżka, kładzie rękę na moim udzie. Jest pełna miłości, pełna wyrzutów. Chcę, żeby sobie poszła.

— Nic takiego nie mówiłam.

— Wołałaś mnie.

Jest bliska łez. Twarz jej kurczy się i trzęsie jak blada galareta.

— Jak leci? — pyta brat.

Patrzę matce prosto w oczy.

— Nic się nie zmieniło — odpowiedziałam.

— Ma pani gościa.

— Nie życzę sobie gości.

Pielęgniarka wychodzi szybko i zaczyna szeptać do kogoś na korytarzu. Po chwili wraca.

— Ten młody człowiek bardzo prosi, żeby go pani przyjęła.

Patrzę na żółte nogi sterczące spod białej, jedwabnej pidżamy. Przy każdym ruchu skóra na nich trzęsie się, jak gdyby mi zanikły mięśnie. Pokryta jest krótkim, czarnym odrostem.

— A kto to taki?

— Dobry znajomy pani.

— Jak się nazywa?

— George Bakewell.

— Nie znam żadnego George'a Bakewella.

— Ale on mówi, że panią zna.

A potem pielęgniarka wyszła, a do pokoju wszedł mój stary znajomy i zapytał: — Czy mogę usiąść na chwilę?

Miał na sobie biały fartuch, z kieszeni wystawał stetoskop. Pomyślałam, że pewnie któryś z kolegów przebrał się za lekarza.

Zamierzałam zakryć nogi, gdyby ktoś obcy wszedł do pokoju, ale było za późno, więc dałam spokój. Sterczały więc spod pidżamy, brzydkie i dość obrzydliwe.

To bardzo dobrze, pomyślałam. Tak teraz wyglądam i nie ma się co łudzić.

— Esther, czy ty mnie nie pamiętasz?

Zmrużyłam zdrowe oko i przyjrzałam mu się uważnie. Drugie oko jeszcze się nie otwierało, ale lekarz twierdził, że za kilka dni wszystko będzie dobrze.

Facet przyglądał mi się jak egzotycznemu zwierzęciu w zoo. Byłam pewna, że za chwilę wybuchnie śmiechem.

— Esther, przypomnij sobie. — Mówił powoli, jak mówi się do niedorozwiniętego dziecka. — Nazywam się George Bakewell. Chodzę do tego samego kościoła co ty. Studiowałem w Amherst. Przyjechałaś tam raz z wizytą do kolegi, z którym mieszkałem.

Zaczynało mi coś świtać. Twarz jego zakołysała się na krawędzi mojej pamięci, ale była jeszcze dość zamglona. Są twarze, których nie warto kojarzyć z nazwiskiem.

— A co ty tu robisz?

— Praktykuję w tym szpitalu.

Jakim cudem ten George Bakewell został tak szybko lekarzem? A poza tym przecież właściwie mnie nie znał. Chciał po prostu zobaczyć, jak wygląda wariatka, która próbowała popełnić samobójstwo.

Odwróciłam się twarzą do ściany.

— Wynoś się! — warknęłam. — Wynoś się i nie wracaj.

— Proszę mi podać lusterko.

Pielęgniarka krzątała się po moim pokoju, nucąc pod nosem jakąś melodię. Otwierała szuflady komody i pakowała do czarnej, lakierowanej torby całą masę nowych bluzek, spódnic, pidżam i bielizny zakupionych przez moją matkę.

— Dlaczego nie pozwolicie mi spojrzeć w lustro?

Miałam na sobie sukienkę w szaro-białe pasy, jak pokrowiec materaca, i szeroki, czerwony, lakierowany pasek. Posadzono mnie w fotelu.

— Dlaczego?

Pielęgniarka zamknęła czarną torbę z suchym trzaskiem.

— Ale dlaczego?

— Bo na razie to pani za pięknie nie wygląda.

— E tam, niech pani da lusterko.

Pielęgniarka westchnęła i wyciągnęła górną szufladę komody. Wyjęła duże lusterko w ramie z tego samego drewna co komoda i podała mi je.

Początkowo nie rozumiałam dowcipu. Nie było to bowiem wcale lustro, tylko obraz.

Trudno się było zorientować, czy osoba na tym obrazie jest kobietą, czy mężczyzną, ponieważ miała ogoloną głowę, a z czaszki wyrastały jej kępki pierzastych, kurzych włosków. Jedna strona twarzy tej dziwnej osoby miała kolor ciemnofioletowy, a całość była spuchnięta, bezkształtna, żółtozielona. Usta miała brunatne, a w kącikach rysowały się dwie różowe blizny.

Najbardziej zaskakującą charakterystyką tego malowidła była nienaturalna mieszanina jaskrawych kolorów.

Uśmiechnęłam się.

Usta z portretu rozciągnęły się brzydkim grymasem.

W sekundę później do pokoju wpadła inna pielęgniarka. Spojrzała na podłogę, na rozbite lustro, na mnie stojącą nad ślepymi, białymi skorupami i wyprowadziła młodszą koleżankę za drzwi.

— Przecież ci mówiłam...

— Ale kiedy ja tylko...

— Mówiłam ci przecież!

Przysłuchiwałam się ich szeptom bez większego zainteresowania. Ostatecznie, wielka rzecz. Każdemu może się zdarzyć, że stłucze lustro. Nie ma się czym przejmować.

Starsza pielęgniarka powróciła do pokoju. Stanęła przede mną z założonymi rękami i przyglądała mi się uważnie.

— Siedem lat chudych — powiedziała wreszcie.

— Co takiego?

— Powiedziałam — powtórzyła donośnym głosem, tak jak się mówi do głuchych — powiedziałam, siedem lat chudych.

Młodsza siostra powróciła, niosąc miotełkę i szufelkę, i zaczęła zbierać połyskujące drzazgi szkła.

— To tylko przesąd — powiedziałam po chwili.

— No tak. — Starsza z pielęgniarek zwróciła się do młodszej, która czołgając się na czworakach, wciąż zamiatała podłogę. — Tam-gdzie-wiesz — powiedziała — już sobie z nią poradzą.

Dobrze znajome ulice, zielony tunel drzew. Przyglądałam się temu widokowi z okienka karetki pogotowia. Siedzę pomiędzy matką a bratem.

Udawałam, że nie wiem, że przewożą mnie z naszego szpitalika do dużego miejskiego szpitala w Bostonie.

— Pójdziesz na specjalny oddział — objaśniała matka. — Nie mają takiego w naszym szpitaliku.

— Ale tam było mi dobrze.

— W takim razie powinnaś się była lepiej sprawować. — Matka zasznurowała usta.

— Co takiego?

— Dlaczego stłukłaś lustro? Gdybyś tego nie zrobiła, zgodziliby się ciebie zatrzymać.

Ale ja dobrze wiedziałam, że lustro nie miało z tym nic wspólnego.

Siedziałam na łóżku. Kołdrę podciągnęłam pod samą szyję.

— Dlaczego nie pozwalacie mi wstać? Przecież nie jestem chora.

— Obchód — oświadczyła pielęgniarka. — Będzie pani mogła wstać zaraz po obchodzie. — Odsunęła zasłonę i zobaczyłam tłustą Włoszkę, która leżała w sąsiednim łóżku.

Tłusta Włoszka miała na głowie masę drobnych, czarnych loczków. Zaczynały się tuż nad czołem, piętrzyły się wysoko na czubku głowy i tarasikami opadały na jej plecy i ramiona. Wyglądały jak wycięte z błyszczącego, czarnego kartonu.

Włoszka spojrzała na mnie i roześmiała się perliście.

— Co pani jest? — zapytała i nie czekając na odpowiedź, dodała: — Ja jestem tutaj z powodu mojej teściowej, która jest francuską Kanadyjką. — Roześmiała się ponownie. — Mój mąż dobrze wie, że ja nie cierpię tej baby, mimo to zaprosił ją, no a kiedy się zjawiła, język wypadł mi z ust, bez mojej woli, sam z siebie i nie mogłam go w żaden sposób wsunąć z powrotem. Zabrali mnie na ostry dyżur i wpakowali tutaj. — Szeptem dodała: — Do wariatów. A co pani jest? — zainteresowała się znowu.

Zwróciłam ku niej moją spuchniętą, purpurowozieloną twarz i nabrzmiałe oko. — Usiłowałam popełnić samobójstwo.

Kobieta spojrzała na mnie z przerażeniem, potem porwała jakiś tygodnik filmowy z nocnego stolika i udała, że czyta.

Drzwi wahadłowe, znajdujące się naprzeciwko mojego łóżka, otworzyły się energicznie i na salę wkroczyła gromada młodych ludzi w białych kitlach ze starszym, siwiejącym panem na czele. Wszyscy uśmiechali się szerokim, sztucznym uśmiechem. Okrążyli od razu moje łóżko.

— Jakże się pani czuje dzisiaj, panno Greenwood?

Próbowałam się zorientować, który z nich to powiedział. Nienawidzę rozmowy z grupą ludzi. W takich wypadkach zawsze wybieram sobie jedną osobę i zwracam się do niej, ale nawet wówczas wydaje mi się, że pozostali gapią się na mnie i kpią sobie ze mnie. Nienawidzę też, jak mnie ludzie pytają wesolutko, jak się czuję, takim tonem, jakby się z góry spodziewali pozytywnej odpowiedzi, mimo że doskonale wiedzą, że czuję się jak groch przy drodze.

— Łyso.

— Łyso, no, no — odezwał się któryś, a jeden z młodszych lekarzy uśmiechnął się i spuścił głowę. Jeszcze inny zaczął coś notować. Jeszcze inny zrobił poważną minę i zapytał:

— A czemu to czuje się pani łyso?

Pomyślałam sobie, że może jeden z tych młodych ludzi w bieli jest przyjacielem Buddy'ego Willarda. Jeżeli tak, to na pewno obgada mnie od stóp do głów. Wolałabym być w takim szpitalu, gdzie mnie na pewno nikt nie zna.

— Nie mogę spać...

Przerwali mi w pół słowa. — Nocna pielęgniarka twierdzi, że pani spała przez całą noc.

Półkole obcych twarzy. Przyglądałam im się uważnie, każdej po kolei...

— Nie mogę czytać. — I jeszcze głośniej dodaję: — Nie mogę jeść. — Jednocześnie przypomniało mi się, że od momentu, kiedy mnie tu przywieźli, prawie nie przestaję się opychać.

Lekarze zbili się w grupkę i naradzali się szeptem. Potem wystąpił najstarszy i powiedział:

— Dziękujemy pani, panno Greenwood. Wkrótce obejrzy panią jeden z naszych lekarzy specjalistów.

Następnie cała grupa otoczyła łóżko mojej sąsiadki.

— Jakże się pani czuje dzisiaj, pani... — odezwał się znowu jeden z młodych lekarzy. Nazwisko jej było długie i zawierało mnóstwo liter „l". Może Tomolillo.

Pani Tomolillo zachichotała. — Świetnie, panie doktorze, doskonale. — Potem zaczęła mówić tak cicho, że już nic nie słyszałam. Kilku młodych lekarzy spojrzało na mnie ukradkiem, a potem jeden z nich powiedział: — Dobrze, dobrze, pani Tomolillo — a jeszcze inny zaciągnął zasłonę, oddzielającą nasze łóżka białą ścianą.

Siedziałam z matką na ławce ustawionej na zielonym trawniku, otoczonym czterema murami naszego szpitala.

Siedziałam na jednym końcu, a matka na drugim. Matka miała na sobie znowu tę suknię w młyńskie koła. Opierała głowę na ręce. Palec wskazujący wciskała w policzek, a kciukiem podtrzymywała podbródek.

Na sąsiedniej ławce siedziała pani Tomolillo, otoczona gromadką rozbawionych, kruczowłosych Włochów. Jak tylko moja matka zmieniła pozycję, pani Tomolillo robiła to samo. Teraz wcisnęła wskazujący palec w policzek, a podbródek podtrzymywała kciukiem. Głowę pochyliła w bok.

— Nie ruszaj się — szepnęłam do matki. — Ta baba cię przedrzeźnia.

Matka odwróciła głowę, ale pani Tomolillo szybko jak strzała spuściła tłuste rączki na kolana i włączyła się w intensywną rozmowę swoich przyjaciół.

— Nic podobnego — powiedziała matka. — Ona nie zwraca na nas najmniejszej uwagi.

Ale z chwilą, kiedy matka przestała na nią patrzeć, pani Tomolillo złożyła ręce dokładnie tak samo, jak to przed sekundą zrobiła moja matka. Obrzuciła mnie przy tym drwiącym spojrzeniem.

Na trawniku białe plamy lekarskich fartuchów.

Nasza ławka stała na wąskim, nasłonecznionym pasie trawnika, pod wysokim murem ogrodu. Co chwila podchodzili do nas młodzi ludzie i przedstawiali się: — Jestem doktor taki-to-a-taki, a ja jestem doktor taki-to-a-inny.

Niektórzy z nich byli za młodzi na prawdziwych lekarzy, a jeden z nich powiedział bardzo dziwne nazwisko. Zabrzmiało to jak doktor Syfilis, więc zaczęłam słuchać dokładnie tego, co mówili. Po chwili podszedł do nas lekarz bardzo podobny do doktora Gordona, tyle że czarny. Uścisnął moją dłoń i przedstawił się: — Doktor Trzustka.

Potem wszyscy ci podejrzani ludzie stanęli razem niedaleko nas, tak żeby mogli podsłuchiwać. Nachyliłam się więc nad matką i zaczęłam jej szeptać do ucha.

Wzdrygnęła się.

— Och, Esther, dlaczego ty nie chcesz współpracować z lekarzami? Wszyscy mi mówią, że jesteś bardzo oporna. Podobno nie chcesz z nimi rozmawiać, a na terapii zajęciowej absolutnie nic nie robisz.

— Muszę się stąd wydostać — szepnęłam z naciskiem. — Wtedy od razu wyzdrowieję. Ty mnie tu wpakowałaś, ty musisz mnie stąd wyciągnąć.

Postanowiłam najpierw przekonać matkę, żeby zabrała mnie ze szpitala. Potem wykorzystam jej poczucie winy, tak jak ten obłąkany chłopiec w sztuce, i na pewno przekonam ją, że sama wiem najlepiej, czego mi trzeba.

Ku mojemu zdumieniu matka się zgodziła.

— Dobrze — powiedziała — postaram się wydostać cię stąd... chociażby po to, żeby cię umieścić w lepszym szpitalu. Zrobię wszystko, co w mojej mocy — położyła mi rękę na kolanie — ale przyrzeknij mi, że ty też się postarasz.

Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam prosto w twarz doktora Syfilisa, który stał za mną i pisał w malutkim notesiku. — Przyrzekam — powiedziałam głośno i wyraźnie.

Murzyn wprowadził wózek z obiadem na naszą salę. Oddział psychiatryczny był niewielki — dwa korytarze w kształcie litery L, z których odchodziły drzwi do pokojów. Na samym końcu w alkowie z kilkoma łóżkami znajdowała się terapia zajęciowa, a w załamaniu litery L — niewielki pokój, który służył nam za salonik i jadalnię. Zazwyczaj przywoził nam posiłki stary, zgarbiony biały człowiek, ale dzisiaj zastępował go ten Murzyn. Za nim szła kobieta na wysokich szpilkach i dawała mu instrukcje. Murzyn uśmiechał się i od czasu do czasu głupawo chichotał.

Podszedł do naszego stolika z tacą, na której stały trzy metalowe wazy z metalowymi pokrywami. Z hałasem stawiał je na stół. Kobieta opuściła jadalnię i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Murzyn ustawiał talerze, podawał sztućce i przyglądał nam się wielkimi, niespokojnymi oczami.

Było rzeczą jasną, że jesteśmy jego pierwszymi wariatkami.

Żadna z nas nie kwapiła się, żeby zdjąć pokrywki z waz, a nasza pielęgniarka stała w kącie i pewnie zastanawiała się nad tym, czy w końcu zrobimy to same, czy też ona będzie musiała się tym zająć. Dotychczas robiła to zawsze pani Tomolillo. Odkrywała wazy i nakładała nam jedzenie na talerze jak troskliwa mama, ale dzisiaj rano odesłano ją do domu i żadna z nas nie kwapiła się do przejęcia jej roli.

Byłam strasznie głodna, więc zdjęłam pokrywkę z pierwszej wazy.

— To bardzo miło z pani strony, Esther — odezwała się pielęgniarka. — Niech pani sobie nałoży fasolkę i poda ją dalej.

Nałożyłam sobie porcję fasolki szparagowej i podałam wazę wielkiej, rudej kobiecie, siedzącej obok mnie. Pozwolono jej dzisiaj po raz pierwszy zasiąść do stołu. Widziałam ją przedtem tylko jeden raz. Stała wtedy przy okratowanym oknie na końcu naszego korytarza.

Wrzeszczała, śmiała się dziko i klepała się ordynarnie po udach, ilekroć przechodził któryś z lekarzy, a pod kaloryferem stał pielęgniarz w białym kitlu i pękał ze śmiechu.

Ruda wyrwała mi wazę z ręki i wywaliła całą jej zawartość na swój talerz. Na jej talerzu wyrosła góra fasoli, pojedyncze, zielone strąki spadły jej na kolana i pod nogi.

— Jakże to, pani Mole — odezwała się pielęgniarka smutnym głosem. — Myślę, że będzie lepiej, jak pani zje obiad w swoim pokoju. — Włożyła prawie całą fasolę z powrotem do wazy i podała ją następnej chorej. Panią Mole wzięła za rękę i wyprowadziła. Pani Mole odwracała się, stroiła do nas miny i chrząkała jak świnia.

Murzyn zaczął zbierać talerze chorych, które nawet jeszcze nie zaczęły jeść.

— Jeszcze nie skończyłyśmy — powiedziałam do niego. — Proszę poczekać.

— Coś takiego? — Murzyn otworzył szeroko oczy

w udanym zdziwieniu. Rozejrzał się szybko. Pielęgniarka, która wyszła z panią Mole, jeszcze nie powróciła. Murzyn ukłonił mi się nisko, ironicznie. — Kuku na muniu — szepnął mi do ucha.

Uniosłam pokrywę następnej wazy. Oczom moim ukazała się kupa zimnego, posklejanego makaronu. Trzecia i ostatnia waza wypełniona była po brzegi fasolką po bretońsku.

Wiedziałam doskonale, bo mnie tego uczono, że nie należy podawać do jednego posiłku dwóch gatunków fasoli. Fasolka i marchewka, owszem, fasolka i zielony groszek też jeszcze ujdzie, ale fasolka z fasolką — nigdy. Ten Murzyn po prostu sobie z nas zakpił.

Pielęgniarka powróciła, a Murzyn odsunął się. Zjadłam ile wlazło fasolki po bretońsku, potem wstałam od stołu, podeszłam od tyłu do Murzyna, który zbierał brudne talerze, i kopnęłam go z całej siły w łydkę.

Odskoczył ze skowytem i przewracając oczami, patrzył na mnie w dzikim przerażeniu. — Oj, miss — jęczał — oj, miss, nie powinna była pani tego zrobić. Oj, nie powinna była pani tego zrobić.

— To ci się należy — odparłam i spojrzałam mu groźnie w oczy.

— Czy pani nie zamierza dzisiaj wstać?

— Nie. — Wsunęłam się głębiej w pościel i naciągnęłam prześcieradło na głowę. Po chwili uchyliłam rąbek i wyjrzałam. Siostra strząsała termometr, który mi przed chwilą wyjęła z ust.

— No proszę, temperatura zupełnie normalna. — Odczytałam termometr, zanim przyszła. Zawsze to robię. — Pani dobrze wie, że nie mam temperatury, więc po co to codzienne mierzenie?

Chciałam jej powiedzieć, że ucieszyłabym się szczerze, gdyby moje ciało chciało zachorować, że wolałabym sto-

krotnie jakąś konkretną, fizyczną chorobę, ale jakoś nie umiałam tego sformułować. Milczałam więc i wsuwałam się coraz głębiej pomiędzy prześcieradła i koce.

Po chwili poczułam przykry, choć nie bolesny ucisk na nogach. To pielęgniarka postawiła na moim łóżku tacę z termometrami i odwrócona plecami liczyła puls chorej, która zajęła łóżko po pani Tomolillo.

Ogarnęła mnie przemożna chęć zrobienia jej psikusa. Było to uczucie irytujące, ale jednocześnie przyjemne, podobne do pobolewania chwiejącego się zęba. Przeciągnęłam się, ziewnęłam, przewróciłam na bok i wsunęłam nogę pod tackę z termometrami.

— O Boże! — wrzasnęła pielęgniarka, jakby wzywała pomocy. — Co też pani zrobiła!

Wyjrzałam spod kołdry. Emaliowana taca spadła na podłogę. Termometry potłukły się, a kulki rozlanej rtęci trzęsły się i połyskiwały jak krople boskiego dżdżu.

— Przepraszam — powiedziałam. — To wypadek.

Druga pielęgniarka spojrzała na mnie podejrzliwym okiem.

— Pani to zrobiła naumyślnie. Dobrze widziałam.

Odeszła pospiesznie i niemal natychmiast zjawili się dwaj salowi i powieźli mnie wraz z łóżkiem do dawnego pokoju pani Mole. Po drodze udało mi się niepostrzeżenie podnieść z podłogi kuleczkę rtęci.

Zaryglowali moje drzwi. Po chwili zobaczyłam w prostokącie zakratowanego okna twarz Murzyna — księżyc koloru melasy. Udawałam, że go nie widzę.

Jak dziecko uradowane posiadaniem tajemnicy, otworzyłam dłoń i spojrzałam ukradkiem na srebrną kuleczkę. Jeżeli upuszczę ją na ziemię, rozpadnie się na milion takich samych, mniejszych, a gdy zgarnę je, utworzą znowu jedną, niezmąconą całość.

Uśmiechnęłam się do mojej srebrnej kulki.

Nie miałam pojęcia, co się stało z panią Mole.

Rozdział XV

Czarny cadillac Filomeny Guinea przemykał się przez zatłoczoną jezdnię dostojnie jak ceremonialna kareta. Była godzina piąta, godzina szczytu. Za chwilę znajdziemy się na jednym z krótkich mostów, przerzuconych przez rzekę Charles, a wtedy ja, bez chwili wahania, otworzę drzwi i przedzierając się przez gąszcz samochodów, podbiegnę do bariery. Jeden skok i znajdę się pod powierzchnią wody.

Bezwiednie rwałam na strzępy papierową chusteczkę, skręcałam małe, papierowe pigułki i czekałam na właściwy moment. Siedziałam z tyłu, pomiędzy matką a bratem. Oboje byli lekko nachyleni, tworząc dwie ukośne bariery, odgradzające mnie od drzwiczek wozu.

Patrzyłam na gruby kark kierowcy, wciśnięty pomiędzy granatową czapkę szoferską a ramiona w granatowej liberii. Był koloru mielonej szynki. Tuż obok kołysała się łagodnie głowa słynnej powieściopisarki Filomeny Guinea, cała w srebrnych lokach, uwieńczonych kapeluszem z szmaragdowymi piórami.

Zjawienie się na horyzoncie mojego życia Filomeny Guinea nie zostało mi do końca wyjaśnione. Wiedziałam tylko, że zainteresowała się moim przypadkiem, prawdopodobnie dlatego, że przed wieloma laty sama spędzała jakiś czas w zakładzie dla psychicznie chorych.

Matka powiedziała mi, że w czasie pobytu na Bahamach pani Guinea przeczytała o mnie w bostońskiej gazecie i wy-

ście z obrzydzeniem patrzą na moje rozczochrane, tłuste włosy, porównują mój obecny wygląd z dawnym i opuszczają mnie bardzo zatroskani.

Sądziłam, że jak mnie zostawią w spokoju, to może odnajdę nareszcie równowagę ducha.

Najgorsza była matka. Nie miała do mnie pretensji, ale za to nieustannie błagała mnie z cierpiętniczym wyrazem twarzy, żebym jej powiedziała, czy mam do niej żal i o co. Twierdziła, że lekarze czynią ją odpowiedzialną za to, co się ze mną stało, że stawiają jej niezliczone pytania. Wypytują ją szczególnie o to, kiedy zaczęła mnie wysadzać na nocnik. Faktem jest, zaczęła mnie wysadzać bardzo wcześnie i byłam zawsze idealnym dzieckiem.

Tego popołudnia matka przyniosła mi pęk róż.

— Zachowaj je na mój pogrzeb — powiedziałam.

Matka skrzywiła się, wyglądało, że za chwilę się rozpłacze.

— Ależ, kochanie, czy zapomniałaś, jaki to dzisiaj dzień?

— Zapomniałam.

Pomyślałam, że może to świętego Walentego.

— Twoje urodziny!

Wtedy wyrzuciłam róże do kosza.

— To był bardzo niemądry pomysł z jej strony — zwierzyłam się pani doktor.

Doktor Nolan skinęła głową na znak zgody. Rozumiała, o co mi chodzi.

— Nienawidzę jej — powiedziałam, zamilkłam i czekałam z pochyloną głową na cios.

Ale pani doktor Nolan uśmiechnęła się tylko, jak gdybym zrobiła jej bardzo wielką przyjemność, i powiedziała: — No tak, rozumiem doskonale.

Rozdział XVII

— Czeka panią dzisiaj duża radość.

Młoda pielęgniarka wzięła tacę z resztkami mojego śniadania i zabrała się do wyjścia, pozostawiając mnie na leżaku, jak pasażerkę na pokładzie statku.

— A to dlaczego?

— Nie jestem pewna, czy powinnam to pani powiedzieć, ale dzisiaj przeniosą panią do Belsize'u. — Spojrzała na mnie wyczekującym wzrokiem.

— Do Belsize'u? Nie mogę jeszcze iść do Belsize'u.

— Czemu nie.

— Bo wcale nie czuję się lepiej. To niemożliwe.

— Ależ tak. Lekarze stwierdzają ogromną poprawę. Już niech panią o to głowa nie boli. Jeżeli przenoszą panią do tamtego pawilonu, to pani jest na pewno na dobrej drodze.

Kiedy pielęgniarka wreszcie odeszła, zaczęłam się zastanawiać nad tym posunięciem doktor Nolan. Co ona chce w ten sposób udowodnić? Przecież nic się we mnie nie zmieniło. Nic a nic. A Belsize był pawilonem dla rekonwalescentów. Z Belsize'u ludzie wracali do pracy, do szkoły, do swoich domów.

Joan była już tam od pewnego czasu. Joan ze swoimi podręcznikami fizyki, kijkami do golfa, rakietką do badmintona. Joan i jej raźny, wesoły głosik. Pomiędzy mną a pacjentami już prawie zdrowymi była jeszcze tylko ona. Od czasu, kiedy opuściła Caplan, śledziłam jej postępy za pośrednictwem szpitalnej poczty pantoflowej.

Joan otrzymała już przywilej chodzenia na spacery, do miasteczka na zakupy, Joan to, Joan tamto. Zbierałam te wszystkie wiadomości o niej, magazynowałam je w pamięci i na pozór nawet cieszyłam się nimi. Los Joan był jak gdyby echem mojego własnego losu z okresu, kiedy byłam jeszcze zdrowa i szczęśliwa. Joan została na pewno stworzona i przysłana tu specjalnie po to, żeby mnie dręczyć. Od lat snuła się za mną krok w krok.

Jak przybędę do Belsize'u, pomyślałam, to okaże się pewnie, że Joan już została odesłana do domu.

W Belsize'ie będę mogła przynajmniej przestać bać się elektrowstrząsów. W Caplanie wiele pacjentek poddawano temu zabiegowi. Zawsze wiedziałam, na którą tego dnia kolej, bo nie dostawały śniadania. Pacjentki te szły na wstrząsy na czczo, a dopiero później zjawiały się, prowadzone pod rękę przez pielęgniarki, w świetlicy, dziwnie spokojne, zgaszone, i tam podawano im śniadanie.

Kiedy rano rozlegało się pukanie do drzwi i zjawiała się pielęgniarka z tacą, fala ulgi przenikała moje ciało, bo już wiedziałam, że nic mi tego dnia nie grozi. Zupełnie nie mogłam zrozumieć, jak doktor Nolan, która przecież sama nigdy nie poddała się elektrowstrząsom, może twierdzić, że pacjenci usypiają w czasie zabiegu. Skąd wie, że pacjent nie wygląda tylko, jak gdyby spał? Może w środku szarpią go te straszne spazmy, przeszywają go tysiące błyskawic i płomieni.

Z głębi korytarza dochodziła muzyka. Ktoś grał na fortepianie.

Podczas kolacji milczałam i przysłuchiwałam się wesołej rozmowie pacjentek Belsize'u. Miały na sobie modne sukienki, były starannie umalowane, niektóre nosiły obrączki. Jedne opowiadały o tym, że były w miasteczku na zakupach albo u przyjaciół. Przerzucały się dowcipami i powiedzonkami, z których nic do mnie nie docierało.

— Zadzwoniłabym do Jacka — odezwała się w pewnym momencie kobieta, na którą wołano Dzidzia — ale obawiam się, że nie ma go w domu. Dobrze wiem, gdzie trzeba dzwonić, żeby go na pewno zastać.

Przysadzista, wesoła blondyna, siedząca przy moim stoliku, roześmiała się.

— Powiem wam, że dużo dziś nie brakowało, żebym załatwiła doktora Loringa. — Otworzyła szeroko błękitne, tępe oczy porcelanowej lalki. — Czas wymienić starego Percy na jakiś nowszy model.

Po drugiej stronie jadalni siedziała Joan i z wielkim apetytem pałaszowała smażone pomidory na szynce. Zdawała się bardzo zaprzyjaźniona z wszystkimi pacjentkami. Mnie traktowała z dystansem, nawet z lekką ironią, jak daleką i gorszą znajomą.

Zaraz po kolacji poszłam do łóżka, a już wkrótce zaczęły mnie dochodzić dźwięki muzyki i wyobrażałam sobie Joan, Dzidzię, tę blondynę Loubelle i całą resztę, jak siedzą w salonie i obgadują mnie na całego. Na pewno mówią, że takie jak ja nie powinny być w ogóle w Belsizie, że nadaję się najwyżej do Wymarku.

Postanowiłam ostudzić ich plotkarski zapał.

Owinęłam się więc kocem jak szalem i wyszłam na korytarz, kierując się ku wesołym głosom.

Przez resztę wieczoru słuchałam piosenek własnej kompozycji Dzidzi, jakie wybębniała na fortepianie, i przyglądałam się pozostałym kobietom. Grały w brydża albo szczebiotały zupełnie jak w college'u, tyle że większość z nich miała co najmniej o dziesięć lat więcej.

Jedna z nich, wysoka, tęga, siwowłosa, o głębokim basie, posiadała dyplom z Vassar i nazywała się pani Savage. Zorientowałam się szybko, że jest to dama z towarzystwa, ponieważ mówiła wyłącznie o debiutantkach. Okazało się, że jest matką dwóch, a może i trzech córek, które miały być w tym sezonie wprowadzone w świat, ale ona zepsuła im wszystko swoją chorobą.

Dzidzia zaśpiewała piosenkę pod tytułem *Mleczarz*. Radzono jej chórem, żeby ją koniecznie wydała drukiem, bo będzie to na pewno niebywały szlagier. Najpierw wystukała palcami taką sobie prościutką melodyjkę, naśladując niby to dźwięk kopyt konika, potem coś w rodzaju pogwizdywania mleczarza, a potem oba refreny zlewały się.

— To bardzo zręczne — odezwałam się konwersacyjnym tonem.

Joan stała oparta o fortepian i przeglądała jakiś żurnal mody, Dzidzia skierowała na nią wzrok. Uśmiechnęły się do siebie konspiracyjnie.

— Ach, Esther — powiedziała Joan i podniosła rozłożony żurnal. — Zobacz no, jak dwie krople wody.

Dzidzia przestała grać. — Pokaż — zażądała i wyjęła żurnal z rąk Joan. Spojrzała na wskazane jej zdjęcie, potem na mnie i potrząsnęła głową.

— Wcale nie — skrzywiła się. — Wcale tego nie widzę. — Znowu spojrzała na żurnal, na mnie i dodała: — Zupełnie nie.

— A ja uważam, że tak, prawda, Esther, chodź, zobacz — zwróciła się do mnie Joan.

Loubelle i pani Savage podeszły do fortepianu, a ja udając, że wiem, o co chodzi, przyłączyłam się do nich.

Fotografia w żurnalu pokazywała dziewczynę w wydekoltowanej sukni wieczorowej, zrobionej z jakiegoś puszystego, białego materiału. Dziewczyna uśmiechała się od ucha do ucha. Była otoczona rojem eleganckich chłopaków. Miała w ręku szklankę pełną przezroczystego płynu i patrzyła wprost przed siebie, a raczej za moje lewe ucho. Czyjś oddech musnął mój kark. Odwróciłam się gwałtownie.

Stąpając na gumowych podeszwach, zjawiła się niepostrzeżenie nasza nocna pielęgniarka.

— Coś takiego — powiedziała. — Czy to naprawdę pani?

— To wcale nie ja. To zupełnie obca dziewczyna. Joan się myli.

— No, przyznaj się, że to ty! — krzyknęła Dzidzia.

Udawałam, że jej nie słyszę, i odwróciłam się.

Loubelle poprosiła pielęgniarkę, żeby zagrała na czwartą w brydża, więc przysunęłam sobie krzesło i zaczęłam kibicować. Na kartach nie znam się zupełnie. W odróżnieniu od zamożnych dziewcząt, które namiętnie uprawiały hazard, nie miałam na to czasu w college'u.

Przyglądałam się więc głupim, pozbawionym wszelkiego wyrazu podobiznom królów, waletów i królowych i przysłuchiwałam się pielęgniarce, która skarżyła się na swoje trudne życie.

— Wy, moje młode damy, nie macie pojęcia o tym, co to znaczy pracować na dwóch posadach. Nocą jestem tutaj, by czuwać nad wami, a w dzień...

— Ale my przecież nie sprawiamy pani wiele kłopotów — zachichotała Loubelle. — Jesteśmy najlepszymi pacjentkami w całej klinice.

— O tak, jesteście nadzwyczajne. — Pielęgniarka poczęstowała nas gumą do żucia. Starannie zdjęła z paczuszki różową wstążeczkę. — Ale te potworki w państwowym szpitalu nie dają człowiekowi chwili spokoju.

— Czy pani pracuje i tu, i tam? — zapytałam z nagłym zainteresowaniem.

— Ano tak. — Pielęgniarka spojrzała na mnie badawczo. Czułam, że zastanawia się nad tym, skąd wzięłam się w Belsizie. — Oj, nie spodobałoby się tam pani wcale a wcale, lady Jane.

Zdziwiło mnie, że mówi do mnie „lady Jane", skoro świetnie wie, jak się nazywam.

— Dlaczego?

— To nie to, co tutaj. Wy tu żyjecie jak w eleganckim pensjonacie. Tam nie ma w ogóle nic. Ani przyzwoitej terapii zajęciowej, żadnych tam spacerów...

— Nawet spaceru?

— Nie mają dostatecznej liczby personelu. — Pielęgniarka zagarnęła lewę, Loubelle jęknęła. — Zapewniam

was, moje drogie panie, że z chwilą, kiedy uciułam wystarczająco dużo forsuni na samochód, wyniosę się stąd, aż się będzie kurzyło.

— Czy i od nas? — zainteresowała się Joan.

— Naturalnie! Zajmę się wyłącznie praktyką prywatną. Będę pracowała tylko wtedy, kiedy mi się będzie chciało...

Przestałam słuchać.

Zrozumiałam, co chciała mi dać do zrozumienia ta pielęgniarka. Albo szybko wyzdrowieję, albo będę się staczała coraz niżej i niżej jak gasnąca gwiazda. Z Belsize'u przeniosą mnie do Caplanu, stamtąd do Wymarku i wreszcie — opuszczona przez panią doktor Nolan i panią Guinea — pójdę na samo dno, do sąsiadującego z nami państwowego szpitala dla wariatów.

Otuliłam się mocniej kocem i odsunęłam krzesło.

— Zimno pani? — zapytała pielęgniarka mimochodem.

— Tak — odparłam i wyszłam na korytarz. — Jestem przemarznięta do szpiku kości.

Zbudziłam się. Było mi ciepło i dobrze w moim białym kokonie. Promień bladego, zimowego słońca iskrzył się w lustrze na przeciwległej ścianie, odbijał się w szklance stojącej na komodzie, w mosiężnej gałce w drzwiach. Z głębi korytarza dochodziło pobrzękiwanie sztućców i talerzy. Służba szykowała tace ze śniadaniem.

Rozległo się delikatne stukanie do sąsiednich drzwi w końcu korytarza. Pani Savage odezwała się sennym głosem i pielęgniarka weszła do jej pokoju ze śniadaniem. Z przyjemnością myślałam o pękatym dzbanku z gorącą kawą, o niebieskiej, porcelanowej filiżance i o wybrzuszonym, malutkim dzbanuszku do mleka, niebieskim, ale w białe stokrotki.

Byłam prawie pogodzona z losem.

Cios spadnie wcześniej czy później, a na razie trzeba się cieszyć każdym najmniejszym drobiazgiem. Byle to trwało jak najdłużej.

Teraz pielęgniarka zapukała do moich drzwi i nie czekając na odpowiedź, weszła do pokoju.

Była nowa — pielęgniarki zmieniały się nieustannie. Miała długą twarz koloru piasku, takie same włosy i duże piegi na nosie. Z niewiadomych przyczyn widok jej wzbudził we mnie głęboki niepokój, ale dopiero kiedy podeszła do okna i odsunęła rolety, zorientowałam się dlaczego. Miała puste ręce.

Otworzyłam usta, żeby zapytać o śniadanie, ale zamknęłam je niemal natychmiast. Pielęgniarka zapewne pomyliła mnie z kim innym. To się często zdarza nowicjuszkom. Jakaś pacjentka w Belsize'ie otrzymuje elektrowstrząsy, a ta pielęgniarka, rzecz jasna, po prostu pomyliła się co do osoby.

Zaczekałam, aż skończyła poranny przegląd mojego pokoju, porządkując, wygładzając, poklepując, i wyszła, żeby zanieść tacę ze śniadaniem do pokoju Loubelli.

Wtedy wysunęłam się z łóżka, nałożyłam na bose nogi pantofle i otuliwszy się kocem, bo poranek był jasny, ale bardzo chłodny, szybko poszłam do kuchni. Młoda kucharka w różowym mundurku napełniała rząd niebieskich, porcelanowych dzbanków kawą z dużego, obtłuczonego czajnika.

Spojrzałam tęsknym wzrokiem na rząd tac — białe, papierowe serwetki, starannie poskładane w równoramienne trójkąty, srebrne widelce, białe wieżyczki jajek na miękko, sterczące z niebieskich kubeczków, malutkie porcyjki marmolady pomarańczowej w przezroczystych pojemniczkach. Wystarczyło wyciągnąć ręce, zażądać swojej tacy, aby życie powróciło na normalne tory.

— Nastąpiła pomyłka — wyjaśniłam kucharce cichym głosem. Nachyliłam się nad bufetem. — Ta nowa pielęgniarka zapomniała mi przynieść śniadanie.

Z trudem udało mi się wyczarować serdeczny uśmiech w dowód, że nie żywię pretensji do nikogo.

— Nazwisko pani?

— Greenwood. Esther Greenwood.

— Greenwood, Greenwood, Greenwood. — Kucharka przesunęła wskazującym palcem po wywieszonym na ścianie spisie nazwisk pacjentek Belsize'u.

— Greenwood. Dzisiaj bez śniadania.

Chwyciłam się oburącz krawędzi bufetu.

— To chyba pomyłka. Czy pani jest pewna, że chodzi o Greenwood?

— Greenwood — powtórzyła kucharka stanowczym tonem i w tej samej chwili do kuchni weszła pielęgniarka.

Spojrzała pytającym wzrokiem najpierw na kucharkę, a potem na mnie.

— Panna Greenwood przyszła upomnieć się o swoje śniadanie — wyjaśniła kucharka.

— Ach tak. — Pielęgniarka uśmiechnęła się do mnie przymilnie. — Pani dostanie dzisiaj śniadanie nieco później. Pani...

Nie usłyszałam już końca zdania. Wypadłam ślepo na korytarz, ale nie do mojego pokoju, bo tam przecież mieli zaraz przyjść po mnie, ale do alkowy, znacznie mniej sympatycznej niż w Caplanie, położonej na samym końcu korytarza. Wiedziałam, że ani Loubelle, ani Dzidzia, ani pani Savage, ani Joan nigdy tam nie przychodzą.

Wcisnęłam się w sam kąt i nakryłam głowę kocem. Byłam wstrząśnięta nie tyle samą perspektywą elektrowstrząsów, co ohydną zdradą pani doktor Nolan. Polubiłam ją, obdarzyłam pełnym zaufaniem, zwierzałam jej się ze wszystkiego, a ona przyrzekła solennie, że uprzedzi mnie, jeżelibym kiedykolwiek jeszcze miała być poddana kuracji wstrząsowej.

Gdyby powiedziała mi o tym poprzedniego wieczoru, przeżyłabym, oczywiście, noc pełną lęku i grozy, ale teraz byłabym już spokojna i wewnętrznie przygotowana. Poszłabym korytarzem w asyście dwóch pielęgniarek, mijając Joan, panią Savage i Loubelle, krokiem pełnym dostojeństwa, jak skazaniec prowadzony na szafot.

Pielęgniarka pochyliła się nade mną i szepnęła moje imię.

Odsunęłam się i wtuliłam jeszcze mocniej w ścianę, więc odeszła. Wiedziałam, że za chwilę powróci z dwoma barczystymi pielęgniarzami, którzy wyniosą mnie, wrzeszczącą wniebogłosy i wierzgającą ku uciesze uśmiechniętych widzów.

Doktor Nolan objęła mnie ramieniem i przycisnęła mnie do piersi macierzyńskim ruchem.

— Przyrzekła pani, że mnie pani uprzedzi! — wrzasnęłam przez koc.

— Właśnie po to przyszłam. Przyjechałam dziś znacznie wcześniej do szpitala, żeby się tobą zająć. Pójdziemy razem.

Spojrzałam na nią przez zapuchnięte powieki. — Czemu nie powiedziała mi pani wczoraj wieczorem?

— Bo bałam się, że nie będziesz mogła spać. Gdybym wiedziała...

— Przyrzekła pani, że mnie pani uprzedzi.

— Słuchaj, Esther — powiedziała doktor Nolan poważnie. — Idę z tobą. Nie opuszczę cię ani na chwilę i wszystko odbędzie się tak, jak ci mówiłam. Poczekam, aż się obudzisz, i odprowadzę cię do pokoju.

Spojrzałam na nią, wydała się zmartwiona.

Odczekałam chwilę, a potem powiedziałam: — Proszę mi przysiąc, że pani zostanie.

— Przysięgam.

Pani doktor wyjęła z kieszeni białą chusteczkę i otarła mi twarz. Potem wzięła mnie przyjacielsko pod rękę, pomogła mi wstać i ruszyłyśmy korytarzem. Koc plątał mi się między nogami, więc rzuciłam go na ziemię, ale pani doktor udała, że tego nie widzi. Minęłyśmy Joan, która właśnie wychodziła ze swojego pokoju. Rzuciłam jej pogardliwe spojrzenie, więc cofnęła się i zaczekała, aż znikniemy jej z oczu. Gdy dotarłyśmy na koniec korytarza, doktor Nolan wyjęła klucz i otworzyła znajdujące się tam drzwi. Popro-

wadziła mnie na dół do tajemniczego przejścia podziemnego, które było częścią skomplikowanego labiryntu dróg łączących wszystkie pawilony.

Białe kafelkowe ściany, na ciemnym suficie rząd gołych żarówek, jakieś nosze, fotele na kółkach. Syczące, gorące, stukające rury wiły się skomplikowanym wzorem po nieskazitelnie czystych ścianach. Wisiałam na ramieniu doktor Nolan, śmiertelnie przerażona. Ona ściskała od czasu do czasu moją dłoń, żeby mi dodać odwagi.

Wreszcie stanęłyśmy przed zielonymi drzwiami, na których wytłoczono czarnymi literami napis: Elektroterapia. Cofnęłam się, doktor Nolan czekała spokojnie. — No, to skończmy z tym — powiedziałam nagle i weszłyśmy do środka.

W poczekalni znajdował się tylko jakiś starszy mężczyzna w wyświechtanym, brązowym szlafroku i towarzysząca mu pielęgniarka.

— Czy nie chciałabyś usiąść? — Doktor Nolan wskazała na drewnianą ławę, ale nogi miałam jak kłody i bałam się, że kiedy przyjdą po mnie, nie będę mogła wstać.

— Postoję.

Po dłuższym czasie zjawiła się w poczekalni kobieta w białym kitlu, z głową jak trupia czaszka. Byłam pewna, że przyszła po starego w brunatnym szlafroku, który już tu siedział, kiedy weszłam, ale ku mojemu przerażeniu zbliżyła się do mnie.

— Dzień dobry, pani doktor. — Terapeutka wzięła mnie pod rękę. — Czy ty jesteś Esther?

— Tak jest. Esther, pozwól, że ci przedstawię pannę Huey. Ona się tobą zajmie. Mówiłam jej o tobie.

Byłam pewna, że ta kobieta ma co najmniej dwa metry wzrostu. Nachylała się nade mną troskliwie. Miała bardzo wystające zęby, a twarz całą w małych bliznach po trądziku. Wyglądało to jak fotografia powierzchni księżyca.

— Może weźmiemy panią od razu — uśmiechnęła się panna Huey. — Pan Anderson na pewno się zgodzi. Prawda?

Pan Anderson nie odezwał się ani słowem, więc panna Huey objęła mnie ramieniem i razem z doktor Nolan weszłyśmy do sąsiedniego pomieszczenia. Przez zmrużone powieki — bałam się otworzyć szeroko oczy, jak gdyby ten widok mógł mnie przyprawić o śmierć — zobaczyłam wysokie łóżko, okryte białym prześcieradłem, elektryczny aparat przy wezgłowiu. Przy aparacie stała jakaś osoba w białej masce — nie mogłam się zorientować, czy to kobieta, czy mężczyzna — a po obydwu stronach łóżka jeszcze kilka osób także z białymi maskami.

Panna Huey pomogła mi wejść na łóżko i kazała mi się położyć na wznak.

— Niech pani coś powie — zażądałam.

Zaczęła więc mówić cichym, łagodnym głosem, przy tym smarowała mi skronie jakąś maścią, przytwierdzała jakieś obręcze do mojej głowy. — Nic pani nie będzie czuła, absolutnie nic... proszę to nagryźć... o tak... — Włożyła mi coś do ust. Ogarnięta paniką zacisnęłam zęby. Wielka fala ciemności zmyła mnie z powierzchni ziemi, jakbym była kredą na szkolnej tablicy.

Rozdział XVIII

— Esther!

Powoli budziłam się z głębokiego, narkotycznego snu i zobaczyłam majaczącą nade mną twarz doktor Nolan i usta jej, które mówiły: — Esther! Esther!

Niezdarnie przetarłam oczy.

Za panią doktor rysowała się sylwetka jakiejś kobiety, ubranej w wymięty szlafrok w biało-czerwoną kratę. Leżała niedbale na łóżku, jak szmaciana lalka zrzucona z wielkiej wysokości. Nim się zorientowałam, gdzie jestem, doktor Nolan wyprowadziła mnie do ogrodu. Owiało nas świeże, błękitne powietrze wczesnego poranka.

Czułam się cudownie, oczyszczona z lęku, odświeżona i zadziwiająco spokojna. Szklany klosz podniósł się, zawisł wysoko nad moją głową. Czułam na ciele ożywczy powiew łagodnego wiatru.

— No więc, prawda, że było tak, jak powiedziałam? — zapytała doktor Nolan. Wracałyśmy do Belsize'u ścieżką usłaną brunatnymi liśćmi.

— Tak.

— Więc widzisz. Tak będzie za każdym razem. Zapisałam ci elektrowstrząsy trzy razy w tygodniu, we wtorki, czwartki i soboty.

Nabrałam pełne płuca powietrza. — Przez ile tygodni?

— To zależy — powiedziała doktor Nolan. — To zależy od ciebie, no i ode mnie.

Wzięłam do ręki srebrny nożyk i starannie odcięłam czubek jajka. Następnie odłożyłam nożyk na stół i przyjrzałam mu się uważnie. Próbowałam sobie przypomnieć, dlaczego kiedyś bardzo lubiłam noże, ale myśl ta wymknęła się z mojej głowy i pofrunęła jak ptak na sam środek świetlicy.

Joan i Dzidzia siedziały obok siebie na ławeczce przed fortepianem. Dzidzia uczyła Joan palcówek.

Myślałam o tym, jakie to smutne, że Joan ma twarz jak koński pysk, wielkie zęby i wyłupiaste oczy podobne do dwóch szarych kamyków. Byłam pewna, że nie potrafiłaby nawet utrzymać tak mizernej zdobyczy, jak Buddy Willard. A mąż Dzidzi najwidoczniej mieszkał u swojej kochanki, co doprowadzało ją, oczywiście, do wściekłości.

— Dostałam li-i-st! — Joan wsadziła rozczochraną głowę w uchylone drzwi i zajrzała do mojego pokoju.

— No, to się ciesz. — Nie odrywałam oczu od książki. Od czasu, jak skończyła się moja terapia wstrząsowa — po pięciu seansach — i otrzymałam przywilej spacerowania, Joan bzykała dokoła mnie jak zdyszana, gigantyczna końska mucha, jak gdyby można było wyssać z kogoś słodycz rekonwalescencji, jak gdyby się można było zarazić cudzym zdrowiem. Odebrano jej niedawno znów podręczniki fizyki i stosy zakurzonych notatników, które zalegały jej pokój, i zabroniono jej wychodzić poza teren kliniki.

— Nie jesteś ciekawa od kogo?

Wślizgnęła się do mojego pokoju i przysiadła na skraju łóżka. Miałam ochotę powiedzieć, żeby poszła sobie do wszystkich diabłów, krzyknąć, że nie mogę na nią patrzeć, ale jakoś zabrakło mi odwagi.

— No dobrze. — Zaznaczyłam paznokciem miejsce, w którym przerwałam lekturę, i przymknęłam książkę. — No dobrze, więc od kogo?

Wyciągnęła z kieszeni bladoniebieską kopertę i zaczęła nią przekornie wymachiwać.

— Co za zbieg okoliczności — powiedziałam. Podeszłam do biureczka, wzięłam bladoniebieską kopertę i też zaczęłam nią wymachiwać, tak jak macha się chusteczką na pożegnanie. — Ja też dostałam list. Ciekawa jestem, czy od tej samej osoby.

— Jest mu znacznie lepiej — powiedziała Joan. — Wypuścili go już ze szpitala.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Czy zamierzasz wyjść za niego za mąż?

— Nie — odparłam — a ty?

Joan uśmiechnęła się. — Nigdy mi się specjalnie nie podobał.

— Czyżby?

— Bardzo lubię jego rodzinę.

— Czy masz na myśli mamę i papę Willardów?

— Właśnie. — Głos Joan był ostry jak podmuch polarnego wiatru. — Zawsze ich bardzo lubiłam. To szalenie mili ludzie, tacy szczęśliwi, zupełnie odwrotnie niż moi starzy. Często u nich bywałam. Dopóki ty się nie zjawiłaś — dodała.

— Bardzo mi przykro — odparłam i jeszcze: — Skoro ich tak bardzo lubiłaś, to nie trzeba było z nimi zrywać.

— Nie mogłam tam bywać, jak ty zaczęłaś chodzić z Buddym... zresztą, sama nie wiem. To by głupio wyglądało.

— Może i tak — zastanowiłam się.

— Czy zaprosisz go? — dowiadywała się Joan.

— Czy ja wiem...

Pomyślałam, że wizyta Buddy'ego w tej klinice dla umysłowo chorych byłaby rzeczą straszną — najprawdopodobniej zacząłby się od razu kumać z lekarzami, ale po zastanowieniu doszłam do wniosku, że mógłby to być nawet dość rozsądny krok. Mogłabym z nim definitywnie zerwać i wytłumaczyć mu, że nie mam nikogo innego, ale że on, Buddy, nie nadaje się dla mnie, że jestem tego zupełnie pewna.

— A ty? — zapytałam.

— Chyba tak. Może przyjedzie z matką. Wiesz co, zaproszę go z matką...

— Z matką?

— Kiedy powtarzam ci, że ja szalenie lubię panią Willard. To zupełnie nadzwyczajna kobieta. Była dla mnie jak rodzona matka.

Oczami duszy zobaczyłam panią Willard w jej tweedach koloru wrzosu, w półbucikach na płaskich obcasach, wypowiadającą swoje staroświeckie maksymy i sentencje. Pan Willard zachowywał się przy niej jak mały chłopczyk, nawet mówił dziecinnym, piskliwym, precyzyjnym głosem, Joan i pani Willard... Joan i pani Willard...

Tego samego ranka zapukałam do drzwi pokoju Dzidzi, gdyż chciałam pożyczyć od niej nuty pewnej piosenki. Odczekałam kilka chwil i nie słysząc odpowiedzi, weszłam do środka, w przekonaniu, że Dzidzia wyszła i będę mogła wziąć nuty z jej biureczka.

W Belsize'ie, nawet w Belsize'ie, wszystkie drzwi miały wprawdzie zamki, ale pacjentom kluczy nie dawano. Zamknięcie drzwi oznaczało więc, że pacjentka pragnie być sama i traktowano je tak samo, jakby były zaryglowane na klucz. Pukało się dwa razy, a potem się odchodziło. Przypomniałam to sobie dopiero, kiedy już byłam w pokoju Dzidzi. Oczy moje, oślepione jasnością korytarza, powoli przyzwyczajały się do panującego tam mroku.

Wtedy zobaczyłam, że ktoś się unosi na łóżku. Ktoś inny zachichotał. Joan, gdyż była to ona, poprawiała sobie włosy i spojrzała na mnie spode łba swoimi jasnoszanymi, wyłupiastymi oczami. Przy niej leżała Dzidzia. Zielony, wełniany szlafrok odsłaniał jej gołe uda. Patrzyła na mnie z ironicznym uśmieszkiem na wargach. Między palcami jej prawej ręki żarzył się ognik papierosa.

— Ja chciałam tylko... — zaczęłam.

— Wiem — uśmiechnęła się Dzidzia — przyszłaś po nuty.

— Halo, Esther — odezwała się Joan lukrowatym głosem, który mnie przyprawiał o mdłości. — Zaczekaj na mnie. Zagramy na cztery ręce.

A potem dodała niespodzianie: — W gruncie rzeczy nie cierpię Buddy'ego Willarda. Zawsze udawał mądrego, że niby wszystko wie o kobietach...

Spojrzałam na nią. Mimo że jej nie lubiłam, że byłam do niej uprzedzona, fascynowała mnie. Obserwowanie jej można porównać jedynie z obserwacją Marsjanina albo wyjątkowo obrzydliwej ropuchy. Myśli jej były różne od moich, uczucia także zupełnie inne, ale przecież byłyśmy w pewnym sensie podobne do siebie. Jej uczucia i myśli były jak odbicie moich własnych w krzywym zwierciadle.

Czasami zastanawiałam się nad tym, czy ja jej po prostu nie wymyśliłam. Innym razem, jak to jest, że ona nieuchronnie wpływa na moją orbitę w momentach kryzysu, przypominając mi, kim byłam. Nasze losy były ze sobą złączone niewidzialną nicią.

— Nie rozumiem, jak kobiety mogą się ze sobą zadawać — wyznałam tegoż dnia doktor Nolan w czasie naszej codziennej rozmowy. — Czy kobieta może znaleźć w drugiej coś, czego jej nie potrafi dać mężczyzna?

Doktor Nolan pomyślała chwilę i powiedziała: — Może czułość.

Zamilkłam.

— Bardzo cię lubię — powiedziała Joan. — O wiele więcej niż Buddy'ego.

Leżała na moim łóżku z głupawym uśmieszkiem. Przypomniał mi się skandal, jaki wybuchł w naszym college'u, kiedy tłusta seniorka, brzydka jak noc, a na dodatek studentka teologii, zaczęła się trochę za często spotykać z wysoką, głupkowatą studentką pierwszego roku. O tej ostatniej mówiono, że chłopcy, z którymi była umówiona na ślepe randki w sobotnie wieczory, bardzo szybko uciekali od niej. Te dwie dziewczyny po pewnym czasie w ogóle się nie rozstawały, a pewnego dnia zostały podobno przyłapane w pokoiku tłustej w zupełnie niedwuznacznej sytuacji.

— Ale co one robiły? — dopytywałam się. Próbowałam sobie wyobrazić, co robi mężczyzna z kobietą albo co robią ze sobą dwie kobiety, ale nigdy nie starczyło mi na to wyobraźni.

— Milly siedziała na krześle — opowiadała nam koleżanka, która je nakryła — a Teodora leżała na łóżku. Milly głaskała Teodorę po włosach.

Byłam rozczarowana. Spodziewałam się, że nareszcie dowiem się wszystkiego. Zastanawiałam się nad tym, czy kobiety zawsze tylko leżą i głaszczą się nawzajem.

Słynna poetka, ucząca w naszym college'u, mieszkała — wszyscy o tym wiedzieli — ze swoją kochanką, ostrzyżoną na chłopczycę, przysadzistą, starzejącą się profesorką historii starożytnej. Kiedy zwierzyłam się poetce, że zamierzam w przyszłości wyjść za mąż i zafundować sobie kupę dzieci, spojrzała na mnie z obrzydzeniem i krzyknęła: — A co będzie z twoją pracą?

Rozbolała mnie głowa. Dlaczego tyle brzydkich, starych bab ma do mnie słabość? Bo oprócz słynnej poetki była przecież jeszcze Filomena Guinea i Jotka, i dama z Christian Science, i Bóg wie kto jeszcze. Każda z nich chciała się mną w taki czy inny sposób opiekować i wszystkie pragnęły, żebym za to w przyszłości była taka jak one.

— Bardzo cię lubię.

— A szkoda — powiedziałam i wzięłam książkę. — A szkoda, bo widzisz, ja ciebie niestety nie. Powiem ci więcej. Na twój widok robi mi się po prostu niedobrze.

I wyszłam z pokoju. Joan została na łóżku, rozłożona w poprzek, niezgrabnie, jak głupi, stary koń.

Siedziałam w poczekalni i zastanawiałam się, czy nie uciec, zanim mnie zawołają. Wiedziałam, że to, co robię, jest nielegalne — przynajmniej w stanie Massachussetts,

zamieszkanym prawie wyłącznie przez katolików — ale doktor Nolan zapewniła mnie, że lekarz jest jej przyjacielem i bardzo mądrym człowiekiem.

— Co pani dolega? — wypytywała sprawna recepcjonistka w nieskazitelnej bieli i odfajkowała moje nazwisko na długiej liście.

— Nie rozumiem? — Wyobrażałam sobie, że takie pytania może stawiać jedynie i wyłącznie lekarz, szczególnie że w poczekalni siedziało mnóstwo osób czekających na innych lekarzy, którzy przyjmowali w tym samym lokalu. Były to przeważnie ciężarne kobiety albo matki z dziećmi. Czułam ich wzrok na moim płaskim, dziewczęcym brzuchu.

Recepcjonistka spojrzała na mnie ze zdziwieniem, a ja zarumieniłam się jak głupia.

— Chodzi pewnie o dopasowanie pesarium. — Głos miała sympatyczny, życzliwy. — Pytam tylko dlatego, że chcę się zorientować, ile pani policzyć za wizytę. Pani jest studentką, prawda?

— Tak.

— W takim razie płaci pani tylko połowę. Pięć dolarów zamiast dziesięciu. Czy mam od razu wystawić rachunek?

Chciałam jej podać mój adres domowy, gdzie rachunek prawdopodobnie by mnie już zastał, ale zaraz przypomniałam sobie, że matka na pewno otworzy kopertę i zorientuje się, o co chodzi. Miałam jeszcze jeden adres, a mianowicie numer skrytki pocztowej, której używali wszyscy pacjenci zakładów dla psychicznie chorych, ponieważ nie chcieli, żeby ludzie wiedzieli, gdzie się znajdują. Ale przyszło mi do głowy, że recepcjonistka może się zorientować po numerze skrzynki, o co chodzi, więc odpowiedziałam szybko: — Chyba zapłacę na miejscu — i odliczyłam pięć banknotów jednodolarowych. Te pięć dolarów to była część sumy, jaką przysłała mi Filomena Guinea z okazji mojego ozdrowienia. Nie byłam pewna, co by sobie pomyślała, gdyby się dowiedziała, jak wykorzystałam jej hojny dar.

Bo Filomena Guinea nawet nie wiedziała o tym, że zafundowała mi wolność.

— Nie mogę znieść myśli o tym — zwierzyłam się doktor Nolan — że mogłabym stać się kiedyś całkowicie zależna od jakiegoś mężczyzny. Mężczyźni nie muszą się bać, a ja mam wrażenie, że nad moją głową stale wisi gruby kij w postaci strachu przed ciążą.

— Czy sądzisz, że byłoby ci lepiej, gdybyś się nie musiała bać ciąży?

— O tak — odparłam — ale... — i opowiedziałam doktor Nolan o zamężnej adwokatce i jej Teorii Czystości.

Doktor Nolan zaczekała, aż skończę, potem roześmiała się i krzyknęła: — Zwykła propaganda! — i wypisała nazwisko i adres tego doktora na kartce wyrwanej z bloczku receptowego.

Nerwowo przeglądałam numer pisma pod tytułem „Nasze Dziecko". Patrzyły na mnie okrągłe, uśmiechnięte twarzyczki niemowląt — strona za stroną — łyse niemowlęta, czekoladowe niemowlęta, niemowlęta podobne do Eisenhowera, niemowlęta przekręcające się po raz pierwszy na bok, niemowlęta sięgające po grzechotki, niemowlęta zjadające pierwszą łyżkę kaszki, jednym słowem, niemowlęta czyniące krok za krokiem kolejne postępy, które składają się na duży skok w życie.

W nozdrzach czułam woń pożywki mącznej, skwaśniałego mleka, lekko tranowy zapach pieluszek i ogarniał mnie smutek, rozrzewnienie i melancholia. Siedzące dokoła mnie kobiety rodziły dzieci, tak jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie. Czemu ja nie mam prawie żadnego instynktu macierzyńskiego? Dlaczego jestem inna? Dlaczego nie potrafię oddawać się marzeniom o gromadzie rozkosznych, gaworzących maluchów?

Byłam pewna, że gdyby przyszło mi zajmować się przez cały Boży dzień małym dzieckiem, oszalałabym do reszty.

Przyjrzałam się uważnie dziecku siedzącemu na kola-

nach matki dokładnie naprzeciwko mnie. Nie miałam pojęcia, w jakim jest wieku — nic się na tym nie znam — być może potrafi gadać jak najęte i posiada dwadzieścia zębów trzonowych w tej swojej różowej gębusi. Główka trzymała mu się równo — zdawało się w ogóle nie mieć szyi — a oczka wpatrywały się we mnie z platońską wręcz mądrością.

Matka dziecka nie przestawała się uśmiechać i trzymała je na kolanach z taką dumą, jak gdyby było ósmym cudem świata. Próbowałam zrozumieć przyczynę wzajemnego zadowolenia, jakie promieniowało z tej matki i tego dziecka, ale zanim doszłam do jakichkolwiek wniosków, doktor zaprosił mnie do gabinetu.

— Pani przyszła na dopasowanie pesarium — odezwał się dziarskim głosem i z ulgą skonstatowałam, że nie będzie stawiał niezliczonej liczby niepotrzebnych pytań. Wymyśliłam sobie przedtem na jego użytek całą historyjkę, jak to zamierzam wyjść za marynarza, którego statek znajduje się jeszcze na morzu, ale ma powrócić do Charlestown lada dzień, że nie mam pierścionka zaręczynowego, ponieważ jesteśmy zupełnie bez pieniędzy, ale zrezygnowałam z tej całej bzdury i po prostu odpowiedziałam: — Tak.

Wlazłam na fotel ginekologiczny, a w mojej głowie tkwiła już tylko jedna myśl: — Zaraz będę wolna, będę wolna od strachu, od małżeństwa z pierwszym lepszym facetem, takim jak chociażby Buddy Willard, od małżeństwa dla samego seksu. Nie muszę się tego już bać, że skończę jak nieszczęsne dziewczyny, które tylko dlatego, że nie umiały się zabezpieczyć, znalazły się w przytułku imienia Florence Crittenden...

Kiedy wreszcie wracałam autobusem do kliniki, trzymałam na kolanach niewielką paczuszkę, owiniętą w papier. Wyglądałam zapewne jak każda inna mieszkanka Bostonu, powracająca po całodziennych zakupach z tortem od Schrafftsa albo z nowym kapeluszem, nabytym w domu towarowym Filene. Powoli opuszczała mnie wiara w to, że wszyscy

katolicy mają rentgenowski wzrok i wiedzą, jaki człowiek jest w środku. Pomyślałam, że dobrze wykorzystałam dzisiaj przywilej chodzenia na zakupy.

Byłam teraz kowalem własnego losu.

Następny krok — to znalezienie odpowiedniego mężczyzny.

Rozdział XIX

— Zamierzam zostać psychiatrą.

Joan powiedziała to z właściwym jej niegdyś entuzjazmem. Siedziałyśmy w świetlicy pawilonu Belsize i popijałyśmy jabłecznik.

— To bardzo ładnie z twojej strony — odparłam sucho.

— Miałam długą rozmowę z doktor Quinn i, jej zdaniem, jest to zupełnie możliwe. — Doktor Quinn, lekarka bystra, inteligentna i niezamężna, opiekowała się Joan. Jestem zupełnie pewna, że gdyby przydzielono mnie od początku do niej, to nie wyszłabym do dzisiejszego dnia z pawilonu Caplan, a może nawet i z Wymarku. Pani doktor Quinn odznaczała się raczej abstrakcyjnym sposobem myślenia, który ogromnie odpowiadał charakterowi Joan, a mnie przyprawiał o dreszcz grozy.

Joan gadała trzy po trzy, o *ego* i *id*, a ja wędrowałam myślami po zupełnie innych rejonach. Myślałam o brązowej paczce, schowanej w dolnej szufladzie mojej komody. Z doktor Nolan nigdy nie rozmawiałyśmy o żadnym tam *ego* czy *id*, nawet trudno by było dokładnie powiedzieć, o czym rozmawiałyśmy.

— ...Będę odtąd mieszkała poza szpitalem.

— Gdzie? — zapytałam, usiłując ukryć zazdrość.

Doktor Nolan zawiadomiła mnie, że za jej poręką college zgodził się przyjąć mnie znowu od drugiego semestru, że będę dalej korzystała ze stypendium Filomeny Guinea, ale

ponieważ lekarze nie chcieli się zgodzić na to, żebym zamieszkała z matką, musiałam pozostać w klinice do chwili rozpoczęcia zajęć.

Joan zdystansowała mnie więc. Odczułam to jako krzywdę.

— Gdzie? — powtórzyłam. — Przecież nie pozwolą ci zamieszkać zupełnie samej? — Dopiero kilka dni temu zwrócono Joan przywilej jeżdżenia do miasta.

— Pewnie że nie. Zamieszkam w Cambridge u siostry Kennedy. Jej współlokatorka właśnie wyszła za mąż, a ona szuka nowej.

— No, to zdrowie. — Uniosłam szklaneczkę z jabłecznikiem. Stuknęłyśmy się. Mimo wielu zastrzeżeń, zawsze będę lubiła Joan. Losy nasze splatały się, jak gdyby przyciągał nas do siebie wielki magnes wydarzeń — wojna czy epidemia cholery — a poza tym żyłyśmy we wspólnym, wyobcowanym świecie.

— Kiedy stąd wychodzisz?

— Pierwszego.

— To pięknie.

— Ale będziesz wpadała w odwiedziny?

— Naturalnie — powiedziałam, a pomyślałam: Na pewno nie.

— To boli — syknęłam. — Czy to powinno boleć?

Irwin nie odpowiadał, odezwał się dopiero po chwili: — Podobno czasami boli.

Poznałam Irwina na stopniach Biblioteki Widenera. Stałam na samym szczycie wysokich kamiennych schodów, z których rozciągał się widok na ceglaste budynki uniwersyteckie, otaczające wielki dziedziniec. Zamierzałam niedługo wrócić trolejbusem do kliniki. Młody, wysoki student o dość inteligentnej, ale brzydkiej twarzy i w okularach na nosie podszedł do mnie i zapytał: — Czy nie wie pani, która godzina?

— Pięć po czwartej — odpowiedziałam, spojrzawszy na zegarek.

Student przełożył pakę książek, które niósł przed sobą jak tacę, i odsunął rękaw kurtki, odsłaniając kościsty przegub.

— Ale przecież pan ma zegarek!

Spojrzał na ten swój zegarek i skrzywił się. — Mam, ale nie chodzi. — Uśmiechnął się niemal zalotnie. — Dokąd pani idzie?

O mały włos nie powiedziałam: — Wracam do kliniki. — Ale facet wyglądał dość obiecująco, więc odparłam: — Do domu.

— Nie napiłaby się pani przedtem kawy?

Zawahałam się. Miałam być w klinice na siódmą, a nie chciałam się spóźnić, żeby nie zepsuć sobie opinii na sam koniec kuracji.

— Dobrze, ale to będzie krótka kawa.

Postanowiłam wypróbować na tym studencie swoje nowe, ozdrowione ja, ale się trochę wahałam. Tymczasem on zdążył mi już powiedzieć, że nazywa się Irwin, żebym mu mówiła po imieniu i że jest dobrze płatnym profesorem matematyki. Wreszcie powiedziałam: — No, zgoda — i ruszyliśmy oblodzonym chodnikiem. Z trudem dotrzymywałam mu kroku, bo miał wyjątkowo długie nogi.

Dopiero kiedy obejrzałam kawalerkę Irwina, postanowiłam się z nim przespać.

Mieszkał w dość ciemnym, ale wygodnym mieszkanku w suterenie na jednej z bardziej zaniedbanych uliczek Cambridge. Zawiózł mnie tam po trzech filiżankach gorzkiej kawy w studenckiej kawiarni — na piwo, powiedział. Zasiedliśmy w dwóch głębokich, skórzanych fotelach, otoczeni stosami zakurzonych książek, zawierających tajemnicze formuły matematyczne, ułożone jak wiersze.

Powoli piłam pierwszą szklankę piwa, powoli, gdyż nie lubię zimnego piwa zimą. Przyjęłam ten poczęstunek tylko jako pretekst wizyty. Prawie natychmiast po naszym przyjściu odezwał się dzwonek u drzwi.

Irwin jakby się lekko speszył.

— To jest chyba pewna dama — oświadczył.

Miał ten dziwny zwyczaj. Mówił o kobietach „damy".

— To fajnie — roześmiałam się — zaproś ją też na piwo.

Irwin potrząsnął głową: — Nie, twój widok mógłby jej sprawić przykrość.

Uśmiechnęłam się do mojego bursztynowego piwka.

Dzwonek u drzwi zabrzmiał po raz drugi, trochę bardziej niecierpliwie. Irwin westchnął, wstał i poszedł otworzyć. Gdy tylko wyszedł z pokoju, zerwałam się, podbiegłam do łazienki i uchyliwszy brudne weneckie zasłony, wyjrzałam na ulicę.

Stała tam tęga, piersiasta dziewczyna o wybitnie słowiańskim wyglądzie. Ubrana była w gruby sweter z naturalnej owczej wełny, fioletowe spodnie, kozaczki na wysokim obcasie z mankietami z karakułów, a na głowie miała karakułowy toczek. Z ust jej wydobywał się biały chuch, wyrzucała jakieś szybkie zdania w zimowe powietrze. Słyszałam tylko to, co mówił Irwin.

— Bardzo mi przykro, Olgo... ale muszę pracować... nie, nie, dzisiaj nic z tego nie wyjdzie, Olgo — mówił, ale przez cały czas czerwone wargi dziewczyny poruszały się, a słowa jej, zamienione w białą parę, odlatywały, by zniknąć w gałęziach nagiego krzaku bzu, rosnącego przed gankiem. Wreszcie usłyszałam: — Może, Olgo... do widzenia, Olgo...

Z szacunkiem i podziwem przyglądałam się kolosalnemu biustowi Słowianki, która powoli schodziła po skrzypiących drewnianych schodkach. Bezkresna, syberyjska gorycz malowała się na jej dużej, jaskrawo wymalowanej twarzy.

— Ty pewnie masz całe zastępy kochanek! — zawołałam wesoło i wbiłam ostry widelczyk w ślimaka. Siedzieliśmy w jednej z licznych, nachalnie francuskich restauracyjek, jakich pełno w Cambridge.

— Mam, że tak powiem — odparł Irwin ze skromnym uśmieszkiem — niejakie powodzenie u dam.

Podniosłam do ust pustą skorupę po spożytym przed chwilą ślimaku i wypiłam trawiastozielony płyn. Nie miałam pojęcia, czy tak się właśnie je ślimaki, ale po kilku miesiącach moralnie obojętnego jedzenia szpitalnego zachciało mi się pachnącego czosnkiem masła.

Zadzwoniłam przedtem z automatu do doktor Nolan i poprosiłam ją o zezwolenie na zanocowanie w Cambridge u Joan. Nie miałam, rzecz jasna, pojęcia, czy Irwin zaprosi mnie do siebie po kolacji, ale przypuszczałam, że spławienie słowiańskiej damy, która jak się okazało, była żoną innego profesora — rokuje dobre nadzieje.

Odchyliłam głowę i duszkiem wypiłam duży kieliszek Nuits St. Georges.

— Widzę, że lubisz wino — zauważył Irwin.

— Tylko Nuits St. Georges... Zawsze wyobrażałam sobie wówczas świętego Jerzego ze smokiem.

Irwin sięgnął po moją dłoń.

Postanowiłam już dawno, że pierwszy mężczyzna, z którym się prześpię, musi być bardzo inteligentny. Irwin miał zaledwie dwadzieścia sześć lat i był profesorem zwyczajnym. Miał bladą, anemiczną cerę genialnych chłopców. Potrzebny mi był także ktoś doświadczony, by zrekompensować mój własny brak wyrobienia w tych sprawach, a Irwin cieszył się powodzeniem u dam. Poza tym po to, żeby się nie zaplątać w coś poważniejszego, chciałam to załatwić z zupełnie nieznajomym człowiekiem, z którym nie musiałabym utrzymywać w przyszłości żadnych towarzyskich stosunków. Jednym słowem, ze stworem bezosobowym, podobnym do kapłana, który odprawiłby na mnie ceremonialny rytuał, jak w opowieściach o obyczajach prymitywnych szczepów.

Pod koniec wieczoru doszłam do przekonania, że Irwin spełnia wszystkie te warunki.

Od momentu, w którym przekonałam się, że Buddy Willard jest fałszywy, moje dziewictwo ciążyło mi jak kula

u nogi. Przez tyle lat wmawiano mi, że cnota ma kolosalne znaczenie, więc nauczyłam się jej bronić i chronić jak oka w głowie. Broniłam jej już od dobrych pięciu lat i miałam tego powyżej uszu.

Ale dopiero kiedy wróciliśmy do mieszkania Irwina, a on porwał mnie w ramiona i zaniósł, oszołomioną i pełną wina, do ciemnej jak jaskinia sypialni, szepnęłam: — Irwin, lepiej żebyś wiedział, że jestem dziewicą.

Irwin roześmiał się i rzucił mnie na łóżko.

W kilka minut później wydał z siebie okrzyk zdziwienia. Oczywiście nie uwierzył w to moje dziewictwo. Winszowałam sobie tego, że jeszcze za dnia nałożyłam co trzeba, gdyż w moim obecnym zamroczonym stanie na pewno nie zdobyłabym się na dokonanie tak precyzyjnego, ale koniecznego zabiegu. Leżałam więc naga i szczęśliwa na szorstkim kocu Irwina i czekałam, żeby nareszcie spełnił się od tak dawna oczekiwany cud.

Poczułam jednakże tylko przykry i niespodzianie dotkliwy ból.

— To boli! — zawołałam. — Czy to powinno boleć?

Irwin milczał i dopiero po chwili powiedział: — Podobno czasami boli.

Po pewnym czasie Irwin podniósł się z łóżka, poszedł do łazienki i puścił prysznic. Nie byłam pewna, czy już skończył swoje, czy też przeszkodziła mu w tym moja dziewicza błona. Chciałam go zapytać, czy już przestałam być dziewicą, ale było mi głupio. Jakaś ciepła ciecz spływała mi po udach. Uniosłam się nieco i przesunęłam ręką po udzie.

W świetle dochodzącym przez szklane drzwi łazienki, spostrzegłam, że mi czubki palców poczerwieniały.

— Irwin — zawołałam w panice. — Przynieś mi ręcznik.

Irwin powrócił do sypialni owinięty grubym prześcieradłem kąpielowym i rzucił mi ręcznik na brzuch. Wsunęłam go natychmiast pomiędzy nogi, a gdy go odchyliłam, okazało się, że jest niemal zupełnie przesiąknięty krwią.

— Krwawię — oświadczyłam i usiadłam na łóżku.

— To się często zdarza — uspokajał mnie Irwin. — Zaraz ci przejdzie.

Przypomniały mi się różne powieści o zaplamionych prześcieradłach w poślubne noce i o kapsułkach z czerwonym atramentem, stosowanym przez podstępne oblubienice. Zastanawiałam się nad tym, jak długo będę krwawiła, i leżałam bardzo spokojnie, z ręcznikiem między nogami. Zrozumiałam, że ta krew jest odpowiedzią na moje pytanie. Nie jestem już na pewno dziewicą, mówiłam sobie i uśmiechałam się w ciemnościach. Czułam się spadkobierczynią wiekowej tradycji.

Założyłam świeży ręcznik i postanowiłam, że jak skończy się krwawienie, wstanę i złapię ostatni trolejbus do kliniki. Chciałam się w ciszy i spokoju oddać rozmyślaniom nad moim nowym stanem. Ale i drugi ręcznik szybko przesiąknął krwią.

— Myślę — powiedziałam słabym głosem — że chyba powinnam wrócić do domu.

— Może nie tak od razu.

— Może jednak lepiej.

Poprosiłam Irwina o pożyczenie mi ręcznika i wepchnęłam go sobie dobrze pomiędzy nogi, jak bandaż. Następnie nałożyłam z powrotem przepoconą odzież. Irwin zaproponował, że mnie odwiezie, ale nie chciałam, żeby wiedział, gdzie mieszkam, więc sięgnęłam do torebki po adres Joan. Irwin orientował się, gdzie to jest, i wyszedł, żeby zapuścić motor. Nie chciałam mu powiedzieć, że krwawienie nie ustaje. Łudziłam się nadzieją, że skończy się niedługo.

Ale podczas gdy samochód Irwina sunął przez zaśnieżone, puste ulice, krew uchodziła ze mnie coraz szybciej, przesiąkała przez ręcznik, przez spódnicę i przez siedzenie wozu.

Zwolniliśmy wreszcie na cichej uliczce i powoli mijaliśmy małe, identyczne domki. Myślałam o tym, jak dobrze się stało, że nie zdecydowałam się na stracenie cnoty w college'u czy w domu matki.

Joan otworzyła mi drzwi. Była mile zaskoczona moim widokiem. Irwin pocałował mnie w rękę i polecił opiece przyjaciółki.

Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie plecami. Czułam, jak krew odpływa mi od głowy szerokim, ciągłym strumieniem.

— Ależ Esther! — krzyknęła Joan. — Co się z tobą dzieje?

Nie byłam pewna, czy Joan zauważyła krew, która spływała mi po nogach i powoli wlewała się do pantofli. Pomyślałam, że nawet gdybym umierała od rany rewolwerowej, Joan gapiłaby się na mnie tymi swoimi wyłupiastymi oczami, jakby się spodziewała, że poproszę o filiżankę kawy albo sandwicza.

— Czy ta twoja pielęgniarka jest w domu?

— Nie, ma nocny dyżur w Caplanie.

— To dobrze — skrzywiłam się, bo poczułam nowy przypływ pulsującej krwi na udach. — A raczej niedobrze.

— Bardzo dziwnie wyglądasz — stwierdziła Joan.

— Czy mogłabyś zadzwonić po lekarza?

— Ale dlaczego?

— Pospiesz się.

— Ale...

Jeszcze nic nie zauważyła.

Nachyliłam się więc i zdjęłam jeden z moich podniszczonych pantofelków od Bloomingdale'a. Podsunęłam go pod wyłupiaste oczy Joan, przechyliłam i z satysfakcją zanotowałam jej przerażenie, kiedy ciemny strumień krwi rozlał się wielką kałużą na beżowy dywan.

— Mój Boże! Co to jest?

— Mam krwotok.

Joan zawlokła mnie na kanapę i podsunęła mi kilka poduszek pod zakrwawione nogi. Następnie odsunęła się nieco i zapytała:

— Co to za facet?

Przez krótki, obłąkany moment zdawało mi się, że Joan

nie zadzwoni po lekarza, dopóki nie opowiem jej mojej przygody z Irwinem, a potem za karę odmówi wezwania pomocy. Ale nic podobnego. Uwierzyła mi. Nie wpadło jej nawet do głowy, że mogłam pójść z Irwinem do łóżka. Jego zjawienie się po protu osłabiło nieco satysfakcję, jaką odczuła z powodu mojej wizyty.

— Nikt — machnęłam słabo ręką. Znowu skurcz i fontanna świeżej krwi. Przestraszyło mnie to. — Daj mi świeży ręcznik.

Joan wyszła i natychmiast powróciła z naręczem ręczników i prześcieradeł. Ruchem wytrawnej pielęgniarki ściągnęła ze mnie zakrwawione ubranie, syknęła, kiedy zobaczyła zupełnie czarny ręcznik i opatrzyła mnie na nowo. Leżałam jak mogłam najspokojniej, starając się zwolnić bicie serca, gdyż przy każdym uderzeniu pulsu wypływał ze mnie strumień świeżej krwi.

Przypomniałam sobie cykl wykładów o powieści wiktoriańskiej, w której niezliczone kobiety, blade i zrezygnowane, umierały w połogu, w potokach nie dającej się zahamować krwi. Być może Irwin skaleczył mnie w jakiś tajemniczy i groźny sposób i jestem umierająca.

Joan przysunęła do stolika indiański taboret i zaczęła po kolei, według listy w książce telefonicznej, dzwonić do lekarzy. Pierwszy numer w ogóle się nie zgłaszał. Kiedy wreszcie uzyskała połączenie, zaczęła tłumaczyć, o co chodzi, ale po chwili powiedziała: — Rozumiem — i odłożyła słuchawkę.

— Co jest?

— Powiedział, że chodzi tylko do swoich pacjentów albo gdy grozi niebezpieczeństwo życiu. Jest niedziela.

Usiłowałam zobaczyć, która godzina, ale ręka moja była ciężka jak kłoda i nie mogłam jej podnieść. Niedziela — raj dla lekarzy! Lekarze na piknikach, lekarze na plażach, lekarze z kochankami, lekarze z żonami, lekarze na jachtach, lekarze na polach i w lasach. W niedzielę starali się intensywnie być po prostu ludźmi, a nie lekarzami.

— Na litość boską! — zawołałam. — Powiedz mu, że grozi mi niebezpieczeństwo!

Trzeci numer nie odpowiadał. Czwarty odezwał się, ale z chwilą, kiedy Joan zaczęła wyjaśniać, że chodzi o menstruację, odwieszono bezlitośnie słuchawkę. Zaczęła płakać.

— Posłuchaj, Joan — powiedziałam spokojnie. — Zadzwoń do jakiegoś szpitala. Powiedz, żeby przysłali karetkę. Będą mnie musieli zabrać.

Joan uspokoiła się i wykręciła numer najbliższego szpitala z ostrym dyżurem. Powiedziano jej, że zajmą się mną, ale muszę przyjechać sama. Joan zatelefonowała po taksówkę.

Uparła się, że pojedzie ze mną. Przytrzymywałam oburącz grubą warstwę ręczników, a szofer taksówki, przejęty adresem, jaki podała mu Joan, pędził jak szalony, ścinając zakręty wąskich uliczek, nad którymi wstawał już świt. Zajechał przed bramę ostrego dyżuru naprawdę po kawalersku.

Joan została, żeby zapłacić, a ja pospiesznie udałam się do dużego, jaskrawo oświetlonego ambulatorium. Zza białego parawanu wyłoniła się pielęgniarka, a ja opowiedziałam jej szybko, w kilku słowach, na czym polega mój problem, tak że gdy w drzwiach stanęła Joan i zaczęła rozglądać się po pokoju tymi swoimi wypukłymi oczami krótkowzrocznej sowy, pielęgniarka wiedziała już o wszystkim.

Po chwili wszedł lekarz dyżurny, pielęgniarka pomogła mi wdrapać się na stół lekarski i szepnęła coś lekarzowi do ucha. Ten kiwnął głową i zaczął zdejmować ze mnie przesiąknięte ręczniki. Zbadał mnie jednym palcem. Joan stała przy mnie i trzymała mnie mocno za rękę, nie wiem, czy żeby uspokoić mnie, czy też siebie.

— Au! — syknęłam w pewnym momencie, bo mnie naprawdę mocno zabolało.

Lekarz gwizdnął.

— Jedna na milion — powiedział.

— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że coś podobnego zdarza się jednej kobiecie na milion.

Szepnął coś pielęgniarce, a ta pospiesznie wyciągnęła z szafki gazę i kilka metalowych instrumentów.

— Widzę dokładnie — oświadczył lekarz — gdzie jest przyczyna krwotoku.

— Czy może pan coś na to poradzić?

Roześmiał się: — Oczywiście!

Obudziło mnie pukanie do drzwi. Było dobrze po północy, w całej klinice panowała grobowa cisza. Nie miałam pojęcia, kto mógłby się jeszcze kręcić po gmachu.

— Proszę! — zawołałam i zapaliłam nocną lampkę.

W drzwiach ukazała się inteligentna, bystra twarz pani doktor Quinn. Spojrzałam na nią ze zdumieniem, bo chociaż znałam ją dobrze z widzenia i kłaniałyśmy się sobie na korytarzach kliniki, to nigdy nie zamieniłam z nią jednego słowa.

— Czy mogłabym wejść na minutę? — zapytała.

Skinęłam głową.

Doktor Quinn zamknęła za sobą starannie drzwi. Była, jak zwykle, w świetnie skrojonym granatowym kostiumie i białej bluzce.

— Przykro mi, że panią budzę o tak późnej porze, moja droga, ale jestem pewna, że zechce nam pani pomóc. Chodzi o Joan.

Przez chwilę obawiałam się, że doktor Quinn zaraz mnie oskarży o to, że z mojej winy Joan musiała powrócić do kliniki. Wciąż nie byłam pewna, czy Joan zorientowała się, co działo się ze mną tamtego wieczoru, ale w kilka dni po naszej nocnej wizycie w ambulatorium musiała znów powrócić do Belsize'u, z tym że zostawiono jej przywilej wychodzenia na miasto.

— Zrobię, co tylko w mojej mocy — przyrzekłam doktor Quinn.

Pani doktor siadła na krawędzi mojego łóżka i przybrała poważny wyraz twarzy. — Musimy ją znaleźć. Czy pani nie wie, dokąd ona mogła pójść?

Trzeba się całkowicie odciąć od Joan, pomyślałam.

— Nie mam zielonego pojęcia — odparłam bardzo chłodnym tonem. — A co, nie ma jej w pokoju?

Było już dobrze po regulaminowej godzinie powrotu do kliniki.

— Nie. Joan dostała po południu przepustkę do Bostonu, bo chciała iść do kina, i jeszcze nie wróciła.

— A z kim pojechała?

— Sama. — Pani doktor Quinn milczała przez chwilę. — Czy pani nie wie, u kogo ona mogłaby nocować?

— Na pewno niedługo wróci. Może się gdzieś zasiedziała. — Ale prawdę mówiąc, nie miałam pojęcia, gdzie można by się w Cambridge zasiedzieć do północy.

— Ostatni trolejbus przyjechał godzinę temu.

— Może wróci taksówką.

Doktor Quinn westchnęła.

— Czy dzwoniła pani do siostry Kennedy, u której Joan mieszkała?

Doktor Quinn skinęła głową.

— A do rodziny?

— Na pewno nie pojechałaby do rodziny... ale i tam telefonowaliśmy.

Posiedziała jeszcze przez chwilę, jakby chciała wymusić zeznania z milczących ścian mojego pokoju. — No cóż, zrobimy wszystko, co w naszej mocy — powiedziała wreszcie, wstała i wyszła.

Zgasiłam lampę i usiłowałam usnąć, ale uśmiechnięta, oderwana od reszty ciała twarz Joan kołysała się przed moimi oczyma, nierealna jak uśmiechnięta głowa kota z *Alicji w Krainie Czarów*. Kilka razy zdawało mi się, że słyszę jej głos, dochodzący z krzaków pod oknami, ale to tylko wiatr szumiał w drzewach szpitalnego ogrodu...

Nastał mroźny świt. Po raz drugi zbudziło mnie pukanie do drzwi.

Tym razem wstałam i otworzyłam je.

Doktor Quinn stała przede mną na baczność, jak mały, dzielny sierżancik.

— Uważam, że powinnam to osobiście pani powiedzieć — zaczęła. — Joan została odnaleziona.

Pasywna forma tego zdania zmroziła mi krew w żyłach.

— Gdzie?

— W lasku koło zamarzniętego stawu...

Otworzyłam usta, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk.

— Jeden z pielęgniarzy natknął się na nią przed chwilą, w drodze do pracy...

— Chyba nie...

— Joan nie żyje — powiedziała doktor Quinn. — Powiesiła się na drzewie.

Rozdział XX

Świeży śnieg pokrywał teren kliniki — żaden tam lekki puszek, jak to bywa na Boże Narodzenie, ale porządny styczniowy całun, dobre dwa metry. Szkoły, kościoły i urzędy musiały zawiesić działalność, pozostawiając w rejestrach i kalendarzach zajęć dwie, trzy puste strony.

Miałam tylko jeszcze przejść przez komisję lekarską, a potem czarna limuzyna Filomeny Guinea zawiezie mnie przed wielkie, żelazne, kute wrota mojej uczelni.

Serce zimy.

Całe Massachussetts pogrążone w marmurowej ciszy. Wyobrażam sobie lukrowane wioski, wyjęte prosto z obrazków babci Moses, zamarznięte połacie bagien upstrzonych dygocącymi na wietrze ostami. Stawy, gdzie pod grubą taflą lodu śpią żaby i ropuchy.

Wiedziałam jednak, że pod tą na pozór nieskazitelną i gładką powierzchnią wszystko pozostało bez zmian i że zamiast podziwiać Europę, Marsa czy chociażby San Francisco, będę musiała na wiosnę uczyć się znowu na pamięć tego starego krajobrazu, jego pagórków, lasów i stawów. Po sześciomiesięcznej przerwie będę musiała podjąć życie w tym samym punkcie, w którym je, w tak gwałtowny sposób, opuściłam.

Wszyscy oczywiście będą wiedzieli, skąd wracam.

Doktor Nolan powiedziała mi szczerze, że niektórzy ludzie będą się do mnie odnosić z rezerwą, znajdą się nawet

tacy, którzy mnie będą unikali, jak unika się trędowatych, potrząsających grzechotką. Wyobrażałam sobie twarz matki — blady księżyc ze zbolałym wyrazem twarzy — taką, jaką pamiętam z jej ostatniej wizyty w dniu moich dwudziestych urodzin. Córka zamknięta w zakładzie dla psychicznie chorych! Ciężki jej los i to wszystko z winy córki! Postanowiła mi jednak wybaczyć moje ciężkie grzechy.

— Zaczniemy nowe życie, jakby się nic nie stało — powiedziała wówczas z tym swoim boleściwym uśmiechem. — Niech nam się zdaje, że to był tylko zły sen.

Zły sen!

Dla człowieka siedzącego pod szklanym kloszem, znieczulonego na wszystko, zatrzymanego w rozwoju jak embrion w spirytusie, całe życie jest jednym wielkim, złym snem.

Zły sen!

Pamiętam zwłoki w prosektorium i Doreen, i historię z drzewem figowym, i brylant Marka, i marynarza na Rynku, i straszną pielęgniarkę doktora Gordona, stłuczone termometry, i Murzyna podającego nam dwa rodzaje fasoli, i te dziesięć kilogramów, które przybyło mi od insuliny, i skałę, co sterczała pomiędzy niebem a morzem jak ogromna, szara trupia czaszka.

Jakże dobrze byłoby, gdyby na to wszystko mogło spaść zapomnienie jak wielki całun śniegu.

Ale te przeżycia stały się częścią mojej istoty. Są krajobrazem, w ramach którego przyszło mi żyć.

— Jakiś pan do pani.

Uśmiechnięta siostrzyczka w białym czepku na głowie stanęła w drzwiach i przez jedną nieprzytomną chwilę zdawało mi się, że już jestem w college'u. Tyle że pokój był inny. Białe mebelki, przed oknami białe drzewa i pola, o ileż wszystko tu było elegantsze i ładniejsze od tamtych obdrapanych gratów, od widoku na ciemne podwórze.

— Jakiś facet do ciebie! — powiedziała także kiedyś dyżurna koleżanka w college'u, wzywając mnie do holu.

Czym różniłyśmy się właściwie, pacjentki z Belsize'u od tamtych dziewcząt? I one grały w brydża, zagłębiały się w podręcznikach i plotkowały namiętnie w świetlicy college'u. Miałam tam niebawem powrócić. Przecież każda z nich tkwiła pod własnym szklanym kloszem.

— Proszę wejść! — zawołałam i do pokoju wkroczył Buddy Willard, trzymając w ręku wojskową czapkę.

— To ty, Buddy? — zawołałam.

— To ja.

Staliśmy i gapiliśmy się na siebie. Czekałam na to, czy obudzi się we mnie jakieś chociażby najmniejsze echo dawnego uczucia. Ale nie. Nic, poza beznadziejną, życzliwą nawet, nudą. Buddy, cały w kolorze khaki, wydawał mi się jakiś mniejszy niż dawniej i dziwnie daleki. Przypomniały mi się brunatne słupy u stóp narciarskiego stoku, o które opierał się owego zimowego dnia, równo przed rokiem.

— Jak się tu dostałeś? — zapytałam go wreszcie.

— Samochodem mamy.

— W taką pogodę?

— No tak — uśmiechnął się Buddy. — Utkwiłem w zaspie przed samym waszym wjazdem. Czy mogłabyś wytrzasnąć skądś jakąś łopatę?

— Możesz poprosić któregoś z ogrodników.

Buddy zawrócił na pięcie i zabierał się do wyjścia.

— Zaczekaj. Pomogę ci.

Wtedy spojrzał mi prosto w oczy i zobaczyłam w jego wzroku lekki niepokój — mieszaninę ciekawości i rezerwy — taki sam, jaki widywałam w oczach mojej dawnej nauczycielki angielskiego, pani z Christian Scientist unitariańskiego pastora, którzy mnie od czasu do czasu odwiedzali.

— Ależ Buddy — roześmiałam się — zapewniam cię, że jestem już zupełnie zdrowa.

— Wiem, wiem, Esther — odpowiedział pospiesznie.

— Ty nie powinieneś odgarniać śniegu. Ja to zrobię.

No i Buddy pozwolił mi wykonać lwią część roboty.

Samochód jego wpadł w poślizg na lodowatej nawierzchni naszego podjazdu i wbił się tyłem w dużą pryzmę śniegu.

Słońce wyłoniło się na chwilę zza szarych, kłębiastych chmur i zaczęło nagrzewać dziewiczo białe stoki. Wyprostowałam się. Wchłaniałam w siebie łapczywie tę nieskazitelną biel. Miałam to samo uczucie podniecenia, jakiego doznaje się na widok zalanych lasów i pól. Wydaje się człowiekowi, że naturalny porządek rzeczy został, może nawet niezbyt gwałtownie, ale za to nieodwracalnie, naruszony, że świat wchodzi w nową fazę rozwoju.

Dziękowałam Opatrzności za tę zaspę i za to, że trzeba było odkopać samochód Buddy'ego. Powstrzymywało go to na razie od zadawania pytań, ale w końcu wykrztusił to jednak z siebie, głosem cichym i dosyć nerwowym. Siedzieliśmy w świetlicy Belsize'u przy herbacie. Dzidzia patrzyła na nas sponad filiżanki jak zazdrosna kotka. Po śmierci Joan trzeba ją było na pewien czas przenieść do Wymarku, ale wróciła.

— Zastanawiam się... — zaczął Buddy i hałaśliwie odstawił filiżankę na spodek.

— Nad czym się zastanawiasz?

— Zastanawiam się... to znaczy, sądzę, że może będziesz mogła mi coś wyjaśnić. — Spojrzenia nasze spotkały się i zobaczyłam, że jest to zupełnie inny człowiek. Dawniej uśmiechał się nieustannie. Zapalał i gasił ten uśmiech na zawołanie, jak fotograficzny flesz. Teraz twarz jego wyrażała powagę i jeszcze coś nieokreślonego, może cień niepewności. Wyglądał jak człowiek, który niezbyt często otrzymuje to, na czym mu naprawdę zależy.

— Wyjaśnię ci wszystko, co zechcesz, jeżeli tylko potrafię.

— Czy nie uważasz, że jest we mnie coś takiego, co doprowadza kobiety do obłędu?

Nie wytrzymałam i wybuchnęłam śmiechem — może

dlatego, że miał wciąż ten szalenie poważny wyraz twarzy, a może dlatego, że słowo „obłęd" było tutaj co najmniej nie na miejscu.

— Bo widzisz — ciągnął Buddy — chodziłem z Joan, a potem z tobą, no i najpierw ty, a potem Joan...

Wskazującym palcem pchnęłam okruszynę ciasta. Utonęła w kropli brunatnej herbaty.

— Nie ma w tym na pewno twojej winy! — Przypomniały mi się słowa doktor Nolan. Poszłam do niej, żeby omówić sprawę Joan. Po raz pierwszy, odkąd ją znałam, młoda lekarka była wzburzona. — Tu w ogóle nie ma mowy o żadnej winie! To było w niej! — Powiedziała też, że nawet najlepszy psychiatra nie zawsze może zapobiec samobójstwu pacjenta i że pacjent jest sam odpowiedzialny za swoje życie. Lekarz nie może i nie powinien się poczuwać do winy...

— To nie twoja wina, Buddy — powiedziałam teraz.

— Czy jesteś zupełnie pewna?

— Zupełnie.

— To mnie bardzo cieszy — odetchnął z ulgą. — Bardzo.

Wypił duszkiem herbatę, tak jak wypija się gorzkie lekarstwo.

— Podobno nas opuszczasz?

Szłam obok Walerii, w grupie pacjentek prowadzonych przez pielęgniarkę.

— Tak, jeżeli mi lekarze ostatecznie pozwolą. Jutro staję przed komisją.

Ubity śnieg skrzypiał pod nogami, słońce rozgrzewało sople lodu na dachu i pocukrzone drzewa. Zewsząd rozlegało się rytmiczne pokapywanie. Po zachodzie słońca świat miał się znowu pokryć gładką, białą polewą.

Cienie zgrupowanych czarnych sosen kładły się fioletem na pola. Szłyśmy z Walerią labiryntem oczyszczonych ze śniegu ścieżek szpitalnego ogrodu. Po drugiej stronie żywo-

płotu inni lekarze, pielęgniarki i pacjenci posuwali się naprzód cicho jak na wrotkach, widoczni tylko od pasa spoza kopiastych zwałów śniegu.

— Te komisje to czysta formalność — powiedziała Waleria pogardliwie. — Jak cię mają wypuścić, to cię wypuszczą.

— Mam nadzieję.

Pożegnałam ją przed pawilonem Caplan. Nieruchoma twarz Walerii, podobna do twarzy uśpionej królewny Śnieżki, zdradzała tak niewielką gamę uczuć. Szłam dalej, puszczając w mroźne powietrze wraz z oddechem małe dymki chuchu.

Pożegnała mnie jeszcze wesołym: — Powodzenia! Do zobaczenia!

Mam nadzieję, że już cię nigdy nie zobaczę, pomyślałam.

Ale nie byłam pewna. Wcale nie byłam pewna. Skąd mogłam wiedzieć, czy kiedyś w przyszłości, w Europie czy gdziekolwiek — szklany klosz znowu na mnie nie spadnie, nie nakryje mnie, odkształcając moje widzenie świata.

A poza tym Buddy powiedział przecież — prawdopodobnie po to, żeby się zemścić za to, że ja odkopywałam samochód, a on się temu bezczynnie przyglądał: — Zastanawiałem się nad tym, Esther, czy znajdzie się ktoś, kto się po tym wszystkim zechce z tobą ożenić?

— Nic nie słyszę! — krzyknęłam i odrzuciłam kilka łopat śniegu na nasyp. Mrużyłam załzawione od śniegu oczy i pracowałam coraz energiczniej.

— Zastanawiam się, czy ty teraz znajdziesz męża. Po tym — dodał, wielkim gestem ogarniając wzgórza, sosny, pawilony szpitalne, których strome dachy wrzynały się w zimowy krajobraz. — Teraz, kiedy wszyscy już wiedzą, gdzie byłaś.

Nie miałam oczywiście pojęcia, czy znajdzie się ktoś, kto zechciałby się ze mną ożenić. Po pobycie tutaj. Właśnie tutaj. Nie miałam naprawdę zielonego pojęcia.

— Irwin, przysłali rachunek — powiedziałam w słuchawkę. Mówiłam z automatu, znajdującego się w gmachu administracji szpitalnej. Podejrzewałam, że telefonistka przy centralce podsłuchuje rozmowy, ale ona tylko wciskała i wyciągała wtyczki z idealnie obojętnym wyrazem twarzy.

— Słucham cię — odparł Irwin.

— Jest to rachunek na dwadzieścia dolarów za opatrunek na ostrym dyżurze z któregoś tam grudnia i za wizytę kontrolną w tydzień później.

— No tak.

— Piszą, że przysyłają go do mnie, ponieważ nie zapłaciłeś, jak posłali go do ciebie.

— Dobra, dobra, właśnie w tej chwili wypisuję czek. Wypisuję czek in blanco. — Głos Irwina uległ ledwo dosłyszalnej zmianie. — A kiedy ja ciebie znów zobaczę?

— Czy chcesz naprawdę wiedzieć?

— Szalenie.

— Nigdy! — krzyknęłam bardzo stanowczo i odwiesiłam słuchawkę.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy teraz Irwin jeszcze wyśle czek do szpitala, ale zaraz pomyślałam: Wyśle na pewno, jest przecież profesorem matematyki i na pewno nie cierpi nie dokończonych spraw.

Poczułam tak ogromną ulgę, że aż ugięły się pode mną kolana.

Głos Irwina nie wzbudzał bowiem we mnie najmniejszych emocji.

Usłyszałam go dzisiaj po raz pierwszy od tamtego spotkania i byłam niemalże pewna, że słyszę go również po raz ostatni. Irwin nie miał sposobu odnalezienia mnie. Mógł najwyżej pójść do mieszkania siostry Kennedy, ale ona po śmierci Joan przeprowadziła się, nie zostawiając żadnego adresu.

Byłam więc całkowicie wolna.

Rodzice Joan zaprosili mnie na pogrzeb.

Pani Gilling twierdziła, że byłam jedną z najlepszych przyjaciółek jej córki.

— Nie musisz jechać — powiedziała doktor Nolan. — Możesz napisać i powołać się na to, że ja ci nie pozwalam.

— Pojadę — odparłam i pojechałam, i przez całą, krótką zresztą, uroczystość żałobną zastanawiałam się nad tym, kogo ja sobie właściwie wyobrażam w tej trumnie.

Trumna stała na katafalku przed ołtarzem, nakryta białym całunem kwiatów — symbolem czegoś, co już odeszło. W mdłym świetle świec twarze siedzących dokoła ludzi były blade jak z wosku, a pozostałe po uroczystościach świątecznych dekoracje z gałęzi świerkowych wydzielały żałobną woń. W kościele panował przejmujący chłód.

Niedaleko mnie siedziała Jody. Miała, jak zwykle, policzki rumiane niczym czerwone jabłuszka. Wśród nielicznych żałobników zauważyłam kilka koleżanek z college'u, parę osób z naszego rodzinnego miasteczka. W pierwszej ławie siedziała siostra Kennedy z Dzidzią. Ich pochylone głowy zakrywały chusteczki.

A potem za trumną, za twarzą naszego pastora, za głowami żałobników zaczął się przesuwać ogromny, zasypany śniegiem trawnik naszego cmentarza, upstrzony kamiennymi nagrobkami, sterczącymi jak martwe kominy.

Za chwilę dotrzemy do dwumetrowego dołu, z trudem wyrąbanego w zamarzniętej ziemi. Cień połączy się z cieniem. Rana w śnieżnej bieli zabliźni się żółtym piaskiem, a wkrótce opad świeżego śniegu upodobni grób Joan do otaczających go starych grobów.

Głęboko nabrałam powietrza w płuca i wsłuchiwałam się w znajomy rytm mojego serca.

Je-stem, je-stem, je-stem.

Komisja lekarska urzędowała, jak co tydzień, rozpatrując sprawy stare i nowe, przyjęcia, przedłużenia pobytu, zwolnienia. Siedziałam w bibliotece szpitalnej, nieuważnie kartkując strony starego numeru „National Geographic", i czekałam na swoją kolejkę.

Pacjenci z towarzyszącymi im pielęgniarkami przeglądali książki na półkach albo rozmawiali ściszonym głosem z bibliotekarką, dawną pacjentką. Przyglądałam się jej — była nieśmiała, staropanieńska w każdym ruchu i bardzo krótkowzroczna — i zastanawiałam się, czy może mieć pewność, że jest całkiem wyleczona, że w odróżnieniu od swoich klientów jest normalna i zdrowa.

— Nie bój się — uspokajała mnie doktor Nolan. — Przyjdę na komisję. Zresztą znasz wszystkich jej członków. Doktor Vining, lekarz naczelny, zada ci po prostu kilka pytań, a potem będziesz mogła zaraz wyjść.

Ale pomimo jej kojących słów po prostu się bałam.

Miałam kiedyś nadzieję, że gdy już będę opuszczała szpital, to okaże się, że jestem pewna siebie, pewna swoich zamiarów na przyszłość — ostatecznie przeszłam przecież przez „analizę" — ale w tej chwili w głowie mojej kołatały się wyłącznie znaki zapytania.

Rzucałam coraz bardziej niecierpliwe spojrzenia na drzwi sali konferencyjnej. Wiedziałam, że szwy moich pończoch są równe, czarne lakierki, wprawdzie popękane, ale wyczyszczone na glanc, a czerwony kostium równie śmiały jak moje plany na przyszłość. Miałam na sobie coś nowego i coś starego, tak jak nakazywał stary przesąd narzeczonym udającym się na ślubną uroczystość.

Ale ja nie miałam przecież stanąć na ślubnym kobiercu. Powinna, pomyślałam, istnieć formuła symbolizująca ponowne narodziny człowieka. Jestem już cała posklejana, przyłożą mi stempelek stwierdzający, że nadaję się do dalszej drogi... Właśnie zastanawiałam się intensywnie nad tym, jakby taki stempelek najlepiej sformułować, kiedy nagle jak spod ziemi wyrosła przede mną doktor Nolan i lekko dotknęła mojego ramienia.

— Idziemy, Esther.

Wstałam i przekroczyłam z nią razem próg otwartych drzwi.

Nabrałam powietrza do płuc, zatrzymałam się chwilę na progu i spojrzałam na zgromadzonych dokoła stołu lekarzy. Siedział tam siwowłosy ordynator, który pierwszego dnia mówił coś o rzekach i pielgrzymach, koścista, znaczona śladami po ospie panna Huey, rozpoznałam też kilka par oczu, które patrzyły na mnie przedtem tylko — tak mi się przynajmniej zdawało — sponad białych masek.

Twarze te i te wszystkie oczy zwróciły się teraz w moją stronę, a ja, przyciągnięta ich wzrokiem jak magiczną nicią, weszłam do środka.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY 1907
Wypożyczalnia
Nr 89
Nr inw. w 37154